

# Bankructwo małego Dżeka





JANUSZ KORCZAK

## *Bankructwo małego Dżeka*

Dżek<sup>1</sup> Fulton<sup>2</sup> urodził się, mieszka i chodzi do szkoły w Ameryce i powieść o nim jest powieścią amerykańską. Jest to jeszcze powieść finansowa, ale o tym później się powie.

Rodzice Dżeka znani są jako ludzie spokojni i uczciwi.

Ojciec Dżeka pije wódkę tylko raz do roku — w dzień swoich imienin.

Ojciec Dżeka mówi:

— Dnie powszednie: poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek i sobota — należą do mojej rodziny, niedziele i święta należą się Bogu. A mój dzień jest ten, kiedy się urodziłem. A że za młodu przyzwyczaiłem się do wódki, więc raz do roku golnę sobie kieliszek — to nie grzech; trudno mi się przecież od razu odzwyczaić.

Ojciec Dżeka mówi także:

— Wszystko, co mam, zawdzięczam pracy rąk. Dopóki mam zdrowe ręce, rodzinie nie zbraknie chleba i mydła. Ani głodni, ani brudni nie będą. Tak ślubowałem żonie i dotrzymam słowa.

Matka Dżeka mówi:

— Żonie powinno starczyć tyle, ile mąż zarabia. Zarobi mniej, to mniej kupię i zaczekam, aż będzie więcej. Byle nie robić długów.

No tak: Dżek ma uczciwych i spokojnych rodziców, którzy dają mu dobry przykład i mądre nauki, nigdy go nie biją i nawet rzadko się gniewają.

Ojciec Dżeka mówi:

— Teraz jestem zdrow i silny, więc nie sztuka, że zbiję malca, który się obronić nie może. Ale co będzie, jak się zestarzeję, a Dżek urośnie i stanie się silniejszy ode mnie? Staraj się być porządnym chłopcem, a jak ci się coś nie uda, nie kręć, tylko przyjdź i powiedz.

A matka Dżeka tak mówi:

— Nie powinno się na dzieci krzyczeć, tylko trzeba im tłumaczyć, bo tak samo dziecko uczy się na świecie żyć, jak uczy się w szkole czytać, pisać i liczyć.

Bo raz Dżek bawił się z chłopakami w bandytów i kiedy uciekał przed policją, zeskoczył prawie z pierwszego piętra. Leżał potem trzy tygodnie w łóżku. I potem mister Fulton odczytywał Dżekowi z gazety różne nieszczęśliwe wypadki: że się jakiś chłopak poparzył i odwieziono go do szpitala, że samochód przejechał dziecko, że się pochyliło i wypadło przez okno.

Podczas głosowania i wyborów pan Fulton czytywał dwie gazety, żeby lepiej wiedzieć, na kogo głosować. I wtedy Dżek o każdym nieszczęśliwym wypadku dowiadywał się dwa razy. W jednej gazecie pisało<sup>3</sup> zawsze, że winni są rodzice, bo nie pilnują dzieci, a w drugiej — że z winy policji, która nie pilnuje porządku. W ten sposób ojciec Dżeka wiedział, jakiego wybrać prezydenta, a Dżek — czego nie należy robić, bo jest niebezpieczne.

Matka gniewała się na Dżeka tylko trzy razy.

Raz chłopcy bawili się w wojnę. Dżekowi źle się wiodło: dwaj młodszy od niego zostali oficerami, a on — ciągle tylko żołnierz i żołnierz.

<sup>1</sup>Dżek (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Jack*, zdrobnienia od imienia *John*. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Fulton — popularne nazwisko anglosaskie. Na uwagę zasługuje fakt, że w 1882 w Lancaster w Pensylwanii powstał Fulton Bank (działający nadal w XXI w.). Nie ma jednak pewności, czy autor znał ten fakt i czy inspirował się nim, nadając nazwisko swojemu bohaterowi. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>w jednej gazecie pisało — dziś popr. forma: w jednej gazecie było napisane. [przypis edytorski]

— Panie generale, kiedy już nareszcie będę oficerem?

— Musisz się odznaczyć — mówi generał Murr.

Aż postawili Dżeka koło parkanu. Generał Murr znów wygrał bitwę. Dżek postanowił odznaczyć się w pościgu za nieprzyjacielem, a w parkanie był gwóźdź. No i podarł portki — całą nogawkę od góry do dołu.

Drugi raz Dżek został sam w mieszkaniu. Nawet małej Mary nie było. Bardzo mu się nudziło. A na komodzie stał budzik. Dżek w żaden sposób nie mógł zrozumieć, skąd budzik wie, o której godzinie ma dzwonić. Zwyczajny zegar bije co godzinę, bo we środku jest dzwonek, młotek, kółka i sprężyna — ojciec mu wytłumaczył i pokazał. Zupełnie co innego budzik, który przez całą noc stoi cicho jak trusia i dopiero akurat wtedy dzwoni, kiedy potrzeba. Albo ojciec mu źle wytłumaczył, albo Dżek był wtedy śpiący, dość że rozumiał, że w budziku siedzi kogut, który nie pieje, tylko dzwoni. Więc Dżek sam był w mieszkaniu i strasznie chciał zobaczyć tego koguta. No i nic nie widział, i zepsuł zegar, i dostał dwie bury: osobno od ojca i zupełnie osobno od matki. Bo właściwie powinno być tak, że za jedne rzeczy krzyczy jeden, a za inne — drugi. Bo wychodzi, że za to samo gniewa się i nauczycielka, i mama, i tata, a jeszcze się kto wtrąci, to już zupełnie trudno wytrzymać.

Trzeci raz gniewano się, kiedy Dżek poszedł z chłopakami na rynek, gdzie był okropny tłok, no i zgubił czapkę. Powiedzieli mu nawet wtedy, że niedługo zgubi głowę, i Dżek bardzo płakał, chociaż rozumiał, że głowy zgubić nie można; ale zawsze było mu przykro.

Teraz więc każdy rozumie, że matka Dżeka była kobietą gospodarną i że Dżek nie był łobuzem — bo każdemu może się zdarzyć.

Więc żył sobie Dżek, kochany przez rodziców, szanowany przez młodsze dzieci z podwórka.

Właściwie Dżek nie miał przyjaciół, bo nie był bardzo zręczny w zabawach, nie umiał opowiadać bajek i nie lubił żadnych psot ani figlów. Zawsze ostrzegał:

— Lepiej dajcie spokój. Jeszcze szybą stłuczecie; zobaczycie, że to się źle skończy.

Koledzy się gniewali i nazywali go tchórzem.

Ale jak trzeba było kupić na wspólną<sup>4</sup> śliwki albo cukierki, zawsze zwracali się do Dżeka. Dżek wie, gdzie jest tanio, umie się targować, obliczy i sprawiedliwie podzieli. Na przykład w pięciu razem kupili dwadzieścia cztery wiśnie. Dżek wraca do sklepu i mówi:

— Niech pani doda jeszcze jedną wiśnię, to każdy będzie miał po pięć, a ja pani za to zwrócę torbę.

Albo:

— Niech pani zamieni to jabłko na dwa małe.

Potem Dżek się nauczył, że chętniej dają, jeżeli się mówi nie „niech”, a „proszę bardzo” albo „niech pani będzie łaskawa”.

Kupcowa<sup>5</sup> zaraz zamieni albo doda, bo dla niej to nic nie znaczy.

Bywa czasem tak, że są wiśnie dojrzałe, lepsze i gorsze, duże i małe — Dżek już sobie poradzi. Burknie tam który grymaśnik, że woli czerwony cukierek, że chce to, a nie tamto. Ale widzą, że Dżek nie bierze dla siebie najlepszych, więc cichną. I za to właśnie szanują Dżeka.

Bywa zresztą, że Dżek ostrzega, żeby czegoś nie robić — nie posłuchają i źle na tym wyjdą. Z Dżekiem każda zabawa jest bezpieczniejsza i dlatego nie odmawiają, jeżeli chce się bawić.

Dżek od małości lubił liczyć. Zbierał i liczył zapalki, bilety tramwajowe, liczył sklepy, domy, kroki, samochody. Wie Dżek, ile jest sklepów do rogu z prawej i lewej strony. Dżek chce być kupcem.

Raz nie było światła na schodach i ojciec chciał zapalić zapalkę. A Dżek mówi:

— Nie trzeba. Tu jest sześć schodków, a dalej dwanaście.

Ojciec pochwalił Dżeka.

— Chłopak ma dobrą głowę do rachunków — mówili znajomi.

Kiedy raz przyszli goście, pytano się dzieci, czym chcą zostać, jak dorosną.

— Ja będę oficerem.

<sup>4</sup>współka — dziś: spółka. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>kupcowa (daw.) — tu: sprzedawczyni; właścicielka sklepu. [przypis edytorski]

— Ja chcę być mechanikiem.

— No, a ty, Dżek, czym będziesz?

Dżek przypomniał sobie podarte na wojnie spodnie i zepsuty budzik, więc powiedział:

— Zostanę kupcem.

Dżek często bawił się z małą Mary w sklepie. Z pudełka od pasty do butów zrobił wagę. Ważył kasztany, kamyki, piasek. Piasek — to cukier albo kasza, kamyki — to groch i orzechy. Wagę zrobił ze szpilki od włosów, sznurka, no i tego blaszanego pudełka. Pudełek Dżek miał dużo, bo papierosy<sup>6</sup> wszyscy prawie palą; a płaciło się biletami tramwajowymi.

Zabawa nie jest taka przyjemna jak sklep prawdziwy, więc Dżek lubił patrzeć na prawdziwych kupców. I raz staruszek kupił chleb i ser, a kiedy liczył pieniądze, jedna moneta upadła na ziemię i nie mógł jej znaleźć. Więc już nie chciał szukać i poszedł sobie. Ale Dżek był ciekawy, gdzie się mogła podziać. No i leżała w kącie koło samego schodka. Dżek dogonił staruszkę i oddał.

— Dziękuję ci, bardzo ci dziękuję, mój chłopcze. Jesteś porządnym dzieckiem i wyrośniesz na uczciwego człowieka.

Dżek bardzo się zawstydził, bo przypomniał sobie zjedzoną po kryjomu raz kostkę cukru. Było to akurat wtedy, kiedy się bawił w bandytów z nie bardzo porządnymi chłopcami. Był jeszcze mały, a mali chłopcy bardzo łatwo się psują — i całe szczęście, że tak samo łatwo potem się znowu poprawiają.

Więc Dżek postanowił unikać złego towarzystwa, żeby się bardziej jeszcze nie zepsuć.

Mister Fulton nie był zadowolony, że Dżek chce zostać kupcem, jak urośnie.

— Wolalbym, żeby był rolnikiem jak jego dziadek albo rzemieślnikiem jak ja. Bo kupiec właściwie nic nie robi. Ani sieje, ani buduje; zawsze to wygląda na korzystanie z cudzej pracy.

— Zapominasz, mój kochany — mówiła matka Dżeka — że przecież moi rodzice mają sklep i też pracują uczciwie.

— No tak — przyznawał mister Fulton — ale jednak to coś innego.

I tak rozmawiali rodzice, kiedy Dżek był bardzo mały i nawet do szkoły nie chodził jeszcze. Więc pewnie Dżek będzie wołał wyjechać później na wieś, gdzie o wiele przyjemniej niż w mieście.

Bo trzeba wiedzieć, że amerykańskie miasta są jeszcze gorsze niż nasze. W miastach amerykańskich są strasznie wysokie domy, że aż je nazwano drapaczami nieba — hałas, tłok, kurz i dym są okropne. I w ogóle Ameryka — to dziwny świat. Ameryka jest jakby na dole, jakby tam ludzie chodzili głową na dół. Ale nam się tylko tak zdaje. A już zupełnie z pewnością u nich jest noc, kiedy u nas dzień. I wypada, że tam śpią w dzień, a w nocy chodzą do szkoły. Przyjemnie byłoby pojechać i te dziwne rzeczy samemu zobaczyć. Bo z książki nigdy się tak dobrze nie wie, jak kiedy się widzi własnymi oczami. Niby jak jaka bajka.

Powieść ta zaczyna się od wtedy, kiedy Dżek już dwa lata chodzi do szkoły i siedzi teraz koło okna na trzeciej ławce. Tamta nauczycielka właśnie zachorowała i nowa pani objaśnia, jakie nowe zeszyty i książki trzeba kupić na nowy rok szkolny.

Dżek siedzi spokojnie, słucha uważnie i myśli:

„Ojciec znów będzie musiał wydać tyle pieniędzy”.

Dżek ma zeszloroczną teczkę, piórniki, prawie pół ołówka, gumę, linijkę, ekierkę, cyrkiel, brak mu tylko paru kredek i pióro się gdzieś zapodziało. W tym roku miał dostać scyzoryk.

Nieprzyjemnie pożyczać scyzoryk. Nie wszyscy są tacy dobrzy, więcej jest samolubów.

Mówisz mu:

— Pożycz, widzisz, bo mi się szpic ułamał. Zaraz ci oddam.

A on mówi, że nie ma, albo robi łaskę.

<sup>6</sup>Pudełek Dżek miał dużo, bo papierosy wszyscy prawie palą — dawniej papierosy sprzedawano w blaszanych pudełeczkach. [przypis edytorski]

Dżek widział na wystawie bardzo ładny scyzoryk z dwoma ostrzami, prawdziwy stalowy, w rogowej oprawie. Obejrzał go dokładnie przez szybę może sto razy, a potem wszedł do środka.

— Ile ten scyzoryk kosztuje? I pan będzie łaskaw pokazać, bo teraz nie mam pieniędzy, ale ojciec obiecał kupić, jak się zacznie szkoła.

Dżek chuchnął na nóż, spróbował na paznokciu, czy ostry, potarł o rękaw, czy oprawa naprawdę rogowa, powąchał, podziękował i oddał. Ale teraz pewnie ojciec nie kupi, kiedy zgubił pióro.

Gdzie ono mogło się podziać?

Nauczycielka podyktowała książki, a potem mówiła, że trzeci oddział<sup>7</sup> jest bardzo ważny, bo z trzeciego oddziału przechodzi się do czwartego, że starsi chłopcy powinni już dobrze się sprawować nie tylko w szkole, ale i na ulicy, bo muszą dawać młodszym dobry przykład.

Potem była przerwa i zaraz niektórzy zaczęli biegać po ławkach. Wtedy Doris powiedziała:

— Zapomnieliście, co pani mówiła. Ładny starszy oddział! Ławki świeżo malowane, a oni latają.

Harry odpowiedział:

— Pilnuj swego nosa.

Allan<sup>8</sup> krzyknął:

— Klituś-bajduś!

A Fil<sup>9</sup> na złość jeszcze więcej zaczął dokazywać i pociągnął ją za warkocz.

Zaraz wtrącił się, rzecz naturalna, sprawiedliwy Iim<sup>10</sup>, że wprawdzie i on nie lubi Doris, ale tym razem ona ma słuszość.

Doris, swoim zwyczajem, zaczęła płakać i omal nie doszło do bójki między Harry<sup>11</sup> i Iimem.

Już tak jest zawsze, że po wakacjach najwięcej dokazują, aż potem znów się uspokoją.

Dżek przez cały czas stał koło okna, bo jeszcze będzie awantura i mogą go niewinnie wplątać, i nowa pani może tak samo się do niego uprzedzić jak tamta. Dosyć się naciępiął przez dwa lata, więc chociaż teraz musi być ostrożny.

Ale woźny powiedział, żeby szli do domu, bo lekcji więcej nie będzie, i Dżek powolutku sam sobie wraca do domu.

Aż tu patrzy, że na rogu ulicy Długiej zamknięty jest sklep kolonialny<sup>12</sup>. Dżek zawsze kupował tam cukierki. Były tu długie miętowe cukierki, które aż szczypią w język, a potem — jak wciągać powietrze — to się tak zimno robi w ustach. Były tam cukierki z likierem i nadziewane w papierkach, większe migdałowe i małe różnokolorowe kulki. Były czekoladki na sztuki, różne figurki z cukru i czekolady, były całe worki orzechów laskowych, włoskich i amerykańskich. (Amerykańskie orzechy mają tak twardą skorupę, że trzeba je młotkiem rozbijać).

W szklanych kloszach i słojach były jedne rzeczy, w blaszanych pudłach inne, w szufladach znów inne i w koszykach owoce.

Dżek bardzo lubił w tym sklepie kupować i nigdy się nie śpieszył. Więc właściciel załatwiał dorosłych, a on sobie stoi i patrzy. Czasem nawet zgadywał, którą szufladę właściciel otworzy. Był tam jeszcze bardzo ciekawy przyrząd do sznurka, tak że sznurek nie może się w żaden sposób poplątać. W ogóle wszystko tak wygodnie urządzone, tak dużo rozmaitych rzeczy i taki porządek, że wcale nietrudno wiedzieć, gdzie co leży.

No i teraz cały sklep zamknięty. Domyślił się Dżek, że coś się stało, ale dopiero Kaczor mu powiedział:

— Właściciel sklepu zbankrutował.

<sup>7</sup>oddział (daw.) — tu: klasa. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Allan, częściej Alan — anglosaskie imię męskie. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Fil (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Phil*, skróconej formy imienia *Philip*. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Iim — rzadko nadawane imię anglosaskie pochodzące z jęz. hebrajskiego. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>Harry (daw.) — dziś popr. forma N.: Harrym. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>sklep kolonialny — sklep sprzedający egzotyczne produkty spożywcze i przyprawy sprowadzane z Afryki i Azji (gdzie wówczas znajdowały się kolonie państw europejskich). [przypis edytorski]

Bo kto ma sklep, musi wszystko kupować. Kupuje od razu dużo, a potem po troszku, z zarobkiem sprzedaje. Ale nie ma tyle pieniędzy, żeby od razu zapłacić, boby mu zbrakło. Więc mówi, że później zapłaci, jak już trochę sprzeda. Ale musi w porę zapłacić, bo jak nie, to mu wszystko zabiorą: nawet stoły, szafy, krzesła, nawet to, co jego.

— No, rozumiesz teraz?

Dżek nie wszystko rozumiał, ale Kaczor się niecierpliwił:

— Och, jakiś ty głupi.

Dżek nie myślał dawniej, skąd się biorą te całe skrzynie, wory i pudła. No, rozumie się, że musi kupować. Ale jeżeli sprzedawał, więc miał już pieniądze; więc dlaczego nie płaci i czeka, aż mu wszystko zabiorą?

Dżek siedzi na schodku i gryzie jabłko, a Kaczor stoi i co powie parę słów, okręca się na pięcie i — znów:

— Och, jakiś ty głupi.

Aż nawet pytać się nieprzyjemnie.

— Chcesz, pokażę ci na jabłku, co znaczy zbankrutować. No, daj jabłko. No i patrz.

Ugryzł.

— Widzisz. Tyś mi dał jabłko. Rozumiesz? To jest twoje jabłko?

— No, moje.

— I tyś mi je dał. No nie?

Ugryzł drugi raz.

— Widzisz, już jest tylko kawałek. Chcesz odebrać?

— Bo co?

— Bo nic. Nie mogę ci oddać, bo nie mam. Rozumiesz: zbankrutowałem. Choćbym chciał, to ci nie dam. No i co mi zrobisz?

Tu ugryzł trzeci raz, wykręcił się i poleciał. A potem jeszcze się drażni:

— Głupi Dżek. Daj drugie jabłko, to ci lepiej wytłumaczę.

I Kaczor na całym podwórzu wprowadził szachrajską zabawę, że jak ktoś da coś drugiemu i nie powie: „wymawiam”, a tamten wzięł i powiedział: „zbankrutowałem”, to sobie brał tę rzecz i mógł nie oddawać.

Naprzód bawili się chłopcy, a potem dziewczynki. Najgorzej wychodzili mali, bo się najczęściej gapili. W ten sposób Alin<sup>13</sup> straciła laleczkę, a Merrik<sup>14</sup> cymbalki. Aż skończyło się awanturą. Bo mały Dik<sup>15</sup> dał wszystkie książki i kajety<sup>16</sup> niby do trzymania i zapomniał wymówić. Tamten by nawet nie wzięł, tylko Dik musiałby mu dać parę centów. Ale małe się przestraszył i z bekiem do matki na skargę. I dopiero się dowiedzieli. I kłócili się na podwórku już nie tylko dzieciaki, ale dorośli, bo matka powiedziała:

— Pierwszy złodziej wyrośnie z niego.

A ta:

— Chyba dopiero drugi, bo pierwszym złodziejem będzie twój Dik.

Zabawa w bankructwo się skończyła, a Dik dostał w skórę.

Dżek sam nie wiedział, czy ma żałować kupca, któremu wszystko zabrano, czy tych, którzy dali worki cukru, gruszek i śliwek suszonych, orzechów i skrzynie pierników, a ten część sprzedał i pieniędzy nie płaci. Bo wypada, że Kaczor dobrze mu wytłumaczył, bo tym, co dali bez pieniędzy, jest wszystko jedno przecież, czy sam zjadł, czy też sprzedał.

A tymczasem sklep był zamknięty i przykro było tamtędy przechodzić. Potem nawet szyldy zdjęto, ale Dżek nie widział, kto zdejmuje, bo był wtedy w szkole.

Potem wprowadził się tam fryzjer. Dopóki jeszcze malowali, wnosili różne rzeczy, wchodzili i wychodzili — było na co popatrzeć. Ale potem już, zamiast ciekawego kolonialnego, przybył zupełnie nudny sklep, obok którego przechodzi się obojętnie.

Dżek zna wszystkie ciekawe wystawy, obok których dwa razy dziennie przechodzi do szkoły i z powrotem. Ale fryzjer go nie obchodzi.

Interes

Zabawa

<sup>13</sup>Alin, częściej Alyn — anglosaskie imię żeńskie. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>Merrik (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia Merrick. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Dik (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia Dick, zdrobnienia imienia Richard. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>kajet (daw., z fr. *cahier*) — zeszyt. [przypis edytorski]

Co znaczy „zbankrutować”, nie dowiedział się nic nowego. Bo ojciec coś mu tam na odczepne odburknął, jak to zawsze robią dorośli, kiedy im się nie chce. A matka tylko to mu powiedziała:

— Człowiek nie powinien wydawać więcej, niż ma. Nie pożyczaj, nie zbankrutujesz. Moi rodzice prowadzą sklep trzydzieści sześć lat, wychowali dzieci i żyją. To trudno; nie każdy może sobie na wszystko pozwolić.

Biedny Dżek nie przeczuwał nawet, że bardzo niedługo dowie się, och, jak boleśnie się dowie, co znaczy bankructwo.

I w życiu często tak bywa, że niby się coś wie i rozumie, ale dopiero wtedy naprawdę się rozumie, kiedy się samemu poczuło. Niby Dżek wiedział, że noga złamana boli, ale teraz wszystko od początku do końca pamięta. Wtedy, chociaż był mały, słyszał, że budzik może się zepsuć, mówiono, żeby nie ruszał. No tak, ale kiedy na stole leżały wykręcone kółka, kiedy sam widział, że nic nie poradzi, kiedy czekał, aż otworzą się drzwi i wróci pani Fulton i będzie musiał się przyznać — dopiero wtedy żałował, ale było za późno.

— Gdybym wpierw wiedział, że tak będzie — mówi sobie człowiek. A cała bieda, że się nigdy nic naprzód nie wie. Choć dorośli podobno wiedzą, co będzie, i często powtarzają:

„A nie mówiłem, a nie ostrzegałem; wiedziałem, że tak będzie”.

No tak: czasem naprawdę, ale często się chwala tylko.

Wiedza, Nauka

Więc wszystko na świecie jest rozmaite. I stalówki<sup>17</sup>, i bibuły, i ołówki, i gumy, i nauczycielki.

Więc na przykład w jedną bibułę atrament dobrze wsiąka, a w drugą nie. Jedne gumy dobrze wycierają, że wcale nie znać, a są gumy brudzące. Są ołówki twarde i miękkie. Jedne stalki<sup>18</sup> piszą grubo, inne cienko, są większe i mniejsze, okrągłe i płaskie. Zeszyty są grube i cienkie, papier dobry albo taki, że atrament się rozpryskuje, a na końcu stalki robią się włoski. Są kajety w jedną i w dwie linie, arytmetyczne i rysunkowe.

I nauczycielki są arytmetyczne i rysunkowe, większe i niskie, grube i cienkie. Ale nie o to idzie. Są panie wesołe albo smutne, które dużo krzyczą, ale nic nie robią, albo nie krzyczą, tylko zaraz wzywają rodziców. I tak jak każdy lubi pisać inną stalówką, tak samo jednemu taka pani się lepiej podoba, a drugiemu znów inna.

Pani, która zachorowała i już w szkole Dżeka nie uczy, była jakaś dziwna. Była dobra, Dżek sam przyznaje, ale niesprawiedliwa. Może nie dla wszystkich nawet, ale dla niego. Z jej winy przeżył Dżek dwa bardzo ciężkie lata w szkole.

Zaczęło się od niczego.

Dżek usiadł zaraz na początku na pierwszej ławce. I tak samo było niespokojnie, bo po wakacjach nie może być do razu spokojnie. No i akurat panią rozgniewali. Aż troje stało w kącie. W ogóle wszystko tego dnia się nie udawało. Zaraz od rana była awantura, bo jeden chłopiec przyniósł do szkoły chorego psa z krostami. Potem mazali na tablicy. Jedli na lekcji, nie mieli piór, kręcili się, a co najgorsze — urwali pasek od torebki. Bo pani tylko na chwilę wyszła z klasy i zostawiła torebkę, a oni zaczęli ciągnąć i urwali.

Ale Dżek cały czas siedział zupełnie spokojnie na swojej pierwszej ławce.

Pani się bardzo gniewała:

— Co to ma znaczyć? Ostatni raz wam mówię! Już więcej wam nie powtórzę.

Każda pani ma inny sposób, kiedy klasa jest niespokojna. Na przykład w szkole Allana pani mówi:

— Boże miłosierny.

I:

— Nie do wytrzymania.

A w oddziale Fanny:

Obraz świata, Uczeń

Nauczyciel

<sup>17</sup>stalówka a. stalka — element pióra, blaszka dotykająca bezpośrednio papieru podczas pisania. W I połowie XX w. dzieci w szkołach uczyły się pisać piórem złożonym z drewnianej obsadki i metalowej stalówki, którą zanurzało się co chwilę w kałamarzu pełnym atramentu. Stalówki szybko się zużywały i trzeba było je często wymieniać. Długopis został wynaleziony w 1938 r., a do powszechnego użytku wszedł znacznie później. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>stalka (daw. pot.) — stalówka. [przypis edytorski]

— Głowa mi pęka.

I:

— Trzeba zrywać gardło.

Czasem panie mówią:

— Jak wy się nie wstydzicie?

Albo:

— Łapy wam poprzetrącam.

Ale pani powiedziała, żeby dać jej książkę. Więc Dżek dał pani swoją książkę, bo siedział najbliżej. I pani zaczęła tłuc ręką w książkę. Tak mocno waliła, że Dżek już nie mógł wytrzymać, wstał i bardzo grzecznie powiedział:

— Niech pani będzie łaskawa nie tłuc tak, bo książka się zniszczy.

Długo Dżek nie mógł zrozumieć, dlaczego pani się rozgniewała. Dopiero później się dowiedział, że nie wolno robić żadnych uwag nauczycielce, choćby najgrzeczniej.

Pani kazała Dżekowi w tej chwili zabrać książkę i raz na zawsze zabroniła sobie pożyczać.

— Żebyś mi nigdy nic nie dawał, rozumiesz?

Dżekowi zrobiło się strasznie nieprzyjemnie. Ale to był dopiero początek. Bo w parę dni później pani kazała mu pożyczyć Betty książkę, a ona zawinęła róg stronicy i w dodatku zrobiła na okładce dwa kleksy. Całe szczęście, że książka była obłożona w gazetę.

Było akurat wtedy bezrobocie, niektóre fabryki wcale nie pracowały albo trzy dni w tygodniu. Tak samo było z ojcem Dżeka. Nawet Dżek nie miałby książek, tylko kupił mu chrzestny. Ojciec zapowiedział, żeby Dżek szanował książki, Dżek obiecał utrzymywać je we wzorowym porządku, a tu masz zaraz — od razu.

Ale to jeszcze nie wszystko. Bo dużo dzieci nie miało w tym roku bezrobocia książek, aż pani musiała nawet odsyłać do domu. Więc znów pani kazała pożyczyć książkę Wilsonowi. Tego już było za wiele.

— Nie dam — powiedział Dżek.

Ale Wilson zaczyna wyrywać, jakby to była jego. Dżek się rozplakał. A trzeba wiedzieć, że Dżek nie jest skory do łez; w ogóle wstyd płakać, tym bardziej przy dziewczynkach.

I cóż pani?

Nazwała go sknerą i złym kolegą. Mówiła, że bogaci powinni pomagać biedniejszym. A właśnie Wilson był bogatszy od ojca Dżeka. Potem jeszcze coś pani mówiła, ale Dżek nie słyszał, bo jak się na kogoś bardzo gniewają, to nigdy nie wie, co mówią. Wreszcie pani powiedziała, że jak Dżek urośnie, nikt go lubić nie będzie.

Po tej awanturze Dżek zauważył, że pani go nie lubi. Niby się pani wcale nie gniewa, ale zawsze. Już to się czuje. Dżek przestał podnosić palce, jeżeli coś wiedział, nie tak wesoło wybierał się rano do szkoły, żałował, że usiadł na pierwszej ławce, i rzadziej opowiadał w domu, co było w szkole.

Aż zdarzyło się, że Dżek mógł przekonać panią, że jest dobrym kolegą, że się pani omyliła, że jak urośnie, właśnie go będą lubili.

Raz przed samym dyktandem złamała się Peelowi stalówka. Peel stanął zmartwiony i bezradny, Dżek miał zapasową stalówkę i zaraz pokaże, że jest usłużny i koleżeński.

— Pożyczę — mówi Dżek — a jutro mi taką samą odkupisz.

I cóż on złego powiedział? Przecież chciał jak najlepiej. Przecież i tak ryzykował, bo co zrobi, jeśli w połowie dyktanda i jemu się złamie? A jeśli Peel zapomni i jutro mu nie przyniesie albo odda gorszą, albo nie taką, jak Dżek lubi?

Peel jest porządny, bo inny pożyczyci i wcale nie odda. Powie:

— Odczep się. Daj mi spokój.

Albo:

— Kto cię prosił? Mogłeś nie dawać.

No i znów pani się rozgniewała, nie pozwoliła Peelowi wziąć stalki. Ani on, ani Peel nie wiedzieli dlaczego.

Tylko Fil, który wszystko lubi wyśmiewać, zrobił błazeńską minę i naśladowując głos pani, powiedział:

— Kooo-lee-żeń-stwo.

A potem dodał:

Sprawiedliwość

Gniew



— Pani ma kręćka.

Dżek nigdy by tak na panią nie powiedział; nie lubił Fila za jego żarty i wcale śmiać mu się nie chciało.

Peelowi było przykro, że przez niego Dżek ma zmartwienie, i jakoś zaczęli rozmawiać i potem razem wracali do domu, i prawie się zaprzyjaźnili. Bo Dżek unikał kolegów od czasu, jak pani nazwała go handlarzem i złodziejem. Niby nie otwarcie, ale Dżek dobrze zrozumiał, choć za nic w świecie nigdy nikomu by tego nie powiedział.

Bo raz zginęło Doris śniadanie. Nie wiadomo nawet, czy naprawdę ktoś zabrał. Bo Doris często gubiła i zaraz leci na skargę, jak wtedy z gumą, która leżała pod ławką; Doris nie chciała się przyznać, tylko mówi, że jej podrzucili. Albo wtedy z bibułą? Kto by się znów łaszczyl na bibułę. Może ktoś wziął przez omyłkę, a ona zaraz:

— Ukradli.

Może zostawiła w domu? Chociaż bułka z kielbasą i jabłko — to nie bibuła i guma. I Fil niepotrzebnie się drażnił.

— Biedny anioleczek: sama zjadła i nie ma. Chuchnij, aniołku.

I zaczął wszystkich pukać w brzuchy.

— Puk, puk, odezwi się, kielbasko!

Gdyby komu innemu zginęło, może by się klasa wstydziła, ale Doris nie lubią, bo skarżuch, lizuch<sup>19</sup>, stawiak<sup>20</sup> i obraźliwa. A Doris ma niebieskie oczy i pani raz powiedziała, że właśnie takie są aniołki; więc była wielka sprawa o śniadanie.

Złodziej. Wstyd dla klasy, dla całej szkoły. Dzieci nie mają serca. Nie ma koleżeństwa. Wszyscy są podejrzeni. Pani ma obrzydzenie do klasy. Nawet pani straciła już serce. I nic dziwnego: jeżeli jeden drugiemu nie chce stalki pożyczyć, to muszą być i kradzieże. I kto nie pożyczy w potrzebie, ten łatwo sięgnie po cudze.

Wyszło niby, że śniadanie zjadł Dżek albo z jego winy zjedzono. Pani nie miała prawa tak mówić, a Doris jest najobrzydliwszą dziewczyną, jaką Dżek spotkał w życiu.

Wszystko przez jej śniadanie. Do końca szkoły Dżek z nią rozmawiać nie będzie, na żadne pytania jej nie odpowie, na przyszły rok usiądzie w innym rzędzie, żeby obok nie potrzebował przechodzić nawet.

A pani nigdy, nigdy tego nie zapomni.

„Już ja się z panią rozmówię — zaraz dziś, po lekcji. Ja nie jestem złodziejem. Co pani sobie myśli?”

Ale dopiero w jakieś pół roku powiedział pani, ale nie wszystko.

Bo jak raz pani pytała się całej klasy, kto wie, Dżek ręki nie podniósł.

A pani naumyślnie się zapytała, żeby go złapać. I Dżek właśnie wiedział.

— Dlaczego nie podniosłeś ręki? — zdziwiła się pani.

— Bo i tak pani by mnie nie spytała.

— Dlaczego? — zdziwiła się pani jeszcze więcej.

— Dlatego, że nie chciałem Wilsonowi pożyczyć książki, bo mi Betty zrobiła dwa kleksy i zawinęła róg w nowej książce.

— Betty zrobiła ci dwa kleksy?

— Nienaumyślnie — odezwała się Betty, która zupełnie niewinnie się zaczerwieniła, a Dżekowi żal było.

W klasie zrobiło się bardzo cicho, bo wszyscy widzieli, że pani jest niesprawiedliwa dla Dżeka, ale Fil nie wytrzymał:

— Daję pani słowo honoru, że Dżek jest porządny chłopak.

I tak to śmiesznie powiedział, że klasa wybuchnęła śmiechem.

— Pokaż swoje książki — powiedziała pani.

Dżek podał wszystkie książki i kajety.

— Bardzo porządne masz wszystko. I proszę cię, podnoś rękę, jak pytam się, kto wie.

Dżek widział wyraźnie, że pani się zawstydiła. I Dżek zauważył, że od tej pory pani była już lepsza dla niego. Ale najważniejszego jej przecież nie powiedział.

<sup>19</sup>lizuch a. lizus (pot.) — ktoś, kto się „podlizuje”, czyli jest przesadnie miły wobec nauczycieli i innych osób, które mają nad nim władzę, od których zależy. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>stawiak (daw. pot.) — osoba, która zachowuje się niegrzecznie i arogancko, aby zrobić wrażenie odważnej i niezależnej. [przypis edytorski]

— Złodziejem ani szachrajem nigdy nie będę — powtarzał gniewnie Dżek, ilekroć przypominał sobie nieszczęsne śniadanie obrzydliwej Doris, do której miał większy nawet żal niż do pani. I jak raz na podwórku chciała się razem bawić zupełnie inna Doris, Dżek szorstko ją odepchnął.

— Nie chcę. Jak ona będzie, to ja się nie bawię. I tylko dlatego, że się tak samo nazywa.

Bo najwięcej boli niesłuszne podejrzenie i niesprawiedliwość.

Przed wakacjami Dżek umówił się z Peelem, że będą razem siedzieli. Obaj są spokojni i porządni, często nawet wracają razem ze szkoły. Za Dżekiem siedzą: Morris i Czarli<sup>21</sup>. Czarli ma zegarek. Przed nim usiadł Dik<sup>22</sup>, ale zamienił się z Adamsem, bo woli siedzieć z Harry<sup>23</sup> na pierwszej ławce, a im wszystko jedno. Tylko Garis<sup>24</sup> trochę będzie przeszkadzał, bo lubi się kręcić i rozmawiać podczas lekcji, ale można mu powiedzieć. Zamiast Garisa miał siedzieć Wilson, ale Wilson nie wiedział, że Dik się przesiądzie, a z Dikiem nie chciał siedzieć, bo się raz strasznie pokłócili i Dik powiedział coś na jego ojca. Dik umie być cichą wodą i tylko dziewczynki myślą, że takie niewiniątko; bo się nie bije i zawsze porządnie ubrany, uczesany i czysty.

Dżek jest zadowolony ze swego miejsca i z całej szóstki. Rok szkolny zapowiada się dobrze. Nowa pani go nie zna i Dżek postara się, żeby jej czym znowu nie rozniewać jak tamtą. Wtedy był jeszcze mało doświadczonym uczniem, więc nie wiedział, ale teraz już wie. Pióro też znalazł i ojciec z pewnością kupi mu scyzoryk, więc już nic nie będzie brakowało. Dżek jest spokojny o siebie. Dobrze, że Fil siedzi daleko: usiadł z Allanem na ostatniej ławce. A Doris-aniółek siedzi w innym rzędzie zupełnie i można nie mieć z nią nic do czynienia.

Ani przeczuwał Dżek, jakie mu grozi niebezpieczeństwo. Bo paniom się zdaje, że tylko łobuzom zależy na tym, żeby gdzieś siedzieć, żeby nie było widać i żeby mogli dokazywać. A nie wiedzą, że jak człowiek ma przez cały rok z kimś razem siedzieć po cztery godziny dziennie, to musi dobrze się zastanowić, żeby potem nie miał przykrości.

I po co się wtrącać? Jednemu chce pani dogodzić, że niby ma krótki wzrok albo mały, sadza go na pierwszej ławce, a on nienawidzi pierwszej ławki, a inny jest znowu zły, bo zazdrości. I trudno powiedzieć, czy lepiej, żeby łobuzy siedzieli na pierwszej, czy na ostatniej ławce, czy razem, czy osobno. Allana w zeszłym roku pani aż cztery razy przesadzała, a Fila — nawet trudno policzyć. Oni sobie nic z tego nie robili, tylko innym spokojnym zatruwali życie.

Nawet sami uczniowie mogą się pomylić. Gdyby Dżek znał Czarli<sup>25</sup> tak, jak go później poznał, to wołałby nie korzystać z jego zegarka, byle był daleko. No, ale uczeń lepiej wie niż pani, gdzie i z kim chce siedzieć.

I co by to było, gdyby pani naprawdę posadziła Dżeka z Allanem? Ile kłótni i skarg, a może i bójki na lekcji, w przerwie i na ulicy. Pani przesadzi i zapomni, a ty się potem morduj przez całe cztery kwartały.

— Allan, uspokój się — mówi pani.

— Proszę pani, bo Fil mi przeszkadza.

— Uspokój się, Fil.

— Proszę pani, Allan przeszkadza.

I pani im wierzy, a klasa wie doskonale, że obojgu<sup>26</sup> przeszkadza szkoła, że woleliby latać po ulicy albo na podwórku — i żadne przesadzanie nie pomoże, tylko w całej klasie zepsuje porządek. Ale pani wierzy.

<sup>21</sup> Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*, zdrobnienia imienia *Charles*. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> Dik (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Dick*, zdrobnienia imienia *Richard*. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> z Harry (daw.) — dziś popr. forma N.: z Harrym. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> Garis — anglosaskie nazwisko, częściej występujące w pisowni *Garris*. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma B. i D.: Charliego. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> obojgu — tu popr. forma C. l.mos.: obu a. obydwu a. obydwom a. obydwóm (jako że mowa o dwóch chłopcach). [przypis edytorski]

— Niech Dżek Fulton siądzie na ostatniej ławce, a ty siądz z Peelem — mówi pani. Dżek zaczął powolusieńku zbierać manatki, aż pani powiedziała:

— No, przódz.

Peel spojrział na Dżeka ze współczuciem, choć i jemu było niewesoło. Co robić? Przecież to niemożliwe. Ale spierać się z panią nie będzie. Fil był odważniejszy:

— Ja nie mogę tam siedzieć — powiada.

— Dlaczego?

— Już ja wiem, dlaczego.

— Więc powiedz, bo i my chcemy wiedzieć.

— Mama nie pozwoliła.

— A skąd mama wiedziała, gdzie ty masz siedzieć?

Klasa przycichła: wszyscy zaciekawieni czekają.

— Proszę pani, doktor zabronił. Koło okna nie mogę. Zaraz bym się zaziębił.

I Fil zaczął kaszleć tak, że niektórzy nawet uwierzyli. Pani, rozumie się, też uwierzyła i dała spokój. Ale Dżek bał się jeszcze długo.

A na pauzie Fil zaczął skakać i klaskać w ręce.

— A tom panią nabrał dopiero.

Bo w zeszłym roku pani posadziła Sandersa daleko od okna, że niby mizerny i kaszle, a od okna wieje. I Fil w samą porę przypomniał sobie tę bajkę.

Więc siedzi Dżek i myśli o scyzoryku. Najważniejsze — przypomnieć ojcu niby przy-padkiem. Na przykład będą szli tak we dwójkę. Dżek zatrzyma się przed wystawą i powie:

— Patrz, ojczulku, jaki ładny scyzoryk.

Jeżeli ojciec od razu sobie nie przypomni, Dżek doda po chwili:

— Pytałem się, ile kosztuje: wcale niedrogi.

Może jeszcze powiedzieć, że nauczycielka rysunków jest bardzo surowa i żąda, żeby dobrze temperować ołówki.

Przecież wstyd i nieprzyjemnie przypomnieć wyraźnie:

— Ojciec obiecał kupić scyzoryk.

Może ojciec ma inne ważniejsze wydatki, a przykro mu będzie odmówić. A może się nawet rozgniewa i powie, że go Dżek i tak dużo kosztuje.

Dziwne, że dorośli mają tyle pieniędzy, a zawsze im braknie. Co prawda, duże mają i wydatki.

I dziwnie znalazło się to pióro. Leżało pod szafą koło samej nogi. Mogło tam leżeć i leżeć i nikt by go nie znalazł. Bo wciśnięte było w sam kącik. Całe szczęście, że Dżekowi potoczyła się ołowiana kulka, Dżek machał patykiem pod szafą i zamiast kulki znalazł wreszcie pióro. A kulka znowu wcale nie była pod szafą, a na środku pokoju pod krzesłem.

Jak to różnie giną rzeczy i się znajdują. I żeby nie wiem jak się pilnować, każdy musi coś zgubić. I tak wygląda, jakby ktoś na złość schował, a potem podrzucił. Bo możesz dziesięć razy zaglądać w to samo miejsce i nie ma, a potem jest nagle tam, gdzieś szukał<sup>27</sup>.

Dżek ma bardzo dużo różnych rzeczy, ale wszystko porządknie ułożone w skrzynce, którą mu ojciec zrobił. Osobno leżą rzeczy, które są często potrzebne i mogą się przydać, osobno takie, do których rzadziej zagląda. Dżek często porządkuje skrzynkę i za każdym razem układa inaczej. Próbował różnie. To płaskie rzeczy kładzie na dnie, żeby mniej miejsca zajmowały, a drobiazgi na górze. To znów osobno szkolne rzeczy, osobno różne pamiątki, osobno to, co chętnie zamieni, bo mu niepotrzebne. Podczas układania zawsze się coś nie mieści albo czegoś za dużo i wtedy dawał małej Mary.

Mary zawsze jest obecna podczas porządków w skrzynce i zapytuje nieśmiało:

— Czy ci potrzebny ten sznurek, pudełko, papierek?

Dżek mówił tak albo nie albo się pytał:

— A do czego chcesz?

Mary mówiła:

— Tak sobie.

Albo:

— Będę się bawiła.

Bogactwo, Dar

<sup>27</sup> gdzieś szukał — tu: gdzie szukałeś. [przypis edytorski]

Albo:

— Zrobię coś dla lalki.

Dla lalek wszystko się przyda: one nie są wybredne. I tak jest na świecie, że co niepotrzebne dorosłym, dają dzieciom, starsze dzieci, jeśli nie wiedzą, co robić, dają małym, a mali dają lalkom. Przyjemnie bodaj tylko lalce coś podarować i zapytać się:

— Podoba ci się? Jesteś zadowolona?

Dżek bardzo lubi swoją skrzynkę. Żeby się jeszcze zamykała na kluczyk, byłoby lepiej. Przyjemnie wiedzieć, że coś jest zamknięte i nikt nie otworzy. Czarli ma całą szufladę własną, a klucz nosi na wstążce. Właściwie powinien być na dewizce, bo tylko dziewczynki noszą na tasemce kluczyki od piórników. Ale Dżek nawet piórniki ma otwarte.

Pewnie i scyzoryka nie dostanie, bo trzeba dać buty do podzelowania i mama wspomniała o nowej czapce.

To przykre, że dzieci tak drogo kosztują. Czarli jest jednak, więc ma nawet album z markami<sup>28</sup>. A Sandersiaków<sup>29</sup> jest aż pięcioro. I kiedyś pani Sanders, bijąc na schodach Robina, sama mówiła:

— Żeby się na śmierć zapracować, i tak na nic nie starczy, jak trzeba pięć żołądków nakarmić.

I powtarzała:

— A masz, darmożjadzie, a masz, a masz!

Ciągle mówiła: „Darmożjadzie”.

A przecież Robin zarabia, bo zanim idzie do szkoły, kurierki<sup>30</sup> roznosi. Widocznie mało zarabia.

Tak rozmyślał Dżek, przepisując wiersz o jaskółce, która uczy swoje małe latać. Właściwie Dżek powinien myśleć o jaskółce. W szkole panie zabraniają myśleć o czym innym i mają słuszość. Bo Dżek się już dwa razy omylił. Ale bardzo trudno myśleć akurat o lekcji, kiedy zupełnie inne rzeczy przychodzą do głowy. Chcesz się zmusić, żeby myśleć o jaskółce, i nawet zaczynasz, a tu nagle:

„Szczęśliwe jaskółki, że im butów ani palta, ani nic nie potrzeba”.

I dalej:

„Szkoda, że człowiekowi tyle potrzeba”.

I dalej, i dalej. Przypomnisz sobie panią Sanders, jak z całej siły biła Robina. I ani się obejrzyś nawet, jak dwa błędy zrobiłaś. A pani mówi:

— Jesteś nieuważny.

I samemu nieprzyjemnie, jak kajet jest pomazany.

Ale co na to poradzić, kiedy często chcesz, a nie możesz?

Dziecko, Interes

Bardzo łatwo nauczyć się czytać i pisać po polsku; prawie wszystko czyta się tak, jak się pisze, i pisze się tak, jak się czyta. Tylko *er-zet* czyta się jak *żet*, no i *ce-zet*, *es-zet* i *de-zet*. Trochę kłopotu ma się z *o* kreskowanym; no a że *chleb* pisze się przez *be*, a *ławka* przez *wu*, to bardzo łatwo spamiętać; bo mówi się *chleba*, a nie *chlepa*, i *ławeczka*, a nie *lafeczka*. Więc trzeba już być zupełnie gapą, żeby nie umieć.

O wiele trudniej czytać po francusku. Napisane *beaucoup*, a czyta się *boku*, pisze się *trois*, a czyta się *trua*, pisze się *je vous prie*, a czyta się *że wu pri* — to znaczy: proszę.

Ale od biedy i z tym można sobie dać radę. Za to w języku angielskim dzieją się straszne rzeczy. Znam tylko jeden wyraz angielski i mam dosyć na całe życie. Bo pomyśleć tylko że „Shakespeare” to znaczy „Szekspir”. Chyba już tylko chiński jest trudniejszy.

W Ameryce najwięcej piszą po angielsku i dzieci muszą w szkołach bardzo dużo czytać, żeby zrozumieć nawet najłatwiejszą powiastkę, a co dopiero książkę.

Więc chociaż w szkole była biblioteka, pani postanowiła urządzić własną biblioteczkę trzeciego oddziału<sup>31</sup>.

Słowo, Nauka

<sup>28</sup>marka (daw.) — tu: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>Sandersiak — dziecko państwa Sanders; forma nazwiska uzupełniona polskim formantem słowotwórczym -'ak, oznaczającym najczęściej istotę młodą. W czasie, kiedy powstawały powieści Janusza Korczaka, tworzenie takich form było w polszczyźnie znacznie częstsze niż na początku XXI w. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>kurierka (daw.) — gazeta. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>oddział (daw.) — tu: klasa. [przypis edytorski]

Pani tak powiedziała:

— To wielki wstyd, że nie wszyscy uczniowie trzeciego oddziału płynnie czytają. Kto płynnie czyta, ten po pracy, spędzonej w fabryce, weźmie sobie książkę...

— O Pinkertonie<sup>32</sup>, proszę pani — wtrącił Fil.

— Fil, nie przeszkadzaj, bo pójdziesz do kąta.

I pani dalej objaśnia o pożytku czytania.

— ...Na przykład spieszysz się do roboty, a tu na murze wisi nowe ogłoszenie...

— Że policja poszukuje morderców — dodaje Fil.

— Fil, uspokój się, bo cię za drzwi wyrzucę — mówi pani i dalej tłumaczy. — Płynnie powinien czytać każdy człowiek. Wymaga tego godność obywatela...

— Proszę pani, kto w kinematografie<sup>33</sup> nie zdąży przeczytać napisu, to potem siedzi jak tabaka w rogu<sup>34</sup>.

— Fil, wyjdź w tej chwili z klasy.

— Uj, już nie będę.

— Ruszaj za drzwi.

Fil spuścił pokornie głowę, idzie — ale zatrzymuje się przed stolikiem i pyta się:

— Ale prawda, że mam ruchliwy umysł?

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— A jak nauczyciel śpiewów się na mnie skarżył, pani sama przecie powiedziała.

— A ty skąd wiesz, co mówiłam?

— Bo bałem się, że będę miał grandę, więc sobie z boczku słuchałem, co powie.

— No, dobrze: brzydko jest podsłuchiwać. A teraz wyjdź, bo przeszkadzasz.

— Uuu-rozz-maa-icam lekcję — powiedział Fil we drzwiach.

Pani spokojnie już teraz skończyła.

Szło o to, że każdy ma w domu parę książek, więc niech je na rok pożyczy szkole. Jeżeli każdy da dwie książki, a uczniów jest czterdziestu, więc biblioteczka liczyć będzie osiemdziesiąt numerów. Każdy będzie mógł przeczytać osiemdziesiąt książek. I wtedy nie tylko Dżems<sup>35</sup> i Harry będą chętnie czytali, ale wszyscy.

— Ale trzeba, żeby ktoś się podjął biblioteczkę prowadzić. Z początku będzie nawet duża praca, żeby nalepić kartki z numerami, ułożyć katalog, zaprowadzić kontrolę.

Pani, rozumie się, dopomoże, ale odpowiedzialność za wszystko musi ktoś wziąć na siebie.

— Więc kto? — pyta się pani.

— Ja — odzywa się Fil przez uchylone drzwi. I tak to śmiesznie i nagle krzyknął, że wszyscy zaczęli pękać ze śmiechu. I pani naprawdę się już rozzłościła.

Gdyby nie Fil, może by od razu wybrano bibliotekarza, ale w hałasie trudno się porozumieć. Przy tym i pani była zdenerwowana.

„Niežnośny chłopiec” — pomyślał Dżek.

Bo Dżek był zachwycony pomysłem pani. Była to dla Dżeka najciekawsza lekcja, jaką słyszał. A słuchał tak uważnie, jak nigdy. Rzeczywiście, takie proste i mądre. Dżek ma w skrzynce trzy książki w oprawie i pięć małych książeczek. Ma *Kota w butach*, *Robinsona*, *Chatę wuja Toma*, dwa stare kalendarze<sup>36</sup>, bajki Andersena i jeszcze. I jest tak akurat, jak pani mówiła, że mu przeszkadzają, niepotrzebnie tylko zajmują miejsce, a potem nie mieszczą się ważniejsze rzeczy. Niech sobie koledzy biorą: bo Dżek jedno zna, a innych nie ma ochoty czytać.

<sup>32</sup>*Pinkerton, Allan* (1819–1884) — słynny amerykański detektyw i szpieg, założyciel agencji ochroniarsko-detektywistycznej, działającej nadal w XXI w. w USA. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*kinematograf* (daw.) — tu: kino. Na początku XX w. filmy pokazywano bez dźwięku, najważniejsze wypowiedzi czy komentarze pojawiały się na ekranie w formie napisów. Filmy były czarno-białe, a seans uzupełniała muzyka, grana na żywo na pianinie. Pierwszy film z dźwiękiem wyświetlono w 1927 r. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*jak tabaka w rogu* — powiedzenie to w całości brzmi: *być ciemnym jak tabaka w rogu* i opisuje osobę, która zupełnie nic nie rozumie i nie wie; *tabaka* — sproszkowany tytoń, zażywany przez wciąganie nosem, co ma powodować przyjemny odruch kichania i oczyszczać górne drogi oddechowe; daw. pojemniki na tabakę często wykonywane były z rogów zwierzęcych. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*Dżems* (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *James*. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*kalendarz* — dawniej dużą popularnością cieszyły się książki zawierające kalendarz uzupełniony dużą liczbą informacji praktycznych z różnych dziedzin, porad gospodarskich, krótkich opowiadań, ciekawostek itp. [przypis edytorski]



Dżek bardzo chciał prowadzić bibliotekę. Bo książki będą w szafce zamknięte na klucz. I trzeba pilnować porządku: żeby nie niszczyli, jak biorą. Każdą zwracaną książkę trzeba obejrzeć, każde najdrobniejsze uszkodzenie podkleić gumowanym papierem. Dżek na pewno by umiał. Píše nie bardzo ładnie, toby którego poprosił. A zresztą już by się postarał.

Kiedy pani zapytała się — kto, Dżek chciał podnieść rękę. Ale teraz za późno: może i jego wyśmieją, może pani chce kogoś innego. Więc się nie odzywa.

Gdyby pani dała czas do namysłu. Niechby każdy parę dni pomyślał, zastanowił się i poradził. Jak ojcu radzono, żeby rzucił fabrykę i poszedł do majstra, który lepiej płaci — ojciec cały tydzień chodził, pytał się, dowiadywał. A to przecież nie byle co — bibliotekarz całej klasy, jeżeli się ma udać. Powiedzieć: „ja” — łatwo; toteż Fil może nie błaznował wcale, może naprawdę myślał, że to przyjemnie, i chciał się przydać na coś. Bo Fil jest lekkomyślny.

A pani była już zła, więc się jeszcze więcej śpieszyła.

— No i nikt się nie zgłasza? No, więc dobrze: niech nie będzie biblioteki, niech trzeci oddział nie umie czytać. No, Harry, właściwie ty powinieneś się podjąć.

Ale Harry mówi, że nie może.

— Więc która z dziewczynek, jeżeli chłopcy nie chcą. Gdyby szło o futbol<sup>37</sup>, pewnie by było wielu amatorów. Może Klaryssa<sup>38</sup> albo Fanny?

Klaryssa nie chce, a Fanny sama się boi.

— Ja mogę prowadzić — mówi Dżems.

Klasa wie doskonale, dlaczego Dżems się zgodził: szło mu o to, żeby bibliotekarką nie została dziewczynka. Klasa wie, że się nie uda, jeżeli Dżems się do tego weźmie. Dżems jest zarozumiały, i on nie lubi, i jego klasa nie lubi. Samolub — czyta dużo, ale żeby go nie wiem jak prosić, nie opowie nic, nie pożyczy, nie wytłumaczy. Kapryśny i obraźliwy, a przy tym złośnik.

Ale pani od razu się zgodziła.

— Brawo, Dżems! Uratowałeś honor klasy.

Dżems skrzywił się, coś bąknął pod nosem i na pewno żałował już, że się zgodził.

Było źle: zaraz nazajutrz Dżems zapomniał klucza. Na przyniesione przez kilku kolegów książki powiedział, że śmiecie. Jedna książka głupia, druga nudna, trzecią sto już razy czytały dwuletnie dzieci. (Sam głupi zarozumialec: szkoda, że nie powiedział „roczne”). W ogóle tak mówi, jakby nie dla wszystkich miały być te książki, a dla niego tylko.

Po tygodniu już i pani spostrzegła, że się pomyliła. Dżems najwyraźniej w świecie robi łaskę. Kiedy mu pani wreszcie ostro zwróciła uwagę, że lekceważy dobrowolnie przyjęty obowiązek, Dżems powiedział, że nie umie i nie chce. I niesłusznie się pani na niego gniewała, bo naprawdę nie umiał. Przecież co innego samemu czytać, a co innego — książki do czytania wydawać.

Fil triumfował:

— Dobrze pani tak; ja bym się postarał o różne wesołe, takie śmieszne książki, różne bandyckie bujdy od brata, rozmaite mocium dzieju bajaderskie piosenki. Cały oddział tak by czytał jak aeroplan<sup>39</sup> — aż by warczało.

Ale bibliotekarką została Fanny i rozumie się, najprzód<sup>40</sup> chłopcy powiedzieli, że od niej ani jednej książki nie wezmą, a potem i dziewczynki dały spokój. Brały tylko lizuchy, żeby pani się przypodobać. Fanny udawała panią.

— To będzie dla ciebie za trudne. Nie dam ci tej książki, bo nie zrozumiesz.

A sama smarkata nawet nie wiedziała, o czym tam pisze<sup>41</sup>.

Raz nawet ośmieliła się powiedzieć:

— Przeczytaj na próbę pierwszą stronicę i opowiedz, to może ci wydram.

<sup>37</sup>*futbal* (daw., z ang. *football*) — piłka nożna. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*Klaryssa* — spolszczenie imienia *Clarissa*. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*aeroplan* (daw.) — samolot. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*najprzód* (daw.) — najpierw, z początku. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*o czym tam pisze* — dziś popr.: co tam jest napisane, co jest tam opisane. [przypis edytorski]

Za to brudasowi Dżonowi<sup>42</sup> dała zupełnie nową książkę Pennella i Dżon oderwał kawałek okładki, a w środku zamazał masłem. Całe szczęście, że Pennell gamajda<sup>43</sup> i każdy z nim robi, co chce, bo inaczej miałyby za swoje.

Wreszcie pani się zniechęciła.

— W tamtej szkole, gdzie byłam, doskonale się udało, a tu doprawdy, że się zniechęciłam. Jeżeli nie chcecie, powiedzcie szczerze: „Nie chcemy”.

Fil nie wytrzymał.

— Proszę pani, ja bym powiedział, ale żeby mnie pani za drzwi nie wyrzuciła.

— Więc powiedz.

— Ale pani mnie nie wyrzuci?

— Fil, tylko nie żartuj, bo to doprawdy niewesoła sprawa.

— Ja nie żartuję, tylko niech pani powie, żeby się nie śmiali.

— No, już mów.

— Proszę pani, trzeba kupić ciekawe książki: jakieś takie wesołe albo *Bosko czarnoksiężnik*<sup>44</sup>, zagadki, *Eddie Polo*<sup>45</sup>, sennik egipski, różne sztuki z kartami. Ja nawet mogę buchnąć<sup>46</sup> siostrze ten sennik: jak się komu śni na przykład pożar, to znaczy, że złodzieje. Widzi pani, już się zaczynają śmiać.

Pani powiedziała, że na próbę będzie sama przez miesiąc prowadziła bibliotekę. A potem się zobaczy.

Fanny wszystko oddała pani w największym porządku. Kartki już były ponalepiane, katalog ułożony. Klaryssa pomagała trochę. I niby jakoś szło, ale widać było, że biorą książki tylko dlatego, żeby pani nie obrazić.

A tymczasem Dżek umacniał się w postanowieniu, że nikt inny, tylko on zostanie bibliotekarzem. Już wszystko dokładnie naprzód sobie ułożył, pewien był wygranej, więc przyglądał się, jak to pani robi, słuchał uważnie, co mówi klasa — i czekał. A kiedy po miesiącu pani się znów zapytała, kto weźmie klucz od szafki, Dżek spokojnie, ale stanowczo oznajmił, że chce i może. Pani zgodziła się od razu.

Pani kazała dać książki Dżeka i Dżona i tak powiedziała:

— Patrzcie, książki Dżeka są czyste i porządnie obłożone, a Dżona pomazane, z rogami pozawijanymi, brudne i zakleksane<sup>47</sup>. Dżon wszystkim obrazkom dorabia wąsy, nazwisko swoje namazał prawie na każdej stronicy, a jak już chce coś wytrzeć, to ślini brudny palec i robi w stronicy dziurę.

Potem pani powiedziała coś, co nie było prawdą:

— Kto lubi czytać, ten szanuje książki. Powiedz, Fulton, prawda, że ty dużo czytasz?

Dżek nie chciał kłamać, a niegrzecznie z panią się sprzeczać. Więc chrząknął tylko i mruknął, co mogło znaczyć i nie — i tak. A pani myślała, że dużo, tylko nie chce się chwalić.

Nareszcie. Nareszcie będą wiedzieli, że i Dżek Fulton coś znaczy. Bo do tej pory Dżek mógł być albo nie być, i nikt nawet nie wiedział. Kiedy dwa dni miał gorączkę i nie przychodził do szkoły, tylko sąsiad i Nelly pytali się go, dlaczego. Nelly doszła<sup>48</sup> i powiedziała:

— Pewnie byłeś chory?

Dżek odpowiedział:

— Tak. Miałem gorączkę i kaszel.

— A teraz jeszcze kaszlesz?

— Troszkę — odpowiedział Dżek.

<sup>42</sup>Dżon (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *John*. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>gamajda — ciamajda, osoba powolna i przesadnie łagodna. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*Bosko czarnoksiężnik* — książka opisująca sztuczki magiczne, inspirowana postacią sławnego włoskiego magika Bartolomeo Bosco (1793–1863), którego występy dostarczały rozrywki monarchom europejskim w I połowie XIX w. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*Eddie Polo* (1875–1961) — austriacko-amerykański aktor epoki niemego kina. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>buchnąć (pot.) — ukraść. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>zakleksany (daw.) — pobrudzony kleksami z atramentu. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>dość — tu: podejść. [przypis edytorski]

Potem na lekcji Dżek naumyślnie głośno zakaszał: czy Nelly spojrz na niego. Ale Nelly nie spojrzała i od tej pory nie rozmawiał z nią ani razu. Ale ona jest bardzo miła: taka cicha i tak się przyjemnie uśmiecha, i takie ma mięciutkie włosy.

No tak. Nikt go w klasie nie zna, nikogo Dżek nie obchodzi. Nawet pani tak jakby go wcale nie znała. Pani zwraca się zawsze do kilku: jeżeli coś trzeba zrobić, przynieść albo rozdać kajety. A o innych jakby zapomniała. Tamci się nie wstydzą, rozmawiają, proszą, jak im czego potrzeba. A tak to się dochodzi jak do obcej.

Teraz jest zupełnie inaczej. Dżek musi z panią rozmawiać, bo jest bibliotekarzem. Dżek nie może chorować, bo ma klucz od szafy, Klaryssa w żaden sposób nie chce trzymać klucza: jeszcze zgubi albo zapomni, boi się, jednym słowem.

Pani wydawała książki w poniedziałki i czwartki. Dżek wydaje pięć razy na tydzień; tylko w sobotę<sup>49</sup> nie warto, bo na niedzielę daje biblioteka szkolna. Dżek korzysta z wolnego dnia i porządkuje szafę.

Z początku woźny się trochę krzywił.

— Czego ty nie idziesz do domu?

Ale widzi, że Dżek spokojny i można go w klasie zostawić. Nawet czasem pomoże przy zamykaniu. Po dwóch tygodniach powierzył mu kawałek kredy na zapas i Dżek był bardzo zadowolony, bo kiedy pani od rysunków powiedziała, że małym kawałkiem niewygodnie rysować, Dżek podczas lekcji otworzył szafę i zamienił mały kawałek na zapasowy duży. I zaraz po lekcjach oddał woźnemu i znów dostał inny.

Klaryssa właściwie nic mu nie pomaga, bo nawet nie ma w czym. Po ostatniej lekcji pyta się:

— Czy jestem ci potrzebna?

Dżek odpowiada:

— Nie.

Więc idzie do domu. A potem się i pytać przestała.

Wszystkie książki zajmowały w szafie tylko jedną półkę i kawałeczek drugiej. A właściwie nawet tylko jedną, bo kilka książek było w czytaniu. I prawie zawsze te same — najładniejsze. Z książek Dżeka chłopcy brali *Robinsona*, a dziewczynki — *Chatę wuja Toma* i bajki. *Kota w butach* nikt nie chciał, bo za dziecinna. Dziewczynki brały więcej niż chłopcy.

Kiedy po paru tygodniach pani się zapytała, czy są z Dżeka zadowoleni, wszyscy powiedzieli, że tak, najgłośniej krzyczeli tacy, którzy wcale książek nie brali. Ale Dżek był im mimo to wdzięczny.

Myliłby się, kto by sądził, że Dżek był zadowolony. Na początek i tak dobrze, ale Dżek musi zrobić, żeby wszystkie półki były pełne. Tymczasem pani chowa do szafy to jakieś wypchane zwierzęta, to globus, to kamienie, liście suche, to karton. Ale szafa z pustymi półkami drażni Dżeka.

Nie dawały Dżekowi spokoju słowa Fila:

„Gdybym ja był bibliotekarzem, toby cały oddział<sup>50</sup> tak czytał, aźby furczało jak aeroplan<sup>51</sup>”.

Zwróciłby się chętnie po radę do Fila, ale się bał z nim zaczynać: niepewny człowiek; choć kto wie, czy nie ma słuszności. Gdyby tak jakieś wesołe książki albo sennik egipski. Na przykład coś się śni, chce wiedzieć, co znaczy — przychodzi do Dżeka. Dżek zajrzy, pozwoli poszukać — to się może zachęci i weźmie coś do czytania.

Zresztą Dżek wie, że nie wszystkie książki dali do biblioteki: jedni się boją, że zginie, innym szkoda, innym rodzice nie pozwolili.

I Dżek musiał się pytać, czy rodzice pozwolą.

Bo jak się coś ma, nigdy nie wiadomo, czy to jest zupełnie własne. Inna sprawa: ubranie. Chociaż i ubranie, jeżeli się podrze, powinni zostawić podarte, a nie krzyczeć i kupować nowe. Ale prezenty powinny być już naprawdę własne. Jeżeli się złamie zabawkę albo chce подарować koledze, nie powinno obchodzić rodziców.

<sup>49</sup>sobota — dawniej był w tygodniu tylko jeden dzień odpoczynku od pracy i nauki: niedziela. Wolne soboty wprowadzono stopniowo, w Stanach Zjednoczonych dla niektórych grup pracowników już przed II wojną światową, w Polsce dopiero w latach 70. i 80. XX w. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>oddział (daw.) — tu: klasa. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>aeroplan (daw.) — samolot. [przypis edytorski]

Aż Dżek nie miał innej rady, tylko poradził się Fila.

Wybrał dzień, kiedy Fil był smutny, bo pani kazała przyjść jego matce na nieprzyjemną rozmowę; pewnie dziś nie będzie żartował.

— Nie martw się, Fil, pani ci pewnie przebaczy.

— A już; cztery razy mi przebaczyła, ale zapomniała i mówi, że trzy. Czy ja im się każę śmiać? I co ja takiego powiedziałem? Jak pani mówiła, że Murzyni nie chcą być czarni, więc poradziłem, żeby pili dużo mleka, to może zbieleją. Dlaczego nie spróbować; przecież jak się je jagody, to się ma potem czarne usta i język. A te barany zaraz w śmiech — a pani na mnie.

— Słuchaj, tyś wtedy mówił o jakiejś książce ze sztukami.

— Aaa, *Bosko czarnoksiężnik*.

— Możesz mi ją pożyczyć na jeden dzień? Ja ci nie zniszczę.

— Nie ma już tej książki: ojciec ją w piec rzucił i spalił. Tam był taki doskonały przepis na fajerwerki. Wszystko można samemu robić: perfumy, atramenty różnych kolorów — jak lykać ogień, jak przewrócić szklanekę do góry dnem, żeby się woda nie wylała, jak zagotować wodę w papierze, jak nożyczkami krajać szkło.

— I udawało ci się?

— Nie bardzo, bo się dopiero uczyłem. I mama mi przeszkadzała. Wiesz przecie, jak dorośli lubią wszystko przesadzać. Troszkę się coś zapali, to zaraz mówią: pożar.

— A zapaliło się?

— No, zapaliło się: ważna rzecz. Przecież sam ugasilem.

— I poparzyłeś się?

— Jak się poparzyłem, to mnie bolało, a nie ojca.

Fil był rozczulony.

— Wiesz, Fil, bo z tą biblioteką. Myślę, żeby tak zrobić. Kupię trochę obrazków, wiesz — malowanki: aniołki, kwiatki, motyle — takie różne. I kto przeczyta pięć książek, dostanie obrazek. A kto przeczyta wszystkie książki albo kto będzie miał dziesięć obrazków, ten dostanie order.

— A skąd będziesz miał ordery?

— Są, ale drogie. One się jakoś nazywają — kotyliionowe. Wiesz: ze złotego papieru. Nie widziałeś?

— Co nie miałem widzieć. Kotyliionowe? Skąd wiesz, że się tak nazywają?

— Pytałem się w sklepie, jakieśmy się w wojsko bawili. Już dawno.

— Także frajerska nazwa. Czy to dla kotów ordery?

— Nie. Jakiś taniec tak się nazywa i panny dają kawalerom.

— Wariaty — zdecydował Fil.

— Ja bym kupił złoty papier, kupiłbym na wzór jeden kotyliionowy order i może by pani pozwoliła na robótkach. Morris by potrafił — jak myślisz?

— Bo ja wiem: on robi ładne rzeczy; ale czy zechce?

— Nie szkodzi poprosić.

— Nie przypominam sobie — dodał Fil — ale w *Bosko czarnoksiężniku* musiało być także, jak się robi ordery. Bo tam wszystko było. A matka zaraz: „Oczy sobie wypalisz, oślepniesz, spalisz dom, do więzienia przez ciebie pójde”. No, patrz tylko: tu trochę sparzone — już nawet nie znać. A serwetę siostra zacerowała. Słuchaj, Dżek, pomów z panią: ty jesteś przecież bibliotekarzem. Okropnie mi akurat teraz nie na rękę ta cała historia. Powiedz, że przez cały tydzień będę cicho siedział na lekcji — od poniedziałku, rozumiesz?

— Dlaczego nie od dzisiaj?

— Tak od razu nie mogę. Bo jak się nie wie, to już cały tydzień jest jakiś — kotyliionowy. Powiedz pani; co szkodzi, jak się trochę pośmieją? Mnie to pani już nie wypada przebaczyć, ale tobie uwierz. Bo pani mnie lubi: jak nie jest zła, to też się lubi pośmiać. Wiesz, co pani powiedziała nauczycielowi śpiewów: że ja urozmaicam lekcję. Rozumiesz?

Fil wziął Dżeka pod pachę i siłą wepchnął do kancelarii.

— Tylko pamiętaj: spraw się dobrze.

I pani rzeczywiście — ostatni — już najostateczniejszy raz przebaczyła.

Potem był dzwonek, a na następnej przerwie Fil uczył klasę grać na zębach, więc nie miał czasu rozmawiać z Dżekiem.

Na zębach gra się w ten sposób, że się uchyla usta i paznokciami uderza się w zęby i można raz ciszej, raz głośniej — wygrywać wszystkie melodie. Właściwie nie Fil zaczął, tylko Barnum, który się nauczył od chłopca ze szkoły sto trzeciej. Ale Barnum grał tylko dla siebie, a Fil, uczeń Barnuma, utworzył naprzód kwartet, potem całą orkiestrę. Od trzeciego oddziału nauczył się drugi i czwarty. A potem już wszyscy umieli — i sam kierownik<sup>52</sup> zapowiedział, że dosyć, bo będzie sadzał do kozy. Bo już naprawdę zanadto: na pauzie, na ulicy i rozumie się, na lekcjach — kto miał chwilę czasu, już nawet sam nie wiedział, tylko grał na zębach.

Dżek więc nie mógł dokończyć rozmowy z powodu zarazy. Bo kierownik powiedział, że to zaraza i jeśli nie odzwyczają się, mogą zgłupieć zupełnie.

Jakże szczęśliwy byłby Dżek, gdyby taka zaraza czytania książek ogarnęła oddział. Dżek otwiera szafę, a tu się wszyscy pchają.

— Mnie, mnie! Ja długo czekam! Ja pierwszy! Ja zamówiłem.

Dżek mówi:

— Nie mogę się rozerwać.

Zupełnie jak w składzie wędlin przed Wielkanocą.

Tak marzył Dżek, schodząc do szatni po lekcjach. A tu go nagle Fil trzasnął w plecy, że mało nie spadł ze schodów.

— Dżek, nie bój się, ja ci pomogę. Ty też masz ruchliwy umysł.

I robiąc po trzy stopnie zbiegł na dół.

No i masz: zacznij tu z takim.

Samotny i stroskany wraca Dżek do domu — i ani się domyśla, jaka go czeka wiadomość.

Wiadomość tak niezwykła, tak nadzwyczajna, że sprawie biblioteki nowy nadała obrot.

Ni mniej, ni więcej, tylko Dżek dostał pocztą dolara.

A z dolarem tak było:

Dżek ma dziadka w innym mieście. Mniejsza o to, jak się nazywa, bo też inaczej się pisze i inaczej czyta. Dość że ojciec matki, więc dziadek. I dziadek zaprosił go na wakacje do siebie, ale ojciec nie chciał, żeby Dżek jechał. Dżek był bardzo zmartwiony, bo dziadek ma tam sklep, a ojciec ich nie lubi. Dżek nawet wie za co, więc się nie napierał.

Bo jak jeszcze Dżeka nie było na świecie i ojciec jeszcze nie był mamusi mężem, bardzo dawno — więc ojciec chciał się z mamą ożenić, ale dziadek nie dawał. Bo mama była córką kupca i była bogata, a ojciec był zupełnie biednym robotnikiem, jeszcze nawet biedniejszym niż teraz. Długo dziadek nie pozwalał tatusiowi ożenić się z mamą, więc ojciec martwił się długo. Ale mama też chciała wyjść za mąż za ojca. Dziadek widział, że nie ma rady, no i pozwolił. Ale dziadek mamę kocha, a ojca tak sobie; a ojciec nie lubi rodziny mamusi, bo są zarozumiali.

Raz ojciec nawet pokłócił się z mamą — wtedy właśnie, kiedy powiedział, że na chleb i mydło zarobi dla rodziny. Wtedy było bezrobocie — i mama chciała, żeby wyjechać do tego miasta, gdzie mieszkają wszyscy krewni mamy. A ojciec nie i nie. Ojciec ma zdrowe ręce i poradzi sobie, a laski żadnej nie potrzebuje.

Właśnie wtedy Dżek zaczął chodzić do szkoły, chciał szanować książki, a pani się na niego gniewała. Ojciec aż pożyczył na książki, chociaż strasznie nie lubił długów.

Dżek wiedział, że wszystko jest tajemnicą i o tych rzeczach dzieci nic nie powinny wiedzieć. Ale co zrobić, kiedy wie i słyszał?

List dziadka był taki — a właściwie nie list, tylko dopisek:

Pisała mi mama, że jesteś w trzecim oddziale i pilnie się uczysz, więc posyłam ci dolara, żebyś sobie kupił, czego ci będzie potrzeba.

Pozycja społeczna,  
Tajemnica, Dziecko

<sup>52</sup>kierownik (daw.) — dyrektor szkoły. [przypis edytorski]

Tymczasem ojciec nic jeszcze nie wiedział, bo był w fabryce, a Dżek niepokoił się, że może ojciec dolara też od dziadka nie pozwoli przyjąć.

Więc wyszedł na podwórko, usiadł na kamieniu koło parkanu i myśli:

„Jak to jest dziwnie na świecie. Jak się czegoś nie ma, wydaje się, że się wie, co robić, a jak się ma, to się nic nie wie”.

Bo Dżek często myślał, co by zrobił, gdyby miał dolara albo sto, albo nawet tysiąc: co by kupił rodzicom, co małej Mary, co sobie. Różnie układał, ale nigdy nie ułożył do końca, bo zawsze zasypiał. Bo najlepiej myśleć w łóżku przed zaśnięciem.

No i teraz nic nie wie, chociaż jasne jest przecie, że jak rodzice pozwolą, Dżek przede wszystkim kupi, co potrzebne do biblioteki. Już nie potrzebuje łamać sobie głowy, skąd weźmie pieniądze na obrazki; nawet orderzy gotowe może kupić. Cztery centy będzie dla Mary na ciastka i cukierki. Może coś mamie i ojcu. Przecież dolar ma sto centów — straszna kupa pieniędzy: na wszystko starczy.

Niepokój jego wzrastał w miarę tego, jak zbliżała się godzina powrotu ojca. Może wyjść na spotkanie? Ale przypomniał sobie, że pani zadała na jutro wiersze, więc wziął książkę i zaczął się uczyć na schodach; wiersze były bardzo trudne, więc męczyć się musiał.

Mama nie powiedziała od razu, tylko przy kolacji wspomniała, że trzeba podzelać buty Dżeka i kupić czapkę. Widać było, że boi się ojca rozgniewać.

— Bo, widzisz — mówi mama — Dżek nawet dostał od dziadka dolara.

I dopiero list pokazuje.

Ojciec wziął list, włożył okulary, a Dżek pochylił się nad miseczką z kartoflami, jakby coś złego zrobił i bał się kary.

— Pokaż no tę czapkę — powiedział ojciec.

A potem:

— Może jeszcze przez zimę pochodzić, nowej nie trzeba kupować. Żelówki sam mu sprawię. Jak mnie stać na buty, starczy i na żelówki. Weź sobie tego dolara, kup, co ci się podoba. To twoje.

A potem jeszcze dodał — i to Dżeka najbardziej zdziwiło:

— Tylko nie kupuj z tych pieniędzy scyzoryka. Jutro razem wyjdziemy, więc kupię. Pamiętaj, że ci obiecałem?

Dżek zauważył jeszcze, że ojciec nie zapalił po kolacji cygara i kiedy czytał gazetę, nie dmuchał cygarowym dymem spoza gazety.

Jakoś tak dziwnie wyszło, że Dżek obawiał się ojca, a właśnie mama mogła go pozbawić otrzymanego skarbu. Bo rozumie się przecie, że czapkę można jeszcze ponosić, a z żelówkami też można poczekać, jeżeli chodzić ostrożnie, a nie po błocie i kamieniach.

Strasznie dużo miał Dżek tego wieczora do myślenia:

Więc ojciec pamiętał o scyzoryku? A zapomniał zapalić cygaro? Może ojcu bardzo przykro, może naprawdę lepiej dolara dziadkowi odesłać? Jak można nie pozwolić się komu ożenić, jeżeli chce? I co by wtedy było z Dżekiem? Miałby jakiegoś innego ojca, a nie tatusia, jakiegoś zupełnie obcego czy jak? Przecież Dżek bardzo kocha ojca swojego. Nawet dobrze się stało, że nie pojechał do dziadka.

Później Dżek już miał aż do zaśnięcia same tylko finansowe myśli.

A ojciec nie zapomniał o scyzoryku, tylko wyszedł z nim razem. Właściwie nic w tym dziwnego, bo fabryka i szkoła razem się zaczynały. Ale dziwne było, że ojciec nie wstąpił do sklepu po cygara, tylko do księgarni i składu materiałów piśmiennych mister Tafta.

— No, wybieraj scyzoryk.

Rozumie się, Dżek wybrał mały, najtańszy, z jednym ostrzem, za cztery centy.

— Cóż to, kawalerze — powiedział mister Taft — przecież nie ten scyzoryk oglądałeś?

— Tak — zaczerwienił się Dżek zawstydzony — ale tamte są niedobre, bo się łatwo gubią.

Dżek czuł, że niemądrze powiedział, ale musiał przecież coś powiedzieć, żeby ojciec się nie domyślił, a nic mu do głowy lepszego nie przyszło.

Szczęście, że ojciec nie zauważył. A Dżek już się nawet domyślił.

Ale dopiero wieczorem na pewno wiedział. Bo ojciec znów nie zapalił cygara i mama powiedziała:

— Nie rób tego. Wszyscy mówią, że jak się ktoś przyzwyczai do palenia i od razu przestaje, to szkodzi na nerwy.



A ojciec odpowiedział i Dżek zapamiętał te słowa, i często je potem powtarzał:  
— Trudno; jak człowiek ma obowiązki, na wiele rzeczy nie może sobie pozwalać. Zresztą jutro już kupię.

I naprawdę nazajutrz ojciec wstał, jak zwykle, do dystrybucji po cygara.

A Dżek schował dolara na samo dno skrzynki i dla pewności przypomniał Mary, żeby sama do skrzynki nie podchodziła, bo nigdy z nią nigdzie nie pójdzie ani nigdy jej nic nie kupi.

I już. Jakby się nic nie stało.

Dopiero w niedzielę ojciec dał Dżekowi arkusz listowego papieru i powiedział:

— Musisz napisać do dziadka list z podziękowaniem.

— A co mam pisać?

Dżek nigdy jeszcze listu nie wysyłał.

— Napisz, że otrzymałeś i że dziękujesz, a jak chcesz, napisz, co z tymi pieniędzmi zrobiłeś.

— Jeszcze nic nie zrobiłem: leżą.

— No to napisz, co chcesz.

Dżek napisał.

Kochany Dziadku, otrzymałem przysłany mi w podarunku dolar. Mama chciała kupić czapkę i podzelać buty, ale ojciec nie pozwolił, więc kupię książki i różne rzeczy, bo jestem w szkole bibliotekarzem i będę miał duże wydatki.

Ojciec przeczytał list Dżeka, ale mu się nie podobał.

— Niepotrzebnie pisałeś o czapce i o zelówkach. Powinno się zawsze pisać tylko o tym, co się zrobiło, a nie, czego się nie robi.

— Więc mogę przepisać — powiedział zmartwiony Dżek.

Dżek dobrze rozumiał, dlaczego ojciec nie chce, żeby pisać o czapce. Bo wygląda tak, że niby Dżek nie ma czapki na zimę. Dziadek może myśleć, że chcą, żeby jeszcze coś przysłał.

— Niech już tak zostanie — powiedział ojciec.

Dżek sam zaadresował kopertę i sam wrzucił list do skrzynki. Bardzo przyjemnie pierwszy raz w życiu własny list wysyłać. I żeby w kopercie już nic innego nie było.

Ale Dżek nie był wesoły. Bo właściwie tak się coś pokręciło, że przez niego i ojciec, i mama mają zmartwienie, chociaż on nic nie winien. Bo dlaczego ojciec kazał napisać do dziadka list, chociaż go nie lubi? I mama jakoś tak ostrożnie z ojcem rozmawia. Bo jeżeli już dziadek pozwolił się ojcu żenić, dlaczego ojciec się ciągle jeszcze gniewa? Przecież dziadek nie może być takim znów złym człowiekiem. Nie zna Dżeka, a przysłał w zeszłym roku ciepłe rękawiczki i *Kota w butach*, a teraz — pieniądze. I Dżek nie wie, czy ma kochać dziadka, bo to ojciec mamy, czy go nie lubić i za co właściwie.

No, tak: jeżeli kto robi coś złego, to trudno przebaczyć. Dżek już dwa lata nie lubi Doris — i tylko przez książkę. A co by było, gdyby mu kazali ożenić się z Doris. Fu, za żadne skarby świata, żeby ciągle być z nią razem, żeby ona nalewała mu zupę i ruszała jego książki, kajety i wszystko!

Szkoda, że dzieci muszą udawać, że o tylu rzeczach nie wiedzą i nie rozumieją — i dlatego nie mogą się o nic rodziców zapytać. Bo gdyby Dżekowi pozwolili, na pewno by pogodził ojca z dziadkiem.

Biedny ojciec: przez dwa wieczory nie palił cygar, żeby na swoim postawić. Ojciec jest dumny. I Dżek jest dumny jak ojciec. Żeby mieć zdrowe ręce i tylko sobie zawdzięczać wszystko, i od nikogo nic nie brać. Dżek chce tak samo.

Nigdy jeszcze nie byłem w Ameryce, więc kiedy zacząłem pisać tę amerykańską powieść finansową, musiałem wiedzieć, jakie są tam na wszystko ceny. Ale mam w Ameryce znajomą dziewczynkę, więc prosiłem, żeby napisała, ile co kosztuje.

Bo kto chce pisać książkę, a nie zna się wcale, musi zapytać takich, którzy wiedzą. I to się nazywa: robić studia do powieści. Więc i ja robiłem studia.

Literat

A ta dziewczynka odpisała, że dolar ma sto centów i przed wojną pióro ze stalką kosztowało centa, a teraz trzy centy, kajet kosztował centa, a teraz pięć, ołówek centa, a teraz trzy, szczyryk albo piórnik tak samo pięć centów kosztowały, a teraz dziesięć. Za centa można było dostać trzy ciasteczka albo karmelek, a teraz karmelki tak samo kosztują, tylko mniejsze, i jedno ciastko za centa. Kinematograf<sup>53</sup> kosztował pięć centów, teraz dziesięć, futbol<sup>54</sup> piętnaście, teraz dwadzieścia pięć. Zegarek dolara, teraz jeden dolar do trzech. Rower dziesięć dolarów, teraz piętnaście albo osiemnaście. I w Ameryce wszystko przedwojenne było lepsze i tańsze.

Więc proszę pamiętać, że Dżek rozpoczyna, mając dolara, czyli sto centów. Ale finansowo mówi się trochę inaczej. Mówi się: Dżek rozpoczął z kapitałem stu centów. W ogóle w tej powieści będzie dużo słów, które są naukowe i handlowe. A im mądrzejsza nauka, tym trudniejsze słowa.

Na przykład robotnik czy doktor<sup>55</sup>, czy urzędnik — każdy za pracę dostaje pieniądze. Ale się to inaczej nazywa. Robotnik dostaje wypłatę, urzędnik — gażę, oficerowie otrzymują żołd, a lekarze — honorarium. Bo gaża — jest delikatniejsza, no, a doktor — wszystko musi mieć z honorem, więc i pieniądze.

Dżek miał kapitał zakładowy: dziewięćdziesiąt sześć centów, bo cztery przeznaczył od razu dla Mary i tego nie cofnął. Bardzo chciał kupić ojcu szczeniaka, a mamie figurkę jakąś na komodę; widział takie figurki porcelanowe z miseczką do szpilek; to jest bardzo ładny i pożyteczny prezent. A szczeniak byłby potem pieskiem i byłoby przyjemnie. Dżek nie zrzekł się projektu, ale kupi później, bo czuje jakoś, że rodzice nie chcieliby mieć nic z tego dolara.

Tak ostatecznie postanowił Dżek i wybrał się do mister Tafta dla omówienia sprawy. A miał taki plan:

Jeżeli mister Taft będzie w złym humorze, Dżek zapyta się tylko o książkę *Bosko czarnoksiężnik* — i nic więcej. Jeżeli mister Taft będzie w takim sobie humorze, Dżek przejrzy jeszcze sennik egipski i tyle książek, ile będzie można, żeby go nie rozniewać. Jeżeli zaś mister Taft będzie w dobrym humorze, Dżek powie mu wszystko. W każdym z trzech przypadków Dżek dowie się dokładnie o cenę kotylionowych orderów w dwóch gatunkach: tylko ze złotego papieru — i nic więcej, i droższych z różnymi ozdobami.

No, dobrze. Wchodzi. Ostrożnie otwiera drzwi, bo nad drzwiami wisi dzwonek. Bo mister Taft nie zawsze siedzi w sklepie, tylko w pokoju za sklepem. Ze sklepu do tego pokoju prowadzą dwa schodki. To bardzo mądrze urządzone; dzwonek tak wisi nad drzwiami, że jak się otwiera, drzwi uderzają w sprężynę, na której wisi. I złodziej nie może wejść niepostrzeżenie. Raz mister Taft był w złym humorze, a Dżek za mocno szarpnął i dostał burę.

— Śpieszy ci się — mruczał niechętnie — nie możesz ostrożnie wejść. Kupi za centa, a hałasu narobi za dolara. Jeszcze może szybko wytłucze. No, czego chcesz, pewnie stalkę<sup>56</sup>?

— Stalkę — powiedział stropiony Dżek.

— No, to bierz pędko. Tylko nie wybieraj godzinę, jak to umiesz.

Ledwo wyłożył pudło z przegródkami, gdzie leżą stalki, już zaraz zabiera:

— Pędziej: grube — cienkie?

Rozumie się, Dżek wziął pierwszą z brzegu i potem cały tydzień musiał nią pisać; już nawet drugą chciał gdzie indziej kupić, ale tam też nie zawsze byli grzeczni. W ogóle dzieci, nawet jak kupują, są często lekceważone.

Dżek nie wiedział, że mister Taft cierpi na reumatyzm. Obrzydliwa choroba: raz bolą nogi, raz ręce i nogi, raz krzyż, nogi i plecy. Bóle chodzą po kościach, a dostaje się tej choroby przez kamienną podłogę w sklepie i jeżeli drzwi nie zamykają i zimno leci. Kupcy wiedzą o tym i w miejscu, gdzie stoją cały dzień, kładą deski, żeby było cieplej. A ludzie dobrze wychowani starają się drzwi w zimie zamykać. Nawet w niektórych dużych sklepach wisi napis: „Proszę drzwi zamykać”; ale małe sklepy się boją, żeby się nie obrazili i gdzie indziej nie kupowali.

<sup>53</sup>kinematograf — tu: bilet do kina. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>futbol (daw., z ang. *football*) — piłka nożna, piłka do gry w futbol. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>doktor — dziś popr.: doktor. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>stalka (daw. pot.) — stalówka. [przypis edytorski]

Teraz już każdy rozumie, dlaczego mister Taft raz był wesół<sup>57</sup>, a raz zły albo tak sobie. Kiedy się już z Dżekiem zaprzyjaźnili, wytłumaczył mu: czasem reumatyzm wejdzie w nogi, wtedy dwa schodki — to jak dwa piętra, aż syka z bólu.

A najgorzej jak ma być deszcz. Najwięcej wszystko boli przed deszczem.

Od tej pory Dżek postanowił robić ważniejsze zakupy tylko w dniu zupełnie pogodny. Choć i ten sposób ma swoje złe strony, bo w dniu pogodny więcej jest kupujących, więc się śpieszą. I nie wiadomo, czy lepiej kupować, jak sprzedający nie ma czasu, czy jak go kości bolą.

Więc Dżek otworzył drzwi tak, że nie zadzwoniło za głośno — i wchodzi. Taft jest wesoły jak rzadko.

— Aaa, mister Dżek, jak się masz? Nie zgubiłeś jeszcze scyzoryka? Nie poszczerbiłeś go, nie ułamałeś końca? Bo wy nie umiecie się z niczym obchodzić i dlatego wszystko psujecie, i dlatego musicie ciągle kupować, a nigdy nic nie macie. Każda rzecz musi być używana do tego, do czego jest przeznaczona. Scyzoryk jest do drzewa i tylko do drzewa, i tylko do strugania. A wy chcecie, żeby scyzoryk był i dłutkiem, i siekierą, i lewarem, i korkociągami, i wszystkim. Żelazo nie żelazo, śruba nie śruba, blacha, kłoda drzewa — do wszystkiego u was scyzoryk. Jabłko pokroi, nie wytrze — a potem ma pretensję, że zardzewiał. Piórnik mu się zaciął, bo napchał za dużo, zaraz scyzoryk. Dawaj, to ci pokażę. Ooo, tu są delikatne zawiaski: jeżeli coś podważasz albo korek z butelki wyjmujesz, to zaraz obłuzujesz, przekrzywi się i nie chce się zamykać. Och, gapy, gapy.

Widzi Dżek, że dobrze. Byle tylko ktoś nie przeszkodził.

— Mister Taft — z miejsca zaczyna Dżek, nie chcąc tracić czasu. — Przychodzę do pana poradzić się w ważnej sprawie. Mam dziewięćdziesiąt sześć centów i chcę za to kupić książki, obrazki, orderki korymbonowe, cztery pióra, trzy gumy i dziesięć stałek.

Teraz Dżek jest pewien, że Taft wysłucha go uważnie, jeżeli nawet nie dziś, to innym razem. Bo nieczęsto się zdarza, że chłopak sam przychodzi po takie zakupy. I ani do głowy nie przyszło Dżekowi, że Taft może go podejrzewać.

— A skąd tyś wziął tyle pieniędzy? — zdziwił się mister Taft.

— Od dziadka — trochę niepewnie powiedział Dżek, bo jakoś nieprzyjemne było mu to wspomnienie.

— Hm, a gdzie jest twój dziadek?

— Daleko.

— Powiadasz daleko. No i jakże ci dał?

— Przysłał pocztą.

— Bardzo pięknie. No, a ojciec wie o tym?

— Wie.

Dżek odpowiada niechętnie. Zaczęło się dobrze, można było od razu przystąpić do rzeczy. A tymczasem ktoś wejdzie i zepsuje.

— No, a jakie książki chcesz kupić?

— Różne. Na przykład ma pan — *Bosko czarnoksiężnika*?

— Mam. Ale po co ci ta książka?

— Więc niech pan pokaże.

— Poczekaj no, mój kawalerze. Za dużo chcesz od razu kupować.

— To przecież dla pana lepiej — mówi Dżek, już zły nawet.

— Lepiej albo nie lepiej. Różni są, widzisz, kupcy. A ja, widzisz, jestem taki, że wolę mniej sprzedać, ale wiedzieć, że wszystko w porządku. Znam ciebie, mój chłopcze, od lat. Wiem, że jesteś porządny. I ojciec twój porządny robotnik. Znam i twoją siostrzyczkę. Jak ona się nazywa?

— Mary.

— Pamiętasz, kupowałeś raz dla niej obrazek. Poczekaj, niech no sobie przypomnę. Jakiegoś aniołka kupiłeś.

— Nie, świętego Mikołaja — poprawił Dżek.

— Dobrze. Więc wtedy rozmawialiśmy, pamiętasz? I pomyślałem, że to porządny chłopak, który nie kupuje dla siebie cukierka, tylko dla małej siostrzyczki świętego Mikołaja.

<sup>57</sup>wesół (daw.) — wesoły. [przypis edytorski]

Dżek słucha, ale nic nie rozumie.

— No, a teraz powiedz mi. Wiesz, że dziewięćdziesiąt sześć centów to prawie cały dolar?

— Wiem — mówi Dżek.

— A czy ojciec wie, że chcesz kupić *Bosko czarnoksiężnika*?

— Nie, nie wie.

— A czy ojciec wie, że ty masz dolara?

— Wie — powiedział Dżek, marszcząc brwi.

— A ja ci mówię, chłopcze, że nie wie. I ty lepiej nie kupuj tego wszystkiego, tylko pieniądze ojcu oddaj, a różnych głupstw nie kupuj. Tak, mój synu, przyznaj się ojcu, może ci przebaczy; a jak cię nawet ukarze, to nic. Mówi się: trudno. Bo najgorzej zacząć. Zaczyna się zawsze od tego, że kolega namówi.

Tego było za wiele. Mister Taft wyraźnie przecież mówi, że ukradł. Dżekowi lzy napłynęły do oczu. Nie wiedział, co powiedzieć, co robić.

— Więc pan mówi, że jestem złodziejem?

— Tego nie mówię. Ale czy chcesz przyjść tu z ojcem i powtórzyć przy ojcu, że dostałeś pocztą od dziadka dolara i ojciec pozwala ci kupić, co chcesz?

— Nie chcę przyjść tu z ojcem — zbuntował się Dżek.

— A widzisz?

— Co widzę?

— Nic. Płaczesz.

— Jeżeli tak, to dobrze — prawie krzyknął Dżek — przyjdę tu jutro. Powiem ojcu, że pan mnie nazwał złodziejem. To trudno: niech ojciec sam powie. Nawet i mama może przyjść. A tego dolara odeślę dziadkowi: niech sobie trzyma. I bibliotekę niech pani sama prowadzi. A u pana, mister Taft, już nigdy w życiu, ale to nigdy nic kupować nie będę. Ja wiem: panu się zdaje, że jak jestem dziecko, to już wolno wszystko. Dorosłemu by pan tak nie powiedział.

Teraz Taft nie wiedział znów, co robić.

— Więc mówisz dalej, że dostałeś od dziadka?

— A co mam mówić, kiedy dostałem? Jak tylko ojciec wróci z roboty... Nawet zaraz przyjdę tu z mamą.

Ledwo udało się Taftowi zatrzymać Dżeka.

— Słuchaj, Dżek — powiedział, trzymając go za rękę. — Stary jestem. Zdawało mi się, że nieprawda, ale teraz już sam nie wiem. Ale jeżeli się pomyliłem i wyrządziłem ci krzywdę, przebacz staremu. Każdy się może mylić. Chcę być twoim przyjacielem, bo jesteś porządny chłopiec. Nie zrozumiałeś mnie. Właśnie dlatego sprawiłem ci przykrość, że cię uważam za uczciwego chłopca...

— Który ojcu kradnie pieniądze — łkając dodał Dżek. — Zaraz się pan przekona.

I w dziesięć minut później matka najzupełniej potwierdziła to, co powiedział Dżek.

— Tak, wszystko prawda. Dostał pocztą od dziadka i ojciec pozwolił kupić, co tylko zechce.

Jednego tylko nie mógł Dżek zrozumieć: zamiast się gniewać, mama serdecznie uściśnęła rękę Tafta i podziękowała mu.

Za co?

A wróciwszy do domu, przytuliła splakanego Dżeka i mówi:

— Patrz, synku, pieniądze nie zawsze przynoszą człowiekowi szczęście.

To zdanie też zapamiętał Dżek i często sobie później powtarzał.

Następujące książki kupił Dżek do biblioteczki:

1. *Bosko czarnoksiężnik, czyli tajemnice czarnej i białej magii, wraz z kalendarzem astrologów i jogów indyjskich. Słoneczna przepowiednia szczęśliwych dni i miesięcy oraz wróżenie z kart, odgadywanie myśli z ręki i poznawanie charakteru ze sposobu pisania.*

2. *Piosenki wesołego kominiarczyka.*

3. *Mistrz piłki nożnej.*

4. *Zbiór powinszowań wierszowanych na dzień imienin, Nowy Rok i inne święta rodzinne.*

5. *Hodowla kwiatów i zwierząt (pies, kot, królik, świnka morska, jeż, wiewiórka, myszy białe. Z dodatkiem o tresowaniu zwierząt domowych i dzikich. Książka niezbędna dla każdego).*

6. *Sto tysięcy zagadek, żartów, śmiesznych opowiadań, arytmografów, szarad i rebusów.*

7. *Jak zbudować latawiec, balon i aeroplan. Robótki z zapalek, korków, pudełek od papierosów. Nauka i zabawa.*

8. *Szanuj zdrowie, jeśli chcesz długo żyć.*

9. *Lalka ze szmatki i papieru.*

Prócz tego kupił Dżek dwanaście drewnianych bąków. W ostatniej chwili przyszło mu do głowy. Zmienił bowiem plan co do orderów. Nie kupił i sennika egipskiego. Również później już postanowił oddać książki do oprawy introligatorowi; oprawa kosztowała drożej, niż przypuszczał. Toteż nabył tylko dwa pióra, jedną gumę i pięć stałek. Zostało mu trzynaście centów.

Dżek wydał osiemdziesiąt siedem centów; zajęło mu to cały tydzień akurat od środy do środy.

Niejednemu wyda się dziwne. Dlaczego tak długo?

Muszę więc wyjaśnić, że dobrze kupować jest tak samo trudno, jak dobrze napisać wypracowanie albo dyktando. W dyktandzie można zrobić jeden, dwa albo dużo błędów; błędy mogą być nieważne albo grube błędy. Kto nie umie i pisze niedbale, spieszy się, nie zastanawia — ten robi więcej błędów. Ale tak samo można kupować nieumiejętnie, niedbale i bezmyślnie. Wtedy albo kupi nie to, co potrzebne, albo kupi coś w złym gatunku, albo za drogo zapłaci. Potem żałuje. Zmartwiony — dziwi się:

— Dlaczego nie pomyślałem, nie obejrzałem, nie dowiedziałem się gdzie indziej?

Ale już za późno. Błąd jest — i nie ma na to rady.

Dżek chciał wydać swego dolara bez błędu, więc musiał dokładnie wszystko obmyśleć sam i poradzić się. Najwygodniej zawsze poradzić się rodziców; cóż kiedy z tej strony Dżek najmniej mógł oczekiwać pomocy. I w ogóle rodzice, którzy się znają na zakupach własnych, nie bardzo rozumieją, co jest konieczne dla dzieci. Często mówią:

— Szkoda pieniędzy. Po co ci to? Nie warto. I tak zepsujesz. Znudzi ci się. Kup lepiej coś pożytecznego.

A te ich pożyteczne rzeczy są właśnie takie, bez których doskonale można się obejść. Znam wypadek, gdzie matka zupełnie poważnie dowodziła, że lepiej kupić szalik na szyję niż parę gołębi, że ważniejsze są kalosze niż łyżwy. *O, risum teneatis, amici* (to znaczy po łacinie: Powstrzymajcie się od śmiechu, towarzysze).

Dżek wybrał drogę najwłaściwszą. Ponieważ książki przeznaczone były dla kolegów, postanowił ich się przepytać.

Podchodzi więc do Gastona i pyta się tak od niechcenia:

— Dlaczego ty wcale książek nie bierzesz?

— Po co będę brał. — wzrusza ramionami.

— No, żeby czytać.

— Nie zwracaj gitary<sup>58</sup> z czytaniem.

I widząc, że chce się od natręta odczepić.

— Słuchaj, Gaston, a chciałbyś zrobić latawiec albo aeroplan?

— Bo co?

— Bo może będę miał książkę, jak to się robi.

A nazajutrz Gaston sam już zaczepia Dżeka.

— No co, masz tę książkę?

— Jeszcze nie. Może tymczasem weźmiesz coś innego?

— Eee, wolę zaczekać.

I chociaż nie wziął książki, ale się nie obraził.

Stanley mówi, że jutro będą u nich goście, bo są imieniny ojca.

— A nauczyłeś się jakiego powinszowania? — zapytuje Dżek.

— Z czego się mam nauczyć?

— A są książki z powinszowaniami. Wierszyki, rozumiesz, powinszowania różne.

<sup>58</sup>zawracać gitarę (pot.) — zwracać głowę, naprzykrzać się, zajmować komuś czas czymś nieważnym i nie-miłym. [przypis edytorski]

Stanley nie rozumie, ale tym bardziej chciałby taką książkę zobaczyć.

— Jak napisać: „zmarznięta woda”? — zapytał się Todda.

— No jak? Bierze się ołówek albo kredę i pisze się.

— No to napisz.

— Ale po co? — mówi nieufnie Todd, obawiając się podstępów.

— Bo jest taka zagadka.

Todd chce wiedzieć — napisał.

— A teraz napisz to samo, ale żeby były tylko trzy litery.

Todd triumfująco napisał: „lód”.

— Nie sztuka: bo wiedziałeś.

— Nie wiedziałem.

Oczywiste kłamstwo. Klóć się. Niby się nie udało, ale w sprzeczce Dżek mówi, że w jednej książce jest zagadek różnych sto tysięcy, a niektóre takie, których nawet pani by nie zgadła.

I Dżek słyszy z rozkoszą wyznanie Todda:

— O, gdyby taka książka była w naszej biblioteczce, to rozumiem!

Dżek ani słowem się nie zdradza, że książka jest już u intrologatora.

Dżek przekonał się, że mister Taft dobrze mu poradził. Dlaczego jednak tak bardzo odradzał kupić sennik egipski? Właśnie na sennik zostawił jeszcze pięć centów: gdyby się okazał konieczny, Dżek będzie mógł kupić.

Tuzin bąków trafiło się Dżekowi nabyć bardzo tanio, a choć uczniowie trzeciego oddziału mniej się już bawią bąkami, jednak przyjemnie zrobić prezent małemu bratu albo siostrze. Pióra, gumę i stalki przeznaczył dla tych, którzy zapomnieli wziąć z domu i pani może się gniewać. Gumę kupił Dżek jedną tylko, bo gumę łatwiej pożyczyć od kogoś.

Aż trzy adresy intrologatorów dostał i wybór nie był łatwy. Jeden powiedział, że robi tylko drogie i ładne oprawy, więc mu się robota nie opłaca. Drugi był zajęty, ma duży obstalunek<sup>59</sup>, więc dopiero za tydzień będzie mógł się wziąć do książek Dżeka. A trzeci dopiero wytłumaczył, że są oprawy papierowe i płóciennne, trwałe i nietrwałe, że się książka zaraz rozleci, że są różne gatunki płótna. Rozumie się, są różne ceny. I dopiero Dżek musiał obliczyć, pomyśleć i wybrać.

Mister Taft odstąpił Dżekowi rabat, to znaczy policzył mu taniej, niż nawet wskazywała wydrukowana na książce cena.

Bo jest tak:

Jeżeli się coś kupuje, można się targować. Czasem powiedzą, że trzy centy kosztuje, a można tak zrobić, że się kupi za dwa centy. Ale nie każdemu się uda. Kto się wstydzi, ten na pewno nic nigdy nie utarguje.

Najważniejsza rzecz, żeby udawać, że się nie kupi. Więc mówi się:

— Och, jak strasznie drogo.

Trzeba przy tym zrobić przestraszoną minę.

Albo się mówi:

— Nie mam tyle pieniędzy.

Tu znów robi się minę smutną.

Można nic nie powiedzieć, tylko pokiwać głową i powoli odejść.

Ochodząc trzeba zawsze powoli, żeby sprzedający zdążył zapytać:

— No, a ile kawaler chce dać?

Albo:

— A ile masz pieniędzy?

Pytania podobne dowodzą, że ma ochotę sprzedać, że chce rozmawiać. I tu już różnie bywa. Albo da coś podobnego taniej, albo to samo, tylko w gorszym gatunku, albo i nie gorsze, tylko mniej ozdobne, albo w ogóle taniej policzy.

Dżek umiał się targować, ale o inne rzeczy. Wiedział, że jabłka bywają twarde, nie-dojrzałe, kwaśne albo przeciwnie, zanadto dojrzałe, że się już trochę nawet psują. I jeśli kto pokaże, że się zna, może kupić taniej. Ale nie wiedział, że jeśli cena wydrukowana na książce, można ją taniej kupić.

Kupiec, który się szanuje, nie pozwala targować się i grymasić. Mówi grzecznie:

<sup>59</sup> obstalunek — zamówienie, wyznaczona praca. [przypis edytorski]

— U mnie ceny są stałe.  
Albo mniej grzecznie:  
— Tu targów nie ma.  
Albo bardzo niegrzecznie:  
— To nie bazar, żeby się targować.  
Ale najporządniejszy może odstąpić rabat.  
Tak powiedział mister Taft.  
— Z każdych dziesięciu centów odstępuję ci jednego centa rabatu. To znaczy, że się dzielę z tobą zarobkiem, bo znam ciebie, bo zawsze u mnie kupujesz.  
Dżek chciał skorzystać z nabytej wiadomości i kiedy go ojciec posłał w niedzielę po gazetę, zapytał się uprzejmie gazeciarza:  
— Tatusz zawsze u pana kupuje. Czyby pan nie był łaskaw obliczyć z rabatem?  
— Głupiś<sup>60</sup> — powiedział gazeciarz.  
Trudno: nie udało się. Okazuje się, że nie wszyscy i nie na wszystkim odstępują rabat. Teraz już Dżek wie. Wszystkiego trzeba się uczyć, po trochu.

Udało się. Nowe książki wzbudziły duże zainteresowanie. Fil złapał swoją ukochaną książkę i tańczył z nią naprzód na podłodze, potem na ławkach, wreszcie na stoliku pani. Potem rzucił się na Dżeka, zaczął go pchać, ścisnąć, wreszcie wskoczył na plecy, że omal nie przewrócił. Potem odśpiewał jakąś dziką pieśń bez słów, aż przed drzwiami zebrali się kupa uczniów z dwóch młodszych oddziałów. Wreszcie zaproponował, żeby Dżeka na wiwat podnieść na rękach do góry. Hałas był, że nie daj Boże.

Dżek był zrazu nawet zły, ale rychło się przekonał, że Fil wyświadczył mu dużą przysługę. W mowie finansowej nazywa się to, że Fil zrobił mu reklamę.

— To jest prawdziwy bibliotekarz wolnej amerykańskiej republiki! Patrzcie, szanowna publiczności! Oto król bibliotekarzy! Długość metr i trzydzieści centymetrów, waga dwadzieścia dziewięć kilo, uczeń trzeciego oddziału, Dżek Fulton, zwycięzca turnieju bibliotekarskiego, międzynarodowy posiadacz najciekawszych książek północnej geograficznej szerokości, wszechświatowy mistrz czarnej i białej magii, pogromca Pytlasińskiego<sup>61</sup>, Ed-die Polo, apaszów<sup>62</sup> i detektywów! Wejście tylko pięć centymów, wojskowi i dzieci połowę. Wprowadzanie psów surowo wzbronione.

Fil gadałby tak bez końca, gdyby się nie rozległ dzwonek. Za to na lekcji był cichuteczki, aż go pani pochwaliła.

— Widzisz, Fil, jak chcesz, możesz być spokojny. Ani razu nie zwróciłam ci dziś uwagi.

— A pani może myśli, że nie uważam?

— Ależ nie. Mówię przecież, że się dobrze dziś spisałeś.

Po wyjściu pani Fil cztery razy ucałował książkę i narysował na tablicy małego człowieczka z olbrzymim nosem. A na nosie umieścił takie ogłoszenie:

Uwaga!

Bierzcie książki z biblioteki Dżeka. Spieszcie się, bo będzie za późno.

A kto książki nie otrzyma, będzie miał taki nos jak ja.

Potem umazał rękę kredą i biegał od jednego do drugiego, niby chcąc go pogłaskać po twarzy. Dziewczynki swoim zwyczajem zaczęły piszczeć. A Fil zapalił elektryczne światło, chcąc zrobić świetną reklamę biblioteki Dżeka.

I tu mu się nie udało, bo woźna poszła na skargę do kancelarii i Fil musiał wysłuchać przemowy, że:

„Ot, nie można go pochwalić”, że innych pochwała zachęca do poprawy, a jego tylko rozzuchwala, że jest nadal niezdolny i niepoprawny.

<sup>60</sup>głupiś (daw.) — jesteś głupi. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>Pytlasiński, Władysław (1863–1933) — mistrz świata w zapasach, aktor polskiego kina niemego. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>apasz (daw.) — opryszek, przestępca. [przypis edytorski]

— Ooo *Bosko czarnoksiężniku* — deklamował — ileż przez ciebie znieść muszę cierpień! Ale tym więcej cię kocham.

Po ostatniej lekcji Dżek, jak zwykle, zaczął wydawanie książek i zrozumiał teraz, dla czego kupcy i fabrykanci wywieszają na słupach, na szyldach, a nawet na ścianach i dachach ogromne ogłoszenia z napisem:

Kupujcie!

Dawniej dziwił się, bo jeśli komu potrzebne, a ma pieniądze, przecie i tak kupi.

To prawda; reklama jest dźwignią handlu.

Koło stolika zebrała się połowa klasy.

„Mnie! — Mnie! — Ja chcę! — Nie pchaj się — ja pierwszy! — Dżek, przędzej, bo muszę iść do domu!”

Nawet najspokojniejsi się pchali. Szczęście, że Fil dostał już rano swoją książkę: byłoby nie do wytrzymania.

— Dżek, tylko pamiętaj, że ja zamówiłem.

Tymczasem brali byle co, aby tylko Dżek zapisał nazwisko, aby znać było, że biorą książki.

Klaryssa poszła, jak zwykle, do domu, a Dżekowi naprawdę trudno było dać sobie samemu radę. Ten i ów ofiarował mu się z pomocą. Ale Dżek zauważył w tłumie Nelly i pomyślał, że byłoby dobrze, żeby ona mu pomagała. Dla Nelly schował Dżek książkę: *Lalka ze szmatki i papieru*, ale nie wiedział, co robić, żeby inne dziewczynki nie zauważyły.

— Dżek, daj i mnie coś — mówi Nelly.

— A możesz trochę poczekać?

— Dobrze — zgodziła się Nelly.

Aż przyszła i jej kolej. Klasa była już pusta.

— Jaką ci dać książkę? — pyta się Dżek, ale strasznie się wstydzi.

— Nie wiem. Daj jakąś — mówi Nelly i wzrusza ramionami, i przechyla na bok głowę, i uśmiecha się.

— A czy ty masz lalkę?

Nelly, zdziwiona pytaniem, nie odpowiada.

— Bo, widzisz, zapomniałem zupełnie, że ta książka się jeszcze została.

Dżek skłamał. Ale tak się strasznie zawstydził, że nic więcej nie mógł powiedzieć. Milcząc, podał *Lalkę ze szmatki*, odwrócił się i niby zaczął porządkować w szafie, bo był cały czerwony.

— Dobrze, wezmę — usłyszał głos Nelly.

— No to weź — powiedział szorstko.

Nelly wyszła. Dżek westchnął głęboko.

— Trzeba było od razu się zapytać, czy nie zechce pomagać. Cóż, kiedy nie można było. Jutro może się zapytam, czy przeczytała książkę i czy się jej przyda.

Rozumie się, że się przyda. Dżek nie zna się na lalkach, a umiałby zrobić lalkę ze szmatki i papieru według przepisu tej książki. Może nawet robi dla małej Mary, ale przedtem przyniesie i pokaże Nelly, czy dobra.

Nazajutrz pani się dowiedziała o nowych książkach.

— Skąd je wziąłeś.

— Kupiłem.

— Ile wydałeś? Skąd wziąłeś pieniądze?

Widać, że pani nie wie właściwie, czy pochwalić Dżeka, czy zganić. Dżek powinien był uprzedzić, że chce kupić książki, pani by poradziła. Nie każdą książkę warto czytać. Są i głupie książki także. Trudno: stało się. W każdym razie Dżek dał dowód, że sprawa biblioteki go zajmuje. Jednakże pani chciałaby na jedno zwrócić uwagę:

Czy słusznie, że Dżek dla dobra klasy poniósł aż tak dużą ofiarę? Rodzice Dżeka są biedni, są w klasie dzieci zamożne. Dlaczego jeden Dżek ma kupować książki, z których korzystać będą wszyscy? Pani zdaniem każdy powinien przynieść po jednym lub dwa centy, dzieci powinny zwrócić Dżekowi pieniądze. I tak przysłużył się klasie, poświęcając czas swój, bo bezsprzecznie jest wzorowym bibliotekarzem.



I Dżek nie wiedział, czy pani jest zadowolona, czy nie. A myśl o zwrocie wydanej sumy bardzo go zakłopotowała. Pani ma słuszość, zapewne, ale to zbieranie dla niego centów niezupełnie mu się podoba.

Klasa zgodziła się chętnie zaraz jutro przynieść pieniądze, a Fil zaproponował, żeby prócz tego — ofiarować Dżekowi kotylionowy order.

— Co ty też masz za cudaczne pomysły — zdziwiła się pani.

— To wcale nie mój pomysł — zaczął Fil, ale nie dokończył, bo Dżek spojrzał na niego groźnie.

W języku literackim mówi się: spiorunował go wzrokiem.

Więc dobrze.

Dżek wziął od mister Tafta rachunek, takiż sam rachunek od introligatora. Bo pani tak poradziła, że musi mieć dowody, że wydał akurat tyle pieniędzy.

I na drugi dzień Dżekowi zwrócono sześćdziesiąt cztery centy, a jeszcze nie wszyscy wpłacili. Bogaty Pennell dał aż cztery centy, a świnia Czarli tylko centa; w dodatku się targował, że on i tak z biblioteki Dżeka korzystać nie będzie, bo jak zechce, to sam sobie kupi.

Pani bardzo uprzejmie prosiła, żeby w przyszłości Dżek uprzedzał panią, jakie nowe książki chce włączyć do katalogu, bo pani odpowiada przed kierownikiem za wszystko i może mieć przykrości.

Zastosował się Dżek do życzenia pani, bo coraz to ktoś przyniósł jakąś nową książkę. Ostrożniejsi, którzy obawiali się, że bibliotekarz nie poradzi sobie, teraz nabrali zaufania i przynosili coraz chętniej. Półki wprawdzie się nie zapełniły, bo coraz większa ilość<sup>63</sup> książek była u dzieci.

Pani przyniosła dwa duże tygodniki z obrazkami w oprawie. Dżek miał wydawać je tylko najporządniejszym, bo to były właściwie tygodniki dla dorosłych, więc nie do czytania, tylko bardzo ładne w nich były ilustracje.

Tak, i dorośli mają w swoich książkach i pismach obrazki, ale że nie wypada, żeby dorośli patrzyli na obrazki jak dzieci, więc nazwali je inaczej — mądrze: ilustracje.

Spełniła się przepowiednia Fila: cały oddział zaczął czytać tak, że aż furczało. Dawniej tylko Dżems i Harry rozmawiali czasem o książkach, a teraz już prawie wszyscy.

Dżek dokupił jeszcze jedną bardzo pożyteczną książkę, jak z palców robić cienie na ścianie. Na przykład trzyma się poziomo duży i wskazujący palec, średni zgina się i opiera o wskazujący. A jak wieczorem trzymać rękę niedaleko ściany, to na ścianie odbija się zupełnie kaczka. A jak palcami ruszać, to się na ścianie dziób kaczki otwiera i zamyka. Tak samo można zrobić zającą, który rusza uszami. Najrozmaitsze ciekawe rzeczy wychodzą.

Pani nawet próbowała objaśnić, dlaczego robi się cień, ale nie wszyscy dobrze zrozumieli. Bo szkło jest przezroczyste — to prawda, ale z czego zrobione są promienie, trudno było wyrozumieć.

To znów chłopcy układali arytmogryfy<sup>64</sup> i wymyślali z głowy szarady. Morris narysował rebus własnego pomysłu. Fil do spółki z Sillem ułożyli wierszyk, do którego Barnum dodał melodię, tak że można było śpiewać. Rozmawiano często, która książka ładna, która nudna, kto woli powieści historyczne, kto fantastyczne. I Gade był zachwycony, że zgodnie z wskazówkami książki *O hodowli kwiatów* nauczył psa służyć, warować, aportować i nawet rozpoznawać literę *a*.

— Jak nauczę psa czytać, przyprowadzę go do szkoły.

Jednym słowem, w trzecim oddziale rozpoczął się żywy ruch umysłowy.

Dżek miał długą i poważną rozmowę z panią. Gdyby Dżek był dorosły, a nie mały chłopak, z trzeciego oddziału, napisałbym, że Dżek odbył z panią — konferencję.

— Proszę pani — mówi Dżek — podobno uczniowie siódmego oddziału mogą kupać w szkole zeszyty, pióra, ołówki i różne rzeczy. I jeden uczeń ten sklep prowadzi.

— Istotnie — mówi pani — siódmy oddział ma kooperatywę. Czy chcesz spróbować coś podobnego i w trzecim oddziale?

<sup>63</sup>ilość książek — popr.: liczba książek. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>arytmogryf — zagadka matematyczno-słowna. [przypis edytorski]

Dżek nic nie odpowiedział, ale pani sama się domyśliła, że chce.

— Widzisz, chłopcze, w siódmym oddziale<sup>65</sup> są już starsi uczniowie. Dobrze piszą, dobrze rachują. Obawiam się, że nie dasz rady.

Dżek uważnie patrzy na panią i czeka.

— Bo ja wiem. Z biblioteką doskonale sobie poradziłeś, ale kooperatywa jest o wiele trudniejsza.

— W szafce jest tyle wolnego miejsca — mówi Dżek. — Cała półka jest pusta. Mam tuzin bąków.

— Czego tuzin?

— Bąków drewnianych.

— Po co?

— No, do puszczenia. Takie, co się batem pogania i się kręcą. W sklepie kosztuje po dwa centy, a ja kupiłem cały tuzin za dziesięć centów. Na gwiazdkę będą mogli kupić dla braci i siostr na prezent.

— Więc bardzo chcesz spróbować?

Dżek nie odpowiedział, ale pani się domyśliła.

— Bardzo się boję — mówi pani. — Bo trzeba ci wiedzieć, że z własnymi pieniędzmi może każdy robić, co chce, i liczyć je albo nie liczyć. To jego rzecz. Z cudzymi pieniędzmi trzeba być niesłychanie ostrożnym. Kontrola musi być najściślejsza. Trzeba prowadzić książkę wpływów i wydatków; każdy wydatek musi być stwierdzony rachunkiem.

— Przecież przyniosłem rachunki od mister Tafta i od introligatora.

— Przyniosłeś. A czy posiadasz zaufanie klasy? Czy nie kłócą się z tobą?

— Teraz nie. Każdy dostaje na próbę gorszą książkę, a jeśli ją zwróci w porządku, dostaje lepszą. Każdy musi sprawdzać, że książka jest cała, a jak się jedna kartka kiwa, to zaraz przyklepam. Nie wolno trzymać książki dłużej niż tydzień. Sandersa i Dżona zupełnie wyrzuciłem z czytelnicy.

— A jednak dochodzą mnie skargi.

— Wiem, pewnie Doris.

— Skąd wiesz, że ona?

— Już teraz tylko ona się kłóci. Właściwie i ona nie powinna brać książek, ale mniejsza o to.

— No, tak. Ale od czego zaczniesz? Jak ty sobie to wyobrażasz?

— Wywieszam ogłoszenie, że kto chce należeć do kooperatywy, niech przyniesie pięć centów. Raz na tydzień urządzam posiedzenie, żeby powiedzieli, co kupić. No i kupuję, biorę rachunek, no i każdy bierze, ile chce, z rabatem, a potem kupuję coś innego. Nawet mogę nie brać od nich pieniędzy, bo mi zostało siedemdziesiąt osiem centów.

— Toś<sup>66</sup> nie odebrał całego dolara? — zdziwiła się pani.

— Wcale nie miałem odebrać tyle. Przecież wydałem tylko osiemdziesiąt siedem centów, więc mi zostało trzynaście. Potem mi zwrócili sześćdziesiąt cztery centy i jeszcze później siedem. Jeszcze wydałem sześć centów dla Mary.

— Kto to jest?

— Moja mała siostrzyczka.

Dżek się zaczerwienił, bo skłamał. Wydał dla Mary tylko pięć centów, a jeden cent schował na pamiątkę. Tego jednego centa Dżek nie chciał wydawać; zawiązał go w zieloną bibułę i włożył do pudełka wyłożonego watą. Był to cent, który mu dała Nelly.

— A co kupiłeś siostrzyczce Mary?

— Kupiłem jej dwa ciastka, dwa aniołki — taki obrazek, a za resztę cukierków. Chciałem kupić figurkę dla mamy, ale mogę zaczekać.

— A dla siebie nic nie kupiłeś?

Dżek wzruszył ramionami.

— Więc ci później dopłacili tylko siedem centów? — dziwi się pani.

— No tak, jak mi pani oddała te sześćdziesiąt cztery centy, to potem Gill dał mi dwa centy, Drel<sup>67</sup>, Hamilton, Parkins, Watson, Karr — po cencie.

— A inni?

<sup>65</sup>oddziale — dziś popr. forma Msc. lp.: oddziale. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>toś nie odebrał — dziś: to nie odebrałeś. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>Drel — nazwisko anglosaskie; bardziej prawdopodobna pisownia: Drell. [przypis edytorski]

— Może nie mają albo zapomnieli.  
 — Czy zapisałeś sobie, kto ci zwrócił?  
 — Kiedy i tak pamiętam.  
 Pani pocałowała Dżeka w czoło.  
 Dorośli mają taki jakiś zwyczaj, że jak z nimi rozmawiać albo się o coś zapytać, ni stąd, ni zowąd wezmą i pogłaszczą albo pocałują. To znaczy, że im się spodobało.  
 — No i mam jeszcze dwa pióra, gumę, cztery nowe stalówki i jedną raz używaną.  
 — Dlaczego raz używaną?  
 — Pożyczyłem Nelsonowi, bo mu wpadła do kałamarza i nie miał czym pisać.  
 Pani pogłaskała Dżeka po głowie.  
 — Więc słuchaj, Dżek. Tobie bardzo się śpieszy, ale trudno: zaczekaj parę dni. Dowiem się, kto prowadzi kooperatywę w siódmym oddziale.  
 — Wiem, proszę pani, on się nazywa Horton.  
 — Ach, i to nawet wiesz.  
 Często dorośli się dziwią, że dzieci coś wiedzą. Jakby trudno było dowiedzieć się, jeżeli komuś bardzo zależy.  
 — Więc rozmówię się z Hortonem, żeby ci pokazał, jak prowadzi rachunki, żeby ci wszystko wyjaśnił. Masz wprawdzie dobrą pamięć, ale wszystkiego pamiętać nie można, więc trzeba zapisywać. Tymczasem rozmów się z Klaryssą, czy zechce ci w tym dopomagać.  
 — Klaryssa mi już nie pomaga — szybko powiedział Dżek.  
 — Dlaczego? — zdziwiła się pani.  
 — Powiedziała, że i tak sam wszystko robię, więc po co ma się nazywać, że jest bibliotekarką?  
 — Pokłóciliście się?  
 — Nie. Tak sobie odeszła.  
 — A jednak byłoby dobrze, żeby ci ktoś w pisaniu przynajmniej pomagał. Bo bardzo brzydko piszesz.  
 — Nelly ładnie pisze.  
 — I ty możesz się nauczyć, tylko musisz popracować. I błędnie piszesz.  
 — Miałem tylko trzy błędy.  
 — Ale Harry napisał bez błędu.  
 — Bo on jest pierwszym uczniem.  
 — A ty nie możesz być pierwszym uczniem?  
 — Nie może przecież być dwóch pierwszych.  
 Pani się roześmiała i do kancelarii wszedł kierownik.  
 — Co to, zbroił coś? — zapytał kierownik.  
 — Nie, rozmawialiśmy o naszych sprawach. To jest właśnie bibliotekarz Fulton, o którym panu mówiłam.  
 Kierownik podał pani palto, pani powiedziała coś, ale pewnie po francusku, bo Dżek nie zrozumiał. Potem pani pożegnała Dżeka i wyszli, bo już było po lekcjach.  
 Na korytarzu stał Fil.  
 — Cóżecie tak długo gadali?  
 — No, nie wiesz? O kooperatywie.  
 — Pozwoliła?  
 — Dopiero mi powie za parę dni.  
 — Na pewno pozwoli. Wiesz, co powiedziała o tobie kierownikowi?  
 — No co?  
 — Że jesteś „szczególny chłopak”. Daj pyska, brachu, ty jesteś szczególny, a ja mam ruchliwy umysł.  
 — Co znaczy: „szczególny chłopak”? — zapytał się Dżek.  
 — Choroba tam ich wie. Ja ci mówią, że się z nią kierownik ożeni.  
 — Dlaczego?  
 — Już ja się na tym znam. Jak wychodzili, to ją trącił czy coś i powiedział: *pardon*.  
 — Więc co?  
 — Jak kawaler z panną zaczynają: *pardon* i *merci*, to się na pewno ożenią.  
 — A co znaczy: *merci*?  
 — *Merci* to po francusku: dziękuję.

Dżek przypomniawszy sobie, że tak właśnie powiedziała pani, kiedy kierownik podał w kancelarii pałto. Jak ten Fil wszystko wie — tylko szkoda, że taki łobuz.

— Ach, Fil, żebyś ty był spokojniejszy!

— A co ja robię?

— No, pomyśl tylko, czy można o pani mówić: „choroba ich wie”.

— Głupi. Przecież nie na panią tak powiedziałem, tylko w ogóle.

— I mówisz, że pani się ożeni z kierownikiem?

— No i co w tym złego? Wezmą się pod rączkę i będą sobie chodzili.

I złapał Dżeka pod rękę.

— Znow zaczynasz na ulicy.

— A ulica to kościół czy co? W domu nie można, w szkole nie można, więc gdzieś, u licha, można? Dawniej ludzie żyli po dwieście lat, a teraz niecałe sto. Więc trzeba się trochę ruszać po świecie. Bo ty może myślisz, że jestem łobuz.

— Może nie?

— A właśnie, że nie. Jestem tylko lekkomyślny, bo mój stryj był lekkomyślny, a ja się w niego wrodziłem. Rozumiesz? To nie moja wina wcale. Bo jak się kto w kogo wrodzi, to już zdechł pies: nie ma rady.

Dżek był bardzo zadowolony, kiedy Fil krzyknął mu nagle: „pardon, merci”, uczepił się z tyłu samochodu<sup>68</sup> i pojechał.

Bo Dżek chciał w samotności pomyśleć nad rozmową z panią.

Właściwie dlaczego dorosłym się zdaje, że dzieciom zawsze się spieszy? Przeciwnie, Dżek nawet woli, że pani da mu dopiero za parę dni odpowiedź. Poczekaj, ułóż sobie tymczasem dokładnie cały plan, jak się zabrać do trudnej sprawy.

Bo jeżeli naprawdę trzeba dużo pisać, a Nelly się nie zgodzi? Pani wspomniała, że jakieś książki trzeba pisać. Co to znow za książki?

Do obiadu zostało pół godziny, więc Dżek wstąpił do mister Tafta. On musi wiedzieć.

— Mister Taft, przychodzę do pana z prośbą. Jeżeli będę prowadził kooperatywę, będę dużo u pana kupował: dla całej klasy. Ale niech pan objaśni, co znaczy — „książka wpływów” i „książka wydatków” — i ile te książki kosztują, i jak się to pisze? Obiecał mi pan wynagrodzić krzywdę wyrządzoną niesłusznym podejrzeniem; nie gniewam się już na pana, chcę zostać pana przyjacielem. Zdaje się, że będę potrzebował pańskiej pomocy w wielu sprawach. Pan rozumie: kooperatywa — to nie jakaś tam biblioteka. Nawet szósty oddział nie ma jeszcze, dopiero siódmy. I co właściwie znaczy „kooperatywa”?

Mister Taft nałożył okulary, wyjął dwa kajety z kantorka, kazał Dżekowi usiąść i Dżek odbył drugą, tym razem prawdziwą już finansową konferencję.

I o dwadzieścia pięć minut spóźnił się na obiad. I dostał od matki taką sobie, niedużą burę.

Jacy są rozmaici, najrozmaitsi na świecie ludzie. Na przykład Fil Russel<sup>69</sup> i William Pennell. Jeden chwili nie może na miejscu usiedzieć, drugi rusza się jak niedźwiedź. Jakiś czas nawet nazywali Pennella niedźwiedziem. Nazywali go jeszcze ciemną, serdelkiem i: „i wiesz, co ci powiem”. Ale potem przestali, bo jedni widzą, że właściwie nie ma go za co przezywać, a inni uważają, że nie warto. Bo Pennell wcale się nie obraża, jak go przezywają. Przez całe dwa lata Pennell bił się tylko raz, a właściwie się nie bił, tylko wytargał za włosy, podrapał i ugryzł, i to kogo? — dziewczynkę. Prawda, że tą dziewczynką była Doris. Rety, co się wtedy działo! Pani mało nie zemdlą, że podrapano jej ukochanego aniołka. To nawet dziwne, że przez dwa lata jedna tylko Doris, i to raz jeden tylko, potrafiła rozżłościć Pennella. Bo tak to się tylko uśmiechał. A zaczęli z nim wszyscy, którzy lubią drażnić się i dokuczać.

Pennell był dobry nawet chłopak, tylko bogaty. Z początku przynosił kakao w termosie. Termos to taka flaszka, że jak wlać coś gorącego, nie ostygnie. Pennell pozwalał

<sup>68</sup>uczepił się z tyłu samochodu — w I połowie XX w. samochody jeździły po mieście znacznie wolniej, a niegrzeczni chłopcy często wskakiwali na tylny zderzak w czasie jazdy. Zwyczaj ten był uważany za niebezpieczny i naganny. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>Russel, częściej w pisowni Russell — anglosaskie nazwisko lub imię. [przypis edytorski]

każdemu oglądać, więc mu stłukli dwa termosy, a one są bardzo drogie. Po drugim przyszła matka Pennella na skargę i potem pani chowała mu kakao do szafki. Ale trzeci termos stłukł już na ulicy, więc przestali. Zaczął przynosić na śniadanie jajka, serdelki, sielawy (bardzo drogie ryby), jabłka, wiśnie, pomarańcze. Z początku prawie zawsze ktoś mu zjadał śniadanie, nie całe, ale trochę. Zaczęło się od kakao, bo każdy chciał spróbować, czy naprawdę gorące. Był czas, kiedy nawet sam się pytał: „Czy chcesz jeden serdelek?” albo „Czy chcesz pół pomarańczy?” Bo przestali już brać od niego, bo klasa się na tych gniewała, nazywali ich żebrakami, pętakami i mówili, że im oczy wyłazą. Więc dali pokój.

Ubranie miał Pennell ciepłe i bogate, ale zawsze brudne. Nos wycierał rękawem, chociaż miał chustkę, którą często gubił, i pończochy mu opadały. Bardzo był nieporządny. Jak czego nie zostawił w klasie, gubił na ulicy. Ale mówił, że na ulicy. Pennell nie był kłamczuch i nie lubił się skarżyć; mówił prawdę, jak go się zapytać. I to się niektórym nie podobało. Przez jakiś czas żartowano tak, że się pytali:

— Williamek<sup>70</sup>, kto ci zjadł śniadanie?

Inny powiedziałby: „Tobie co do tego?”, a Pennell nie.

— Kto mi zjadł śniadanie?... Jedno jajko zjadł Robin, a drugie jajko sam zjadłem.

— A jajeczko było smaczne? — pyta się kpiarz.

— Smaczne było — poważnie odpowiada Pennell.

— A kto zjadł wisienki?

— Wisienki to nie pamiętam. Jadł Sill, Higgs, a więcej już nie pamiętam.

Pieniądzy miał Pennell też strasznie dużo, ale kupował tylko, jak go ktoś namówił. Jak się zaprzyjaźnił z żarłokiem, wydawał wszystko na ciastka i cukierki — tylko fundy urządzał. To znów dziewczynkom kupował pierścionki.

— Co ty taki facet, że dziewczynkom prezenty dajesz?

— Kiedy mnie proszą.

I dopiero chłopcy na dziewczynki: zaczynają się wyśmiewać, że prezenty sobie każą kupować. Dopiero Una<sup>71</sup> wyrzuciła pierścionek przez okno, Rosa oddała i jeszcze nawymyślała, że daje i wymawia. Ale to wcale nieprawda, bo Pennell ani trochę nie wymawiał. Skończyło się z pierścionkami, znów zaczął się fotografować: co tydzień z kim innym. Chcieli w tajemnicy, ale się wydało. Znów wyszła z tego bójka: wtedy nawet Dik<sup>72</sup> pobił się z Towerem.

Bo najgorzej, jak ktoś zaczął się wtrącać, niby że przyjaciel i bierze go pod opiekę. W tym roku już nikt się nie przyjaźnił ani nie opiekował. Pennell przestał przynosić pieniądze do szkoły — może mu nawet rodzice przestali dawać — więc się skończyło i był spokój.

Dopiero jak pani urządziła bibliotekę, Pennell przyniósł może z dziesięć książek, ale strasznie zniszczone. Tylko jedna była nowa zupełnie, co to ją Fanny pożyczyła Dżonowi, a Dżon urwał kawałek okładki i wysmarował masłem.

Dżek trzymał się od Pennella z daleka. Ani go lubił, ani nie. Nie zazdrościł mu wcale: ma, to niech ma. Wyśmiewać się też nie było czego. Czasem nawet żał mu było, jak już za dużo zaczęli. Ale Dżek nie lubił się wtrącać. Ani razu albo może najwyżej raz rozmawiali ze sobą, ale pewnie wcale, bo Dżek nie pamięta.

Aż jak pani powiedziała, że pozwala na próbę założyć kooperatywę taką, jaka jest w siódmym oddziale, Pennell pierwszy doszedł do Dżeka:

— Wiesz, co ci powiem?

Pennell zawsze tak zaczyna. Inny zdążyłby sto razy powiedzieć wszystko, a on dopiero zaczyna.

— Wiesz, co ci powiem? Mam dwa dolary. Mamusia schowała. Pod klucz schowała. Ale to są moje dwa dolary. Jak będę chciał, to mamusia mi da. Więc wiesz, co ci powiem: jeżeli ci potrzebne, mogę ci przynieść. Powiem mamusi, żeby mi oddała, bo potrzebne, to mamusia mi odda i przyniosę na kooperatywę. Bo jak poproszę mamusi, to mi odda. Bo to są moje pieniądze, tylko mi mamusia schowała.

<sup>70</sup>Williamek (daw.) — polskie spieszczenie anglosaskiego imienia *William*. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>Una — imię pochodzenia irlandzkiego, występujące najczęściej w pisowni *Úna*, rzadziej *Oona* i *Oonagh*. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>Dik (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Dick*, zdrobnienia imienia *Richard*. [przypis edytorski]

Pennell jeszcze coś mówił, pewnie to samo w kółko, ale Dżek już nie słuchał, tylko rozmyślał.

Sprawa była trudna. Dorosły pomyślałby nawet, że to sprawa skomplikowana. Ale Dżek czuł tylko, że trzeba się zastanowić. I na szczęście przypomniał sobie słowa pani:

— Słuchaj: tobie się pewnie spieszy, ale trudno: zaczekaj parę dni. Za parę dni dam ci odpowiedź.

— Dobrze — zgodził się Pennell. — Zaczekam parę dni. Wcale mi się nie spieszy.

Co tu robić?

Brać czy nie brać?

Bo właściwie dlaczego nie wziąć? Weźmie przecie<sup>73</sup> nie dla siebie, tylko dla całej klasy. Zresztą będzie mu spłacał, bo kooperatywa przyniesie dochód. Ale z drugiej znów strony, zacząć właśnie od Pennella, od którego porządniejsi wszyscy trzymają się z daleka? Żeby nie było gadania, żeby się nie nazywało, że się zaprzyjaźnił, żeby od niego wymanic<sup>74</sup>? Bo jeżeli nawet nie pomyślał naprawdę, ale będą gadali. A pierwsza z pewnością zacznie Doris, za nią Klaryssa, pewnie Allan, może nawet Dżems?

Co tu robić?

Brać czy nie brać?

Nie wszyscy uwierzą, że Dżek wcale się go nie prosił, tylko Pennell pierwszy przyszedł.

Miał nad czym się przez dwa dni zastanawiać. No i wymyślił.

Po pierwsze, urządzi zebranie: niech sami powiedzą, co wolą. A po drugie, sam pójdzie do rodziców Pennella i zapyta się, czy chcą. Nawet lepiej naprzód rozmówi się z matką Pennella.

I taką odpowiedź dał właśnie.

W piątek po lekcjach wyszedł razem z Williamkiem i już na ulicy zaczął ich pierwszy Czarli. — Odprowadzasz Pennella? — mówi Czarli. — Pewnie będzie ci fundował?

— Właśnie, że nie.

— On idzie do mojej mamusi — mówi Pennell — jak chcesz, i ty możesz iść ze mną.

— Żeby być twoją niańką? Nie ma głupich.

Bo trzeba wiedzieć, że matka Pennella prosiła parę razy różnych chłopców, żeby uwa-  
żali na Williamka; przez jakiś czas pilnował go Jim, a potem Sanders. Za to Sanders do-  
stawał co niedziela obiad i stare ubranie, i trzewiki. Teraz dopiero przypomniał to sobie  
Dżek i nawet żałował, ale trudno. Tylko postanowił być tam krótko i co najważniejsze,  
nie przyjmować żadnego poczęstunku.

Najlepiej byłoby, żeby matka Pennella nie pozwoliła.

Ale, niestety, zaraz się zgodziła.

Dżek był nawet niegrzeczny, może nawet umyślnie był niegrzeczny. Nie chciał wejść  
do pokoju i za nic nie chciał wziąć piernika.

— Ależ wejdź na chwilę — mówiła mama Williama.

— Nie mogę, proszę pani, bo się bardzo spieszę.

— Nie zdejmuj palta: przecież chwilę możesz poświęcić matce kolegi.

— Proszę pani, ja się bardzo spieszę.

— No więc weź piernik na drogę.

— Nie, dziękuję.

— Nieładnie odmawiać.

— Kiedy dziękuję.

— Ale ty mnie obrażasz. Może jabłko?

— Dziękuję.

No i mimo to chciała mu od razu dać całe dwa dolary i Dżek musiał jej długo tłumaczyć, że się przyszedł tylko dowiedzieć, bo się dopiero naradzi z kolegami, że teraz nie może. Za to uspokoił matkę, że Williamkowi nikt nie dokucza, że śniadanie sam zjada i nic mu nie zabierają.

— Mój Dżeku — prosiła — ty jesteś taki mądry i porządny chłopiec. Ja wiem, że on nie jest bardzo rozzagnięty. Ale widzisz, mam tylko jego jednego. Dwoje mi umarło. Tylko mi po nich fotografia została. Gdybyś na chwilę wszedł do pokoju, tobym ci

<sup>73</sup>przecież — dziś: przecież. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>wymanic (daw.) — wyludzić. [przypis edytorski]

pokazała. Przychodził tu dawniej Iim, bardzo mądry i porządny chłopiec; ale nie wiem dlaczego przestał. Potem przychodził Sanders, ale — owszem — także bardzo mądry i miły chłopczyk — ale może on jest biedny bardzo — no i jakoś także przestał.

Dżek stał jak na rozżarzonych węglach. Ledwo się nareszcie wydostał.

„Pewnie William się wrodził w matkę — pomyślał, wychodząc. — Ale Sandersiak<sup>75</sup> musiał tam coś bardzo zwojować, zanim przestał przychodzić. I aż dwoje dzieci im umarło. Ale muszą być naprawdę bogaci: co tam dla nich znaczą dwa dolary”.

A nazajutrz w sobotę urządził Dżek pierwsze posiedzenie kooperatywy. Pani była na posiedzeniu obecna i pochwaliła, że Dżek poszedł zapytać się o pozwolenie matki Pennella.

— Bardzo rozumnie zaczyna Dżek swą pracę — powiedziała pani. — Teraz jestem spokojna o waszą kooperatywę. Dżek nie jest nowicjuszem: zdał chlubny egzamin jako bibliotekarz. Przeszedł już przez próbę ogniową...

Dżekowi jest strasznie nieprzyjemnie. Czuje, że się na niego patrzą, nie wie, co ma robić: czy wstać, czy siedzieć, czy spuścić głowę, czy się uśmiechać. Wstydy się, jest mu nieprzyjemnie. Na pewno zaczął dokuczać, nazwał go „próbą ogniotrwałą”, tak jak Doris nazwali „aniołkiem”. Zaraz pomyślał, że lizuch. I Dżek postanawia jak najrzadziej z panią rozmawiać, jak najmniej do pani dochodzić.

I po co mówić, kiedy jeszcze nic nie zrobiono i nic nie wiadomo.

No i wszyscy się zgodzili, że Dżek weźmie dwa dolary Pennella.

— Tylko nie przynos mi w poniedziałek. Już ci powiem, kiedy będzie trzeba.

Wszyscy poszli do domu, a Dżek jeszcze staranniej uporządkował książki w szafie. A woźny pożyczył mu ścierki. Bo chciał na czysto wytrzeć kurz z półek ze wszystkich kącików.

Początek zawsze jest najtrudniejszy. Jeśli miał tyle kłopotu z wydaniem własnego dolara, o ile trudniej było wydać bez błędu pieniądze Pennella.

I tu właśnie koledzy się spieszyli. Co komu potrzebne, zaraz przychodzi do Dżeka.

„Kiedy nareszcie? Jeszcze nie? Kiedy zaczniesz? Dlaczego nie kupujesz? Skąpy taki: dusi pieniądze. Jakby to były jego”.

Inni znów przychodzili z pytaniami, na które Dżek odpowiedzieć nie umiał, albo z projektami różnymi, które może były dobre, ale od razu nie można.

— Te, Dżek. A będziesz dawał na krydę?

To znaczy: bez pieniędzy. Na kredyt. Że później oddadzą.

— Słuchaj, Dżek, kup żołnierzy do naklejania. Kup arkusze z wojskiem, karton i klej.

— Za dwa dolary można dostać ołowianych żołnierzy.

— A będziesz miał papier glansowany do obłożenia kajetów?

— Kup dużo notesików.

— Ja widziałem takie ładne pocztówki.

— Wiesz, kupuj koperty z markami<sup>76</sup>. Możesz kupić sto marek pocztowych za pięć centów, a potem sprzedawać będziesz pojedynczo — to kupę pieniędzy zarobisz.

Nic sami nie dali, a tylko chcą mieć. I ani do głowy im nie przyjdzie, że Dżek musi wszystko liczyć, zapisywać, że musi myśleć o wszystkich, gdy oni — każdy myśli tylko o sobie. Kto chce scyzoryk, dawaj mu scyzoryk, kto zbiera marki, dawaj mu marki czy żołnierzy.

Kilku przyniosło po cencie i po dwa centy. I Dżek wydał im kwity. Pennellowi też wydał Dżek kwit na dwa dolary. Tak go nauczył Horton z siódmego oddziału.

Dżek kupił taki sam kwitariusz, to znaczy książeczkę z dziurkami, żeby łatwo było odrywać. Bardzo praktycznie i mądrze to wymyślono. Każdy kwit ma numer, żeby była kontrola. Na przykład Passon dał centa. Tam już jest wydrukowane, że kwit i miejsce, gdzie się pisze, kto i ile, i miejsce na datę.

<sup>75</sup>Sandersiak — dziecko państwa Sanders; forma nazwiska uzupełniona polskim formantem słowotwórczym -'ak, oznaczającym najczęściej istotę młodą. W czasie, kiedy powstawały powieści Janusza Korczaka, tworzenie takich form było w polszczyźnie znacznie częstsze niż na początku XXI w. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>marka (daw.) — tu: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

Kwit dla Pennella napisał Dżek w domu i to było nawet przyjemne; i odrywać z tych dziurek także przyjemnie. A następne kwity musiał pisać w szkole, jak nie było czasu, a jeszcze się pchali, żeby zobaczyć.

— Oo, jakie koślawe napisał!

— Oo, jak nabazgrane!

Jeden nawet powiedział, że nie chce takiego kwitu. Bo się kleks zrobił.

Ostatni kwit napisała Nelly.

— Napisz, Nelly, ty tak ładnie pisesz.

— A jak zepsuję? — odpowiedziała Nelly.

— Nie bój się: ja ci pokażę.

Ani się Dżek spodziewał, że pójdzie tak łatwo. Dżek nie zapytał się, czy Nelly chce mu pomagać, boby się pewnie nie zgodziła. Prosił tylko, żeby napisała. I będzie już zawsze musiała.

Horton z siódmego oddziału nie bardzo Dżeka nauczył.

— U was się nie uda. Zawracanie głowy. Trzeba znać ułamki i procenty. Tęgo ci nie mogę wytłumaczyć, bo i tak nie zrozumiesz. Ja prowadzę jeszcze to i to, ale dla ciebie i tak będzie dobrze. Waszej pani się zdaje, że kooperatywa — to zabawa.

Dżekowi było bardzo nieprzyjemnie, ale trudno. Zawsze się trochę dowie, a zresztą pani kazała.

— To jest książka magazynowa. Tu się zapisuje, co kupiłeś dla kooperatywy, a po tej stronie, co sprzedałeś. Patrz: kupiłem pięć tuzinów kajetów, a tu sprzedałem dziesięć i cztery, i pięć, i trzy, i pięć. No, ile będzie razem?

Dżek się pomylił.

— No, widzisz, nawet dodawać nie umiesz.

— Umieć dodawać — powiedział Dżek. — Będzie dwadzieścia siedem.

— Ale się mylisz. A teraz powiedz, ile powinienem mieć w szafie.

— Pięć tuzinów to sześćdziesiąt, a sześćdziesiąt bez dwudziestu siedmiu to trzydzieści trzy.

— A teraz przelicz.

Wyjął z szafy kajety, Dżek przeliczył: było trzydzieści dwa.

Teraz Horton znów się zawstydził.

— Prawda. Zapomniałem zapisać, że jeden kajet wziąłem na administrację.

— Co to jest?

— Kiedy indziej ci powiem.

Tak się skończyła rozmowa z Hortonem.

Trudno: gdyby Horton chciał, mógłby lepiej i więcej powiedzieć, ale i tak był mu Dżek wdzięczny. Książka magazynowa jest naprawdę potrzebna. Ważne bardzo, żeby zapisać, co się kupuje i co sprzedaje. I tak się trzeba pilnować, żeby się nie omylić albo nie zapomnieć wpisać. Horton chciał się pochwalić, że ma wszystko w porządku, i było mu nieprzyjemnie.

I jakie to podobne do arytmetyki:

Kupiec kupił pięć tuzinów kajetów i sprzedał dziesięć, cztery, pięć, trzy i pięć. Ile mu zostało? Pierwsze pytanie: ile kajetów kupiec kupił? Trzeba dwanaście pomnożyć przez pięć. Ile kupiec sprzedał?  $10 + 4 + 5 + 3 + 5 = 27$ . Ile mu zostało? Nawet może być i tak: ile mu zostało, jeżeli zapomniał zanotować jeden sprzedany kajet.

Jakie to ładne. Zupełnie jak czarodziejska sztuka. Bierze do ręki kajet i mówi: „W tej zamkniętej szafie jest tyle tego, tyle tego, tyle tego”. Otwierają szafę, liczą — i naprawdę zgadł: wszystko się zgadza. Żeby pokazać komuś, dziękmu jakiemu, toby myślał, że czary. Patrzy na jakieś kreseczki i wie, co się dzieje w zamkniętej szafie, do której nigdy nie zaglądał.

Dlaczego Dżek się ościagał, dlaczego nie zaczął od razu?

Bo nie wiedział i bał się, że zrobi głupio i zaraz z początku zepsuje. Bo początek nie tylko jest najtrudniejszy, ale i najważniejszy zarazem.

Więc przede wszystkim:

Czy zakupić kajety i inne przybory, tak żeby sprzedawać taniej niż w sklepach, czy cena ma być ta sama, tylko gatunek lepszy? Czy sprzedawać z zarobkiem, czy nie?

Myśli Dżek, myśli, myśli, ale nie wie. Więc udał się znów do Tafta z prośbą o radę.



— Muszę cię pocieszyć — powiedział mister Taft — ale i zmartwić także. Pocięgą niech ci będzie wiadomość, że trudności, które spotykasz, nie płyną ani z twojego młodego jeszcze rozumu, ani z braku doświadczenia. W kupiectwie, w handlu — najważniejsza jest kalkulacja. Kalkulacja — to jest obliczenie, ile płacić, ile zarabiać, za ile sprzedawać. I to właśnie, że musisz z góry obliczyć, co będzie — jest strasznie trudne. Bo kto kupi, nie wiesz, boś ani widział, ani rozmawiał, ani znasz kupujących. A oni są bardzo kapryśni. Za jedno chętnie płacą, a za drugie nie. Czasem wolą lepszy towar drożej, czasem gorszy taniej. Czasem najostrożniejsza kalkulacja się nie uda. I to jest ryzyko handlu. Tak jak loteryjka. A często jakby na złość: kupilem lepsze coś, a oni chcą gorsze, byle tanio. Bo zobacz tylko...

Mister Taft wyjął pudło i pokazał Dżekowi laurki — takie arkusze papieru, gdzie na górze są różne kwiaty, anioły — pisze się na tych arkuszach powinszowania.

— Prawda, że ładne?

— Śliczne.

Na jednych róże, na drugich maki, bratki, różne bukiety, wieńce, girlandy, kosze niezapominajek.

— No i cóż? Dwa lata to leży i nikt nie kupuje. I pytam się, dlaczego? Nie wiem. Widzisz, ja stary nie wiem, a ty chcesz już wiedzieć. Musisz spróbować<sup>77</sup>. Na to nie ma rady. Raz się uda, raz nie.

Więc Dżek spróbował.

Kupił na początek po dwa tuziny zeszytów w kratkę, w jedną i dwie linie, kupił tuzin ołówków, farby, kredki, stalki i na próbę kilka cyrkli, linii<sup>78</sup> i ekierok, papier szary i kolorowy glansowany, bibułę, karton i dwa scyzoryki.

Mister Taft dał rachunek i rabat. Policzył taniej, bo bierze od razu dużo.

I nowy kłopot:

Jak teraz liczyć?

Tu już postanowił naradzić się z panią.

Jeszcze muszę wspomnieć o wielkim niebezpieczeństwie, które mu groziło; na szczęście skończyło się dobrze.

Bo kiedy Dżek z całą tą paką przechodził przez plac, nagle lunął straszny deszcz. Paka była zawinięta w papier, ale deszcz był tak okropny, że od razu zrobiła się mokra. Dżek schowa pod palto i pędzi do bramy, aż mu ręce mdleją, bo ciężko. A przed bramą akurat z dziurawej rynny wali woda. Dżek chciał przeskoczyć, ale się pośliznął. I papier pękł. Dżek jeszcze zdążył złapać, ale już w bramie trochę mu się wysypało.

Tylko dwa kajety troszkę się zamoczyły na brzegu i jeden się zgniótł, i jeden ołówek mu zginął. Bo mu chłopak pomógł w bramie, więc może on wziął.

Ale Dżek chciał przynieść do klasy ładną, wielką pakę, a tymczasem tak mu się stało. Mało nie płakał ze zmartwienia. Szkoda nie tak duża, jeśli zważyć, co mogło się stać, gdyby wszystko wpadło do wody. Ale wstyd przed klasą. Zaczną żartować, nazwą niezdara.

Tymczasem nie. Cała klasa okazała mu współczucie. Zgnieciony kajet można położyć na spód i się wyprostuje. To na brzoisku wyschnie i nawet znać nie będzie. Farby są doskonałe; sam Morris pochwalił, a on się zna przecież. Ołówki też dobre, tej firmy ołówki są najlepsze — Morris zna tę firmę. Scyzoryki takie drogie.

— Uff, jacy my teraz bogaci — mówi Fil.

Dziewczynki już chcą kupować glansowany papier — wszystkie chcą czerwony, bo najładniejszy.

— Czy bibuły trzeba cały arkusz kupować, czy Dżek pokroi na kawałki? Jeżeli chce pokrajać, chętnie mu pomogą. I będzie można wypróbować<sup>79</sup> zarazem scyzoryki. Jeden scyzoryk powinien być dla całej klasy. Żeby pożyczyć tymczasem, jak kto chce zatemprować ołówki.

Dżek otworzył szafę. Pomogli mu ułożyć, co prawda nie bardzo porządnie, ale po szkole Dżek już poprawi.

Bardzo zajmowała wszystkich myśl, czy oni mają więcej, czy siódmy oddział. Chcieli nawet sprowadzić Hortona, ale Dżek prosił, żeby nie.

<sup>77</sup>spróbować — dziś popr.: spróbować. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>linij — dziś częściej używana forma D. lm: linii; linia — tu: linijka. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>wypróbować — dziś popr. forma: wypróbować. [przypis edytorski]

Z trudem po drugim dzwonku Dżek zamknął szafę, ale jeszcze stali przy Dżeku i przy szafie. Aż weszła pani.

Już ktoś chciał opowiedzieć, co się stało, ale pani nie dała:

— Dlaczego nie siedzicie na miejscach, nie słyszeliście dzwonka?

Pani była w złym humorze, gniewała się na lekcji, parę razy oglądała suknię i poprawiała włosy. To znaczy, że pani była zła, że zmokła. I prawdę powiedziawszy, klasa nie była za bardzo spokojna. Ogromna paka kajetów i tyle różnych rzeczy — nie pozwalały uważać.

Fil poszedł za drzwi, lim o mało co nie wyleciał, Ward stał w kącie, a Dżekowi pani powiedziała, że myśli o niebieskich migdałach i nie uważa na lekcji.

Sprawdziły się słowa Tafta.

Dżek kupił w równych ilościach glansowany papier czerwony, żółty, zielony, niebieski i czarny. I po trzech dniach nie miał już ani jednego czerwonego papieru. Ktoś powiedział, że czerwony papier się najmniej brudzi, i uwierzyli. A właśnie czarnego, na którym naprawdę nie znać plam z atramentu, nie wzięli ani jednego arkusza. Nie pomogło, że Dżek na samym wierzchu kładł żółty. Nie pomogły tłumaczenia. Przeciwnie nawet, i jeszcze gorzej było.

— Ja wiem — powiedziała pierwsza Ella — dlatego mówisz, że zielony lepszy: bo masz dużo.

— Nie mówię, że lepszy — bronił się Dżek — tylko taki sam.

— Więc jak taki sam, to daj czerwony.

Mister Taft zgodził się zamienić — i kiedy zobaczyli, że czerwonego znów jest dużo, kupowali teraz rozmaite.

Ella zna sposób okładania kajetów, że nie trzeba we<sup>80</sup> środku rozcinać, tylko się podwija — i nauczyła, jak to się robi. Kto bogatszy, okładał wszystkie kajety. Byli tacy, którzy jeden kajet obłożyli w glansowany, a resztę w szary.

I dopiero się pani dowiedziała.

— Co za dziwy — mówi pani. — Dżon ma obłożony zeszyt. I nawet porządnie napisał.

Bo kto obłożył kajet, ten się potem więcej starał. Nawet niektórzy umyślnie kupowali nowy, chociaż w starym mieli jeszcze kilka kartek czystych.

— Mam wydać na cukierki, to wolę mieć porządne kajety.

Dopiero powiedzieli pani, że jest już kooperatywa.

Dżek otworzył szafę.

Wyszedł z ławki, a wszyscy ucichli. Sięga do kieszeni. Już jest zupełnie cicho. Dżekowi lekko drży ręka, więc nie może od razu trafić kluczykiem. Jest tak cicho, że pani aż się obejrzała. No i Dżek otworzył szafę.

Ładnie wyglądało. Wyżej książki, równo ułożone, jak w prawdziwej księgarni; nie ułożone, bo stoją, a każda ma przyklejoną kartkę z numerem. A na dolnej półce — *ko-o-pe-ra-ty-wa!* Trzy kupki kajetów, obok papier: na dole szary, na górze glansowany. Obok pudełko drewniane od cygar: tam są ołówki, obok papierowe białe pudełko, tam farby. I małe pudełko od papierosów, ale ze szklaną pokrywką: tam leżą scyzoryki. Aż zabłyśły, jak je Dżek wyjmował.

Papierowe pudełko dał mister Taft, pudło od cygar przyniósł Pitt, a pudełko ze szklanym wierzchem dał Harry Passon. W tym pudełku trzymał Harry motyla. Bo Harry ma zbiory przyrodnicze: ma zielnik, morskie muszle, różne motyle i robaczki zatrute eterem i nasadzone na szpilki. Harry ma także gwiazdę morską i kawałek bursztynu, w którym jest zaklejona przedpotopowa mucha. Przed potopem bursztyn był żywicą i na tej żywicy usiadła mucha — i się zupełnie wkleiła. A potem to skamieniało i mucha już zostanie tam wiecznie. A jak bursztyn potrzeć o rękaw, małe kawałki papieru skaczą do bursztynu i tak na nim wiszą. Bo w nim jest elektryczność. Bo bursztyn jest przedpotopowy.

Harry ogromnie szanował swoje zbiory, przynosił do szkoły tylko wtedy, kiedy pani kazała. No i jeżeli on dał pudełko, a motyla przeniósł gdzie indziej, to znaczy, że szanuje Dżeka.

<sup>80</sup>*we środku* (reg. pot.) — dziś popr.: w środku. [przypis edytorski]

— Widzę — powiedziała pani — żeście się już zupełnie zagospodarowali. Zobaczymy teraz, czy siódmy oddział lepiej poprowadzi kooperatywę, czy wy.

Dżek był zadowolony, że pani zwraca się do całej klasy, nie tylko do niego.

Znów było bardzo cicho, kiedy pani przeglądała rachunki.

— Bardzo dobrze — powiedziała pani. — Czy wszyscy widzieli, jak się zapisuje?

Nie, nie widzieli.

Więc pani przepisała na tablicy jedną stronicę; a tak to wyglądało:

Kupiłem:

We wtorek — 12 arkuszy

W piątek — 12 arkuszy (zamieniłem 6 arkuszy żółtego i 6 czarnego na 12 czerwonego)

Sprzedalem:

W środę — 3 arkusze

W czwartek — 7 arkuszy

W piątek — 2 arkusze

W sobotę — 4 arkusze

W poniedziałek — 1 arkusz

We wtorek — 1 arkusz

Dopiero w sobotę Nelly poradziła, żeby nie pisać za każdym razem „arkusze”, tylko pod spodem dwa przecinki, bo znaczy, że to samo. Był też kłopot, że na górze było napisane „kupiłem”, a Dżek nie kupił, tylko zamienił. Nelly poradziła, żeby pod spodem napisać i wziąć w nawias. Nelly tak gdzieś widziała, a Dżek się zgodził, chociaż nie wiedział, czy można; ale innej rady nie było.

Ale pani powiedziała, że dobrze.

Najładniej było, kiedy Dżek powiedział, że można policzyć, ile powinno być w szafie czerwonych arkuszy, i że można sprawdzić. Pani razem z klasą policzyła i powiedzieli:

— Powinno być jeszcze sześć.

Dżek wyjął z szafy papier. Wszyscy patrzą i czekają. Dżek wie, że jest dobrze, ale się strasznie boi. Bo co powie, jeżeli nie będzie? Już nawet żałował, ale tylko na małą chwileczkę. Ale potem znów pomyślał, że nie szkodzi. Jeżeli mógł się omylić Horton z siódmego oddziału, to i on z Nelly mogą się pomylić.

— Jeden, dwa trzy, cztery, pięć, sześć.

Odetchnął z ulgą. Klasie też się bardzo podobało. Ktoś nawet chciał jeszcze. Ale pani powiedziała, że teraz nie lekcja arytmetyki i że trzeba wybrać komisję rewizyjną.

Przez całą godzinę wszyscy się bardzo dobrze sprawowali, nikt nie dokazywał. Może chcieli pokazać, że są naprawdę już starszym oddziałem, a może myśleli, że ich wybiorą do komisji rewizyjnej, choć co to jest — nawet Dżek nie wiedział.

Dżek był bardzo uważny, bo postanowił, że będzie myślał o kooperatywie tylko na pauzach, żeby mu pani znów nie powiedziała, że myśli o migdałach. Pewnie wcale nie ma niebieskich migdałów na świecie, więc się dlatego tak mówi.

Ale pod koniec lekcji już nie mógł — i zaczął nie uważać. Dużo różnych myśli przyszło mu do głowy.

Więc:

„Co by to było, gdyby zgubił pieniądze? Przychodzi do domu i nie ma portmonetki. Och, jak strasznie się trzeba pilnować”.

I przypomniał sobie Dżek, że raz naprawdę zgubił centa. Było to dawno. I było co innego: to był własny cent, a nie Pennella i całej klasy.

Potem przyszło mu na myśl:

„Za jakie pieniądze powinien kupować, jeżeli coś potrzebne? Na przykład kajet, gdzie zapisane, co kupił i co sprzedał, i taki sam kajet na brudno, gdzie sam wpisywał”.

Bo Dżek miał dwie kontrole. Co włożył do szafy i co wydawał, zaraz zapisywał na brudno, a potem dopiero Nelly przepisywała.

To dziwne, że się pani nawet nie zapytała, kto mu pomaga. Może źle zrobił, że sam nie powiedział, bo wygląda, że niby tylko Dżek otrzymał pochwałę, że bardzo dobrze. Nelly nie będzie się gniewała, ale innej mogło być przykro, że pani nie wie, że to ona.

Myśl

Dzwonek. I Dżek teraz dopiero widzi, że jest w klasie, że się lekcja skończyła, że przy nim siedzi Peel, że pani stoi i coś mówi. Pewnie pani coś na jutro zadała, a on nie wie. Dał sobie słowo, że będzie uważał, i nie udało mu się.

Fil powiedział na pewno:

— Psiakość słoniowa.

Bo zawsze tak mówi, jak jest niezadowolony.

Na pauzie Dżek zauważył, że Nelly jest jakaś smutna. Nelly nigdy nie bywa zadowolona. No — dziewczynki, rozumie się, mniej dokazują niż chłopcy, chyba taka Betty, ale ona jedna. Ale Nelly była naprawdę smutna: stoi przy oknie i tak jakoś patrzy.

Dżek musi się dowiedzieć, bo jak nie, to może zaraz wejść do kancelarii i powiedzieć, że wszystko pisze Nelly. Nawet woźny powiedział:

— Oho, widzę, że się z bogaciłeś: wzięłeś sobie sekretarkę. Ile też jej płacisz?

Woźny nawet poradził, jak ma ułożyć wszystko w szafie, i co dzień pyta, czy Dżek dużo utargował. Oddawał mu też do schowania zostawione przez gapy i niedbalców — pióra i ołówki, bo przychodzili do niego dawniej i zwracali mu głowę.

Dżek stanął niedaleko Nelly i czeka, aż go zauważy.

A potem:

— Czy nie wiesz, co pani zadała na jutro, bo nie słyszałem?

— Pani kazała przepisać dalej i podkreślić czasowniki. Może jeszcze coś, bo nie uważałam tak bardzo.

Nie, Nelly ma inne zmartwienie.

— Może jutro nawet nie przyjdę do szkoły — mówi Nelly jakby do siebie.

— Dlaczego? — pyta się Dżek. — Czy kaszlesz?

— Ja nie kaszlę, ale tatuś jest bardzo chory.

I łzy ma w oczach.

Dżekowi było bardzo smutno, więc nic nie powiedział, tylko stoi. Aż dopiero dolatuje Adams i z całej siły uderza go w plecy.

Ach, jak czasem trudno się nie bić! Bo masz zmartwienie, a tu cię ktoś nagle zaczepi. I żeby tylko to, ale nie; odepchniesz go albo powiesz, żeby poszedł; gdzie tam, dalej zaczyna. Uderzył, no to uderzył. Dziury nie zrobił, zaboli i przestanie. Ale on kontent<sup>81</sup>, że cię rozniewał, śmieje się i dalej zaczyna.

— Idź sobie — mówi Dżek.

— A ty mi każesz? — mówi Adams.

Dżek bał się, że się jeszcze Nelly będzie czepiał, więc już nic nie mówi.

— Coś taki dumny? Chcesz się gonić?

— No, uciekaj — mówi Dżek.

Ale ani myśli się z nim bawić. Tylko odszedł od Nelly i stanął przy ścianie. Doszedł do niego Iim.

— Dżek, coś ci powiem. Czarli rozpusza plotki, że jesteś dumny, że wcale nie można z tobą teraz mówić. Namawiał Harry<sup>82</sup>, żeby ci odebrał pudełko. „Po co masz temu zarozumiałcowi pomagać?” — mówi. Ja dopiero na niego: „Skąd wiesz, że dumny, kto ci to powiedział?” — Na mnie możesz liczyć. Jak będzie trzeba, to się nawet za ciebie pobiję. Ale się jego pilnuj. On, Sanders i Adams — to jedna paczka.

— No, a co Harry powiedział?

— A bo ich Harry nie zna? Sanders zły, żeś mu nie chciał dać na kredyt.

— Przecież mu dałem.

— No i co, oddał?

— Jeszcze nie.

— A ja ci mówię, że nie odda. Mnie winien cztery centy już więcej niż rok. Od Stanleya pożyczył, od Gilla, od Smitha, od dziewczynek pożycza. Jeszcze coś o nim wiem, tylko nie chcę mówić.

I Dżek wie, że wszystko prawda. Bo Iim lubi się wtrącać, to prawda, ale nie kłamie ani plotek nie robi. Tylko widzi niesprawiedliwość, mówi zaraz.

<sup>81</sup>kontent (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Harry (daw.) — dziś popr. forma B. i D.: Harrego. [przypis edytorski]

Widoczne było, że Czarli, Sanders i Adams namawiają się przeciwko Dżekowi. Naradzają się po kątach, razem wychodzą po szkole. Wszystko tajemnicze, że się nie można dowiedzieć. Ale i Dżek nie jest sam. Fil już dawniej chciał się z nim zaprzyjaźnić, Iim pierwszy do niego doszedł, Morris czeka tylko, żeby Dżek zaczął z nim rozmawiać. A Harry powiedział, że chętnie pomagałby Dżekowi, tylko nie ma czasu, i pyta się, czy Pennell należy do nich, czy nie. Rozumie się, że nie; Pennell dał tylko dwa dolary, a nawet nie Pennell, tylko jego matka. Pennell dużo kupuje w kooperatywie, ale nic więcej.

Dżekowi nieprzyjemne są ordynarne zaczepki Adamsa, ale Iim obiecał mu pomóc. Adams lubi się bić, ale nie z silniejszymi, a Iim ma w prawej ręce 70 siły, a w lewej 62½. Dżek ich się nie boi. Klasa nie lubi Czarli<sup>83</sup>, bo nudziarz i szachraj. Przez cały zeszły rok zbierał marki pocztowe, grał na marki, zamieniał. Aż mu pani dwa razy zabierała album z markami; a kiedy zabrała drugi raz, powiedziała, że nie odda. Czarli płakał, prosił, nudził i pani mu oddała, ale jeżeli jeszcze raz, to podrze na drobne kawałki. Pewnie Czarli sprzedał komuś, bo przestał. Ale dał się we znaki wszystkim chłopcom. A Sandersa też nie lubią, bo dawniej litowali się nad nim, że biedny, ale tak zaczepiał, dokuczał i żebrał, że już nie mogli wytrzymać. A jak pożyczył, ani razu nie oddał: na oddanie nie miał, a jabłka kupował. Już stracił do niego cierpliwość.

I tacy trzej postanowili urządzić drugą kooperatywę. Ciekawe, gdzie będą trzymali, bo przecie pani szafy im nie da. I skąd będą mieli pieniądze? Czarli mówi, że sprzeda zegarek, ale po pierwsze, czy mu rodzice pozwolą, a po drugie, nie taki on znowu głupi, żeby dawać pieniądze do spółki<sup>84</sup> z Sandersem i Adamsem. Gadać łatwo, ale robić trudno. Toteż gadają, że u Dżeka wcale nie taniej niż w sklepie, a nawet drożej. Dżek nie wszystko wiedział, co oni mówili; bo kiedy ktoś powiedział, że Dżek ma przecież rachunki, Czarli mówi:

— Ważna rzecz; ja ci takich rachunków przyniosę sto, jak zechcę.

Gdyby Dżek to wiedział, nie uszłoby Czarli<sup>85</sup> na sucho. Ale Iim nie chciał mu potworzyć. Iim umie trzymać język za zębami, jak trzeba.

A tymczasem zbliża się gwiazdka. Dżek miał zamiar urządzić coś takiego, że teraz dopiero dowie się klasa, co wart i co potrafi.

Najładniejsze wystawy sklepowe są przed gwiazdką. Różne ozdoby, książki w ładnych oprawach, nawet mydlarnie wykładają w oknach świeczki różnokolorowe. Jeśli dawniej Dżek lubił chodzić po ulicy, teraz przecież miał obowiązek przyglądać się, porównywać ceny i pamiętać, co może się przydać.

Dżek odbył dwie długie konferencje z mister Taftem. Na pierwszej omówiono warunki sprzedaży laurek, które w sklepie tylko zawadzały, więc Dżek może je kupić po wyjątkowo niskiej cenie. Za trzydzieści siedem laurek Dżek zapłaci tylko dwadzieścia pięć centów, sprzedawca je będzie po cenie, czyli że zarobi dwanaście centów. Dżek poprosi panią, żeby wybrała jakieś powinszowania noworoczne i w klasie napiszą. A dziesięć laurek Dżek da na kredyt, jeżeli ktoś nie ma pieniędzy. Bo chce, żeby wszyscy zrobili rodzicom na Nowy Rok niespodziankę.

Udało się jeszcze lepiej, niż Dżek przewidywał. Bo myślał, że wszyscy będą znów chcieli tylko laurki z czerwonymi różami, a tam były i bratki, i lilie, i narcyzy, i inne. Dwie laurki miały brzeżek trochę żółty, więc ich pewnie nikt nie weźmie. No, jedną ostatecznie może wziąć Dżek, ma tylko trochę żółte, że nawet nie znać. I nie wiedział, co zrobi, jeżeli wszyscy zechcą kupić. Wtedy zabraknie mu sześć, i będzie musiał dokupić i już drożej zapłaci, więc na nich straci. Ano, trudno.

W dodatku, jak się zaczęli pchać, żeby zobaczyć — zgniętli jedną taką ładną z girlandami.

Ale pani podobała się myśl Dżeka. I pani dała radę: naprzód przeczyta cztery powinszowania noworoczne z książki Dżeka, potem każdy wybierze, które mu się najlepiej

<sup>83</sup>Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma D. i B.: *Charliego*. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>współka — dziś: spółka. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma C.: *Charliemu*. [przypis edytorski]

podoba. Potem każdy weźmie arkusik papieru — i będzie niby dyktando. Pani podyktuje, każdy napisze. Potem pani dopiero w domu poprawi błędy. Potem pani rozda laurki, tak jak idą, po kolei, żeby nie było zazdrości. Jeżeli ktoś zechce, to się może zamienić. I na lekcji starannie przepiszą. Pani jeszcze raz przejrzy i odda do schowania do szafy.

Bo to już była myśl Fila:

— Jeżeli ma być niespodzianka, niech będzie niespodzianka. A w domu nie mamy gdzie schować. Więc przyjdą 31 grudnia do szkoły i wezmą. Tylko czy ich woźny wpuści?

Więc Dżek nie miał kłopotu. Nawet powiedzieli, że mogą zaraz jutro zapłacić. I dobrze się stało, że Czarli, Adams, Sanders, a za nimi jeszcze trzech chłopcy i dwie dziewczynki — nie chcą brać laurów, bo wolą kupić w sklepie i wybrać takie kwiaty, jakie im się podoba. Jeszcze Morris, Dik<sup>86</sup> i Harry obiecali, że na lekcji rysunków poliniują laurki, bo byli bez linii, więc nie umieliby pisać.

Jedni wybrali krótsze powinszowania, inni takie, gdzie można było zmienić „rodziców” na mamusię albo babcię. Bo na przykład Ella i Sinn nie mieli ojców, a Alin wychowywała się u babki.

Wszystko się doskonale udało. Tylko dwie laurki się zepsuły, bo się pomylili; na jednej można było wytrzeć, bo Harry umiał tak wycierać szczyrykiem i gumą, że wcale nie znać, a na laurce jeszcze łatwiej, bo jest gruby papier. A na robótkach Ella wycięła kwiaty z zepsutej laurki i przykleiła na inny arkusz papieru. A Morris domalował dwa kwiatki i jeden listek, że też nie było znać. Morris nawet powiedział, że gdyby miał dobre wszystkie farby i pędzelki firmy Kuk<sup>87</sup>, toby sam mógł malować dla wszystkich i byłoby tak samo ładnie, tylko kooperatywa oszczędziłaby jakie dziesięć centów. Więc dobrze: na przyszły rok będzie można właśnie tak zrobić.

Więc rezultat pierwszej konferencji Dżeka z mister Taftem przeszedł wszelkie oczekiwania.

Właściwie chciałem znów napisać, że się udało, ale już dwa razy tak powiedziałem, więc teraz trzeba inaczej — tak jak mówią dorośli:

„Rezultat konferencji przeszedł wszelkie oczekiwania”.

Albo jeszcze inaczej:

„Prześcignął najśmielsze nadzieje”.

Pani była bardzo zadowolona.

— Widzicie, jak dziś było cicho i ładnie. Każdy starał się pracować najlepiej, jak tylko mógł. Nawet Dżon zupełnie porządnie napisał.

Dżon zawstydzony spuścił głowę. Bo Dżonowi podczas przepisywania kapnęło nawet z nosa, ale ostrożnie wysuszył bibułą i pani nie zauważyła; chociaż w tym miejscu nie było plamy, ale się już papier nie świecił. Można, co prawda, wygłansować paznokciem, ale trzeba mieć bardzo czyste ręce, bo może się zrobić gorzej.

Pani jeszcze powiedziała, że koniecznie przed świętami trzeba wybrać komisję rewizyjną.

No tak.

Ale to dopiero była pierwsza narada Dżeka z mister Taftem. Druga, jeszcze ważniejsza, odbyła się wieczorem, kiedy sklep był zamknięty.

Mama pozwoliła Dżekowi wyjść po herbacie: będzie pomagał układać wystawę świąteczną. Wróci bardzo późno.

Dżek wszedł przez bramę, bo sklep już był zamknięty.

— Kto tam? — odezwał się mister Taft z ciemnego pokoju.

— To ja, Dżek.

— A to dobrze. Zaraz się weźmiemy do roboty.

To był właśnie pokój, do którego się wchodziło ze sklepu po schodkach. W pokoju stały dwa łóżka, stół, szafa, parę krzeseł i różne paki i paczki. A w jednym łóżku ktoś leżał. Dżek się bardzo zdziwił. Nie zastanawiał się co prawda, ale myślał, że mister Taft nie ma nikogo. Bo zawsze był sam w sklepie.

<sup>86</sup>Dik (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Dick*, zdrobnienia imienia *Richard*. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>Kuk — mowa prawdopodobnie o firmie Cook Paint and Varnish Company, amerykańskiej wytwórni farb z Kansas City, działającej w latach 1913–1991. [przypis edytorski]

— To moja matka — powiedział mister Taft zapalając świecę. — Nie palę światła, bo staruszka i tak nie widzi. I nie bardzo słyszy. Zgadnij, ile ma lat?

— Nie wiem — powiedział Dżek.

— Osiemdziesiąt, mój miły. Od sześciu lat już leży — tak, mój chłopcze. Prowadziła gospodarstwo i było mi lżej. Teraz muszę się nią opiekować jak małym dzieckiem.

I mister Taft opowiedział Dżekowi, jak matka zachorowała, co powiedział przywołany doktor<sup>88</sup>, co potem mówili w szpitalu. Cały czas, kiedy układali wystawę, mister Taft opowiadał.

— Trochę wyżej postaw te książki. Anioła powieś na lampie. Dobrze. Troszkę na prawo. Gdybym wiedział, że operacja przyniesie pożytek, tobym się zgodził, ale doktorzy mówią: „Można spróbować”. Dać na sen niebezpiecznie, bo serce ma słabe. Pocztówki rozłóż w drugim rzędzie: noworoczne pocztówki po bokach, a gwiazdkowe we<sup>89</sup> środka. Zawiozłem staruszkę na wieś; myślałem, że świeże powietrze powróci jej zdrowie. Odsuń trochę od szyby, bo się zamoczy, jak okno zamarznie. Ciężka rzecz starość, mój Dżeku. A wszystko pamięta. Lubi opowiadać, jak byłem mały i do szkoły chodziłem. Poczekaj no, tak niedobrze. Wyjmij tę dużą książkę, a połóż tam lepiej albumy. I czerwoną książkę przysuń do niebieskiej. Teraz dobrze. Więc doktor tak ostatnio powiada: „W szpitalu byłoby lepiej”. Ale sam powiedz, mój Dżeku, czy naprawdę? W domu jestem z nią razem, a w szpitalu co? Przyjdę raz na tydzień na godzinę. Poczekaj, bo nie dosięgniesz. No co, kto ma rację? Powiedz, Dżek: ja czy doktor?

— Nie wiem — mówi Dżek, ale mu strasznie przyjemnie.

Układa wystawę, przed którą jutro wszyscy się będą zatrzymywali — i dopiero patrzeć będą. A on układa, może dotykać tylu ładnych rzeczy. I mister Taft pyta się go, czy doktor ma rację, czy on. Dżek słyszał wiele różnych opowiadań, ale wtedy dorośli opowiadali dorosłym, a on tylko z kąta się przysłuchiwał. A teraz mister Taft z nim jednym rozmawia.

Nareszcie skończyli wystawę. Mister Taft dał mu obwarzanek z makiem. Dżek wziął, bo nie wstyd wziąć, jak się zapracowało. Na herbatę już nie miał czasu. Tylko jeszcze powiedział, że chce kupić do kooperatywy ozdoby na choinkę. I mister Taft dał mu adres i list do hurtownika.

Jeżeli przejść prosto ulicę, na której mieszka Dżek, i potem skrócić na prawo do rogu drugiej ulicy, a potem na lewo iść — iść i iść — to się dojdzie do placu, który się jakoś nazywa, ale my dla wygody nazwiemy go Kercelakiem<sup>90</sup>.

Jest to plac, gdzie odbwają się targi.

Wcale nie można opisać, co tam się dzieje i co można kupić.

Z brzegu<sup>91</sup> sprzedają buty, trochę dalej ubrania nowe i używane. Ale i tu już można zobaczyć masę ciekawych rzeczy, bo nad rynsztokiem<sup>92</sup> umieściły się kobiety z koszami i żebracy. Jeden nie ma nóg, drugiemu brakuje nosa i ręki, trzeci ciągle się trzęsie i tak dalej — każdy inny. A w koszykach są ciastka, pączki, herbatniki, cukierki — prawie tak jak w sklepach. Ale tu wołają, żeby kupić, i bardzo przyjemnie posłuchać.

— Cukierki ananasowe.

— Ciastka cukiernicze.

— Herbatniki waniliowe.

— Lemoniada — lody.

Wszystko prawdziwe, najlepsze, doskonałe, waniliowe i ostatnie. Spiesz, się, bracie, bo za chwilę będzie za późno: nie zdążysz i będziesz żałował.

Tu na stoliku rozłożył grzebień mister Fay. Niby nic ciekawego; ale Amerykanie ze wszystkiego potrafią zrobić ciekawe, żeby zachęcić. Więc nad stolikiem na płótnie — taki niby szyld — wymalowany jest pociąg, który się wykoleił. Na szynach leży grzebień

Handel

<sup>88</sup>doktor — dziś popr.: doktor. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>we środku (reg. pot.) — dziś popr.: w środku. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>Kercelak — duże targowisko w Warszawie na Woli, działające w latach 1867–1944. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>brzeg — dziś popr. forma D. lp: brzegu. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>rynsztok (daw.) — kanalik wzdłuż ulicy, którym spływały nieczystości w czasach, kiedy nie było w miastach podziemnej kanalizacji. [przypis edytorski]

mister Faya, nie łamiący się, nie kruszący się, mocniejszy od stali. No i lokomotywa się wykoleiła — jest katastrofa, a grzebień się nie złamał.

— Nie łamiące, nie kruszące grzebień — krzyczy mister Fay — każdy ząb wytrzyma ciśnienie stu atmosfer! Tysiąc elektrycznych wolt i amperów nie skruszy! Proszę!

Stawia grzebień zębami do góry, tłucze w niego grubą pałąk, uderza o kamień, gnie w rękach — i nic.

Niby się nie wierzy, że grzebień tak mocny, a przecież widać.

Dalej można się zważyć. Dalej stragan, gdzie wszystko kosztuje tylko dwa centy.

— Kto się zważy, ten się pozna. Sprawdzajcie swoje zdrowie! Świat należy do silnych! Wypróbujcie swe płuca!

Dmucha się i na zegarze widać, ile kto może wydmuchać.

Można grać w cetno i lichy<sup>93</sup> na cukierki i orzechy.

— Cetno — lichy. Szczęście i odwaga. Nie traci, kto płaci.

Idziesz dalej i tu już jest wszystko. Ale trzeba znać dobrze ten plac, żeby nie zabłądzić. Na lewo pod parkanem stoi fotograf. Zdjęcia minutowe. Siadasz tylko, on prztyknie — gotowe.

Trochę dalej — gramofony. Każdy gra co innego. Tak ładnie i wesoło. Ale nie tylko gramofony, bo harmonie, skrzypce, flety — wszystko do grania. Dalej — rowery.

Na prawo — bielizna, czapki, ubrania. Tam jest „ananasowe i nadziewane”, a tu znów — „trwale”. W drugim rzędzie wszystko jest gorące.

— Gorąca kielbasa! Gorące pasztety! Gorące parówki!

Dalej rozmaite loterie. Można ciągnąć numery, kręcić koło na stoliku z fantami. A fanty — to figurki różne, wazoniki, ozdoby — błyszczą się, pociągają — fanty bez wyjątku cenne.

— Kto płaci, nie traci.

Jest specjalne miejsce na kwiaty: osobno sztuczne z bibulki i osobno prawdziwe.

Ciekawe jest także miejsce, gdzie sprzedaje się gołębie, króliki, psy — nawet lisy i ptaki śpiewające w klatkach.

Znów ktoś sprzedaje i zachwala klej do szkła i porcelany albo metal do lutowania.

— W domu można naprawić miskę, kubek, każdy sprzęt nad gazem, świecą, lampą, w każdym ogniu.

Tu niedaleko pokazywał się sztukmistrz, który łykał pięć żywych żab i potem je z powrotem wyjmował z ust. Inny przebijał się sztyletem. Jeszcze inny gryzł gorące żelazo i kładł się na desce nabijanej gwoździami.

— Amerykański miód na kaszel i zaziębienia!

— Każdy przedmiot do wyboru tylko dwa centy!

— Fotografie pamiątkowe! Zdjęcia minutowe!

— Elektryczne krzesło śmierci! Kto ma słabe nerwy, niech nie siada!

— Zbiór republikańskich piosenek!

— Papierosy mocne i tanie!

— Inwalida wojny europejskiej uprasza litościwe osoby!

— Pomadka do obuwia! Szybkość, glans, elegancja!

— Bazar amerykański. Walka z drożyzną i wyzyskiem. Szalik na szyję. W sklepie siedemdziesiąt pięć centów — a u mnie ani siedemdziesiąt pięć, ani siedemdziesiąt, ani sześćdziesiąt, tylko pięćdziesiąt! Na dodatek spinki do mankietów, paczka igieł, szpulka nici i lustro kieszonkowe! Na dodatek — za darmo!

Na placu zawsze można spotkać kilku chłopców ze szkoły. Jedni stoją koło psów i gołębi, drudzy przy gramofonach, wszyscy przy sztukach, gdzie się łyka rozpalone żelazo albo żywe żaby.

Dawniej Dżek chodził na targ, ale nie wszędzie i nie na wszystko warto mu było patrzeć. Teraz zatrzymuje się przed każdą budą i patrzy, co się może przydać do kooperatywy. Tu właśnie kupił cały tuzin bąków.

<sup>93</sup>*cetno i lichy* (daw.) — gra, w której losuje się liczby parzyste (cetno) i nieparzyste (lichy), przy czym cetno oznacza wygraną, a lichy przegraną. [przypis edytorski]



Przed gwiazdką plac się jeszcze bardziej ożywia. Przybywają ozdoby choinkowe, orzechy złocone, zimne ognie, pajace na sznurku, zabawki różne, wózki, wiatraki, klocki — z drzewa, blachy i gumy.

I trudno powiedzieć, co ciekawsze: czy ciche i zarozumiałe wystawy sklepów na ulicy, czy ruchliwe, krzykliwe i przyjacielskie kosze i stragany. Tamto inne i to inne, tu dobrze i tam dobrze. Ale już naprawdę nadzwyczajna okazała się hurtownia, do której mister Taft posłał Dżeka z polecającym listem.

Bo pomyśleć tylko: cały ogromny bez końca szereg sal aż do sufitu zastawiony półkami i skrzyniami. I wszystko to — zabawki. Zupełnie jak w bajce o skarbach Sezamu. Więcej tu leży bezładnie na podłodze niż w największym sklepie w szafach i w szufladach. Każdy sklep kupuje tylko troszkę od hurtownika, a hurtownik ma wszystko. Piłki leżą w koszach od bielizny jak kartofle. Lalki — całe stosy. Leży to, wisi, pomieszanę, gdzie spojrzysz, coś innego. A widzisz przecież tylko to, co otwarte, bo w skrzyniach i tysiącach pudeł i pudełek kryje się tysiąc, sto tysięcy razy więcej pięknych i cennych rzeczy.

Dżek wiedział, że można być bogatym, że można mieć sklep; ale żeby w jednym miejscu tyle się naraz kryło skarbów, nigdy się nie domyślał. Więc bajki nie są znów takie zmyślane?

Jakiś pan wziął od Dżeka list, przeczytał i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Mister Gibbs, mamy nowego odbiorcę. Jak się nazywasz?

— Dżek Fulton.

— Oo, i cóż ty chcesz kupić?

Zanim Dżek zdążył odpowiedzieć, wszedł szybko pan w pięknym futrze i wysokiej czapce.

— Panie Gibbs, proszę dać telegram, że towar wysłany. Kto poszedł na kolej? Czy fabryka przysłała lalki? A ten malec czego się tu płacze?

Dżek od razu poznał, że to musi być właściciel.

Wziął list mister Tafta. Dżek długo potem myślał, jak można tak prędko przeczytać. Ledwie spojrział, już wszystko wie. Jak prawdziwy czarodziej.

— Układałeś wystawę mister Tafta?

— Tak, panie.

— I cóż? Kazał ci odsunąć książki od szyby, żeby się nie zamoczyły?

— Tak, panie.

— A na lampie kazał powiesić anioła?

— Tak, anioła.

Roześmiał się i wszyscy się roześmieli, a najgłośniej pan Gibbs.

— A ty prowadzisz kooperatywę?

— W trzecim oddziale.

— I chcecie kupić podarki i ozdoby choinkowe? Ile masz? Sto — tysiąc dolarów?

— Tylko dwa dolary bez czternastu centów.

— To mało, ale ja i tego nawet nie miałem, kiedy układałem wystawę w sklepie mister Tafta. Poczekaj no: a kiedy skończyłeś, jego matka częstowała cię kawą?

— Nie, panie. Matka jest chora.

— Chora? No, panowie, bierzcie się do roboty, a tego klienta sam załatwię. Niech tu przyjdzie chłopiec.

Uderzył laską w pustą skrzynię.

— Włóż komplet od nr 714 do 722 po tuzinie. Tylko prędko. Ozdoby nr 865, jak do kompletu czwartego. Prędej! Dopełnij lalkami nr 75 i na wierzch kilka pilek, żeby się nie potłukły. I odesłać do mister Tafta dla Dżona Tulfona.

— Dżeka Fultona — poprawił Dżek. — Jeżeli to ma być dla mnie — dodał Dżek, wyjmując pieniądze.

— Schowaj to na cukierki.

— Nie, proszę pana, chcę tanio kupić, ale nie chcę darmo.

— Masz słuszość, masz słuszość.

— I poproszę o kwit.

— Kwit? Masz słuszość. Zaprowadź go do kasjera. I powiadasz, że jego matka chora?

— Sparaliżowana.

— Biedaczka. Powiedz mister Taftowi — albo nic nie mów.

Wyjął notesik i coś zapisał.

Potem już tylko wydawał polecenia, ale Dżek stał jak pijany i nic nie słyszał. Dżekowi nie wiadomo czemu przyszło na myśl:

„Ruchliwy umysł”.

Chłopak zabijał skrzynkę, a Dżek czeka.

— Aaa, jesteś tu jeszcze? Chcesz, to cię podwiozę? Dokąd idziesz?

— Jeszcze nie zapłaciłem — odpowiedział Dżek. Po chwili zadudnił samochód.

A Dżek musiał chodzić aż do trzech kas, zanim otrzymał kwit i zapewnienie, że skrzynka najpóźniej jutro będzie odesłana, dokąd należy.

Kiedy znalazł się na ulicy, westchnął głęboko.

— Przecież to być wcale nie może, żeby hurtownie tak tanio sprzedawały. — I właściwie Dżek nie miał zamiaru wydawać wszystkich pieniędzy. Zapisał sobie dokładnie na kartce, co chce kupić, ale wcale go nie pytano. Co tam jest, w tych pudełkach, które włożono do skrzyni? Co znaczą numera<sup>94</sup>: 714 i 722?

Wszystko to bardzo dziwne i bardzo trudne. Musi dobrze się poradzić z mister Taftem i z panią.

— Owszem, bardzo mi się twój pomysł podoba — mówi pani — ale, mój miły Dżeku, nie zaniedbuj się w nauce. Widocznie kooperatywa zabiera ci zbyt wiele czasu. Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś stał się złym uczniem. Nie wypada nawet, żeby bibliotekarz źle się uczył, on — który powinien dawać przykład rzetelnego stosunku do książki i do wiedzy.

Dżek milczał chwilę dłużej.

— I cóż mi odpowiesz?

— Nic — odparł Dżek smutnie. — Pani ma słuszość: zaniedbałem się w nauce. Nie przypuszczałem, że kooperatywa zajmie mi tyle czasu. Chociaż...

— Chociaż?

— Roboty nie mam znów tak wiele, tylko ciągle myślę, co zrobić, żeby się udało.

— Miły Dżeku, właśnie idzie o twoją myśl, która jest zupełnie pochłonięta zakupami i gwiazdką.

— Proszę pani, ja się tych wierszy z pewnością podczas świąt nauczę.

— Nie tylko wiersze. Znów w ostatnim dyktandzie zrobiłeś dużo błędów.

— Zrobiłem cztery grube błędy i trzy małe, razem siedem błędów.

— No widzisz. Ja ciebie bardzo szanuję i cenię, mój chłopcze, ale tym bardziej się smucę. Pocieszam się myślą, że wiele korzystasz, zajmując się kooperatywą. W arytmetyce się poprawiłeś, to prawda. Ale pomyśl tylko: czy kupiec może pisać błędnie?

— Jeszcze nie jestem kupcem — odparł Dżek.

Ostatecznie postanowiono, że bazar świąteczny się odbędzie, bo Dżek zobowiązał się wobec klasy. Już do świąt pani będzie dla niego względniejsza. A za to Dżek przez święta i później weźmie się naprawdę do nauki, a wolny czas poświęcać będzie kooperatywie.

W domu rodzice się skarżyli, że Dżek za często biega do mister Tafta, że się czasem spóźnia na obiady (niezbyt często), że jest zamyślony, roztargniony i mówi ze snu<sup>95</sup>. A najwięcej zmartwiona była mała Mary, którą Dżek zupełnie zaniedbał.

Ano, nie mogło być inaczej. Dżek musiał rozwiązać najtrudniejsze chyba zadanie, które kiedykolwiek jakkolwiek chłopiec w jego wieku miał do rozwiązania. Jak podzielić między wszystkich w klasie:

- 6 drewnianych pudełek farb
- 12 papierowych pudełek kredek
- 18 łańcuszków
- 3 drukarki z ruchomymi literami
- 3 pudełka z żołnierzami
- 12 organek<sup>96</sup>

<sup>94</sup>numera — dziś popr. forma M. lm: numery. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>mówić ze snu — dziś: mówić przez sen. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>organek — dziś popr. forma D.: organków. [przypis edytorski]

3 skarbonki  
 12 rewolwerów i 12 lalek  
 6 sznurów koralu  
 3 warcaby  
 3 domina  
 3 samochody blaszane sprężynowe  
 24 gwizdzące baloniki do dmuchania  
 1 pudełko sztuk magicznych  
 1 pudło z wyszywaniem na kanwie  
 4 jajka wkładane (czerwone, w tym mniejsze niebieskie, i coraz mniejsze i innego koloru)  
 5 pudełek klocków  
 3 pudełka łamigłówek  
 1 łabędzia, którego można łowić na wędkę magnesem (i ryby)  
 5 loteryjek  
 1 pudełko ze zwierzętami

A oprócz tego piłki, ruchome abecadła, złoty deszcz, kule, trąbki, lichtarze do świeczek, śnieg, zimne ognie i różne ozdoby choinkowe.

Muszę jeszcze dodać, że w jednym z pudeł było na przykład dwanaście farb, a w drugim dwadzieścia cztery, że jedne lalki zamykały oczy, inne nie, że i łamigłówki, i klocki — wszystko było różnej wielkości i różnej wartości.

— Kiedy nareszcie przyniesiesz? — nalegają koledzy.

Chcą przynajmniej zobaczyć, bo do tej pory tylko Iim widział u mister Tafta i opowiadał rzeczy, o których się i filozofom nie śniło.

Co znaczy *Bosko czarnoksiężnik* w porównaniu z pudłem sztuk magicznych. Jest tam na przykład faszka, gdzie wlewasz wodę, a potem — fokus pokus — laseczką i jest wino. Albo sypiesz ziarno — znów fokus pokus — jest mąka. Czerwona kula znika i znów się pokazuje w pudełku. Przecinasz nożem sznurek i znów jest cały. Papier znika z czarnodziejского portfela<sup>97</sup>.

Albo łabędzie i ryby przyczepiają się do wędki jak żywe.

No i czego tam nie ma!

Od razu dwudziestu chłopców zamawia te pudła, a piętnaście dziewczynek największą lalkę.

Bo wiedzą, że będzie strasznie tanio.

Co robić, jak sprawiedliwie podzielić? Już nie Dżek, ale mister Taft nie wie.

— Muszę ci wytłumaczyć, co znaczy kalkulacja. Jeżeli coś kupuję, wiem, ile zapłaciłem, wiem, ile mnie kosztuje. Potem muszę wiedzieć, ile płacę za sklep, gaz, podatek, ile mi się zniszczy na wystawie. Bo kto kupuje, ten chce mieć wszystko najlepsze. Nikt nie kupi podartego obrazka albo zgniecionej pocztówki; ale jak przegląda w sklepie, nieostrożnie kładzie i gniecie, a ja tracę. Więc to są moje straty i wydatki administracyjne. A przecież muszę zarobić jeszcze. Za pracę sprzedawania muszę mieć zapłatę.

— Ale ja nie mam sklepu — mówi Dżek.

— Toteż twoje wydatki administracyjne są małe. Ale są.

— Jakże? — zapytał się Dżek.

— A skąd masz kajety, w których prowadzisz rachunki? Gdzie trzymasz rachunki? Gdzie trzymasz pieniądze? Potrzebna ci przecież teczka do papierów i skarbonka do pieniędzy. Kto płaci za podzelowanie butów, jak musisz chodzić tak dużo?

— Więc co zrobić?

— Nie wiem. Powiedz mi jeszcze, czy kooperatywa chce zarobić na tym?

Dżek też nie wie.

— A najważniejsze: czy twoi koledzy mają i ile mają pieniędzy. Bo co warta kalkulacja, jeżeli powiesz, ile co kosztuje, a oni nie kupią, bo nie mają pieniędzy.

Myśli Dżek, poradził się woźnego, radzi się Nelly, Lima, pani — każdy coś powiedział. Wreszcie postanowiono:

<sup>97</sup>portfelu — dziś popr. forma D. lp: portfela. [przypis edytorski]

Urządzi się tak jakby fantową loterię. Bilety będą po pięć, dziesięć i dwadzieścia centów. Kto co wygra, ten będzie miał. A z tego, czego jest dużo, jak łańcuszki, gwizdałki, organki i rewolwery, zrobi się razem z ozdobami choinkowymi torebki, i każda torebka będzie kosztowała dwa centy. Torebki leżeć będą w koszyku i każdy będzie wyjmował. Nazywa się to: kosz szczęścia.

Prócz tego będą prezenty: Morris dostanie największe pudło farb, Barnum — najlepsze organki, jedną lalkę dostanie woźny dla małej córeczki. Matce mister Tafta kupią kwiatek, bo nie może ani widzieć, ani nie słyszy, więc niech sobie przynajmniej wącha.

Woźny bardzo pomaga Dżekowi, a dzięki temu, że i mister Taft dał Dżekowi list do znajomego hurtownika, otrzymali prawie za darmo tyle pięknych rzeczy. Bo co tu gadać? Mister Taft ocenił skrzynkę na przeszło piętnaście dolarów.

Dżek chciał nawet dać jedną drukarkę kierownikowi i pani sznurek koralu. Ale Fil powiedział:

— Idź, głupi. Pani się tam znowu ubierze w koralu dla dzieciaków.

Drukarka mogłaby się przydać kierownikowi, ale może się obrazić, zresztą ma maszynę do pisania.

Kiedy już wszystko było dokładnie obmyślane, Dżek urządził posiedzenie kooperatywy. Ale był straszny hałas. Nie chcieli mówić po kolei, wylatywali z miejsc. Niektórzy mówili, że nie mogą radzić, bo nie widzieli. Dopiero jak pani weszła, z początku się uspokoiło. Ale potem znów to samo:

— Dlaczego tak?

— Po co to?

A jak pani się zapytała, jaki mają inny plan, nikt nic nie wiedział.

— A co będzie, jak chcę rewolwer, a dostanę organki? A jak kto ma mało pieniędzy? A czy można kupić dwa bilety? Co się zrobi, jeżeli różne rzeczy zostaną?

Nikt głośno nie mówił, że źle, bo pani zaraz się pytała:

— A co radzisz, żeby było lepiej?

Ale słychać było, szczególnie między dziewczynkami, jak mówiły:

— Ja tam wcale nie chcę. Też wymyślili: fantowa loteria! A jak nic nie wygram albo jakieś głupstwo?

Aż pani się rozniewała:

— Bardzo łatwo krytykować, jak kto coś robi. Ale nikt nie chce pomyśleć, czy można zrobić lepiej. Zamiast podziękować Dżekowi, że się gorliwie zajmuje kooperatywą, jeszcze są niezadowoleni. To jest niewdzięczność i bezmyślność.

Co prawda niesłusznie pani gniewała się na wszystkich, bo tylko może pięcioro hałasowało i robiło miny. Bo reszta była zadowolona.

— Jak nie będę chciał, przecież mogę zamienić?

— Żeby nawet się nie przydało, przecie i tak tanio.

— Albo można oddać bratu, albo siostrzyczce.

Więc pani spojrzała na zegarek i zapytała, kto się zgadza: żeby podniósł rękę. A potem niech podniesie, kto się nie zgadza. Wszyscy patrzą na tych, którzy mówili, że źle Dżek wymyślił, ale oni stchórzyli — nikt ręki nie podniósł. No, więc jutro po ostatniej lekcji Dżek zostanie z Iimem, Filem, Nelly, Klaryssą i Harry<sup>98</sup> i przy pomocy pani zrobią torebki. A fantowa loteria będzie pojutrze.

Tylko pani uprzedza, że jeżeli na lekcjach siedzieć będą niespokojnie, nic się nie odbędzie. Bo i tak jest dużo niepokoju i zamieszania. Dziś na przykład pobił się Pitt z Fordem o żołnierzy, którzy tymczasem leżą spokojnie w skrzynce w sklepie mister Tafta.

Jeżeli na posiedzeniu, kiedy dopiero mówiono o tych rzeczach, był nieład, można sobie wyobrazić, co się działo, kiedy już wszystko ponumerowane rozłożone było na stole. Całe szczęście, że woźny pilnował porządku, bo wiadomość rozeszła się po całej szkole, i zaczęli się pchać także z innych oddziałów.

Dżek odbierał pieniądze, Klaryssa zapisywała, Iim pilnował porządku, a Harry wydawał fanty.

Najgorszy był początek. Potem już wywoływano po kolei podług ławek. Wolno było brać tylko jeden bilet, a jak wszyscy wzięli, zaczynało od początku. Bilety po dwadzieścia

<sup>98</sup>z Harry (daw.) — dziś popr. forma N.: z Harrym. [przypis edytorski]

centów nie miały powodzenia, bo woleli brać po dwa albo po cztery bilety po pięć centów. Więc jedne bilety zostały, a tańszych zabrakło. Niektórzy znów woleli torby.

Potem zaczęły się zamiany. Przyszedł kierownik i trzy panie. I ostatecznie niektórzy uczniowie z innych oddziałów wzięli bilety po pięć centów — i ostatecznie największą lalkę wygrał Weed z czwartego oddziału, a pudło ze sztukami magicznymi dziewczynka z pierwszego oddziału.

Klaryssa przy zapisywaniu najprzód<sup>99</sup> się omyliła, potem się obraziła, a Dżeka tak rozboleła głowa przy wydawaniu reszty, że zapomniał zupełnie, że też ma prawo kupić choć dwie torebki i wziąć bodaj jeden bilet.

Kiedy skończył, nie było już nic na stole prócz pudełka z centami, gdzie leżały nawet i dwa papierowe dolary.

Dżek był zmartwiony. Żał mu było małej Mary. Zaniedbał ją, zapomniał o jej istnieniu. W ostatniej chwili kupił parę arkuszy kolorowego papieru i zrobił łańcuchy na choinkę, koszyczki i inne rzeczy. Ale to przecie nie złoty deszcz i nie szklane kule. Kupił jej też za dwa centy małą lalczkę, ale Mary wiedziała, że Dżek dzieciom w szkole tyle rozdał prawdziwych lalek z włosami, fartuszkami, pantofelkami do zdejmowania i jedną nawet w rękawiczkach.

A tymczasem piękne rzeczy kooperatywy rozeszły się po mieszkaniach kolegów. I tam było naprawdę wesoło.

I czyja zasługa, że tego wieczora Drel<sup>100</sup>, Gill, Karr, Sibley grali na organkach, że u Toddów cała rodzina gra w loteryjkę, że Edwin urządził na stole wojnę i strzela z armatki, że mała siostra Shorta składa i rozkłada jajko i nawet z nim zasnęła. Cieszyła się Amelia, córeczka woźnego, cieszyło się jeszcze jedenaście innych dziewczynek i nie tylko one rozbierały i ubierały lalki, ale ich rodzeństwo, goście, sąsiedzi. Bywało, że z trojga dzieci jedno strzela z rewolweru, jedno składa łańcuch, najstarsze gra z ojcem w warcaby.

I każdy opowiadał:

— W naszym oddziale jeden chłopiec...

Albo:

— Jest w naszej klasie Dżek Fulton. Przyniósł całą skrzynkę...

Albo:

— Myśmy urządzili kooperatywę. Piąty oddział mówił, że nie będziemy umieli, a tymczasem...

Rozumie się, że Dżek o tym nie wiedział wcale i nawet nie myślał. Przeciwnie, myśl jego więcej jeszcze była zajęta sprawą kooperatywy. Trzeba przecież rachunki doprowadzić do porządku. Tak miał wszystko dobrze obliczone, że nic mu nie brakowało. Często zaglądał do zeszytu, gdzie było zapisane, co leży w szafie — i sprawdzał, ile jest kajetów, ołówków, arkuszy papieru. A kiedy się zgadzało, było mu bardzo przyjemnie. A teraz co? Klaryssa wszystko popłatała: nie wie, od kogo i ile dostał pieniędzy, nie wie nawet, czy coś nie zginęło. Tak ładnie ułożył, że na jednej stronicy napisze: „lalki”, na drugiej: „gwidzdałki”, na trzeciej: „łańcuszki”. A pod tym będzie napisane, kto kupił. I chociaż nie może pamiętać, jak zajrzy, od razu może powiedzieć:

— Ty masz kredki.

Albo:

— Ty masz organki.

Albo:

— Ty masz piłkę.

Dżek wie już, co znaczy komisja rewizyjna. Oto trzech chłopców razem z panią przejrzą rachunki, przeliczą pieniądze i dopiero powiedzą:

— Dżek dobrze gospodaruje.

No, a teraz co będzie?

Nie, przecież on nie winien. Klaryssa się obraziła. Powiedziała:

<sup>99</sup>najprzód (daw.) — najpierw, z początku. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>Drel — nazwisko anglosaskie; bardziej prawdopodobna pisownia: Drell. [przypis edytorski]

— Ja tam nie umiem. Już dosyć pisałam. Weź sobie kogoś innego.

Łatwo powiedzieć: „weź sobie”, jak każdy myśli tylko, żeby kupić dla siebie i jak najprędzej iść do domu.

I co się z Nelly stało? Dlaczego nie przyszła do szkoły? Taki zawód i utrudnienie w ostatniej chwili. I Nelly nic nie kupiła. I właśnie ona. Właściwie Dżek bardzo chciał dać jej lalkę, którą dostała w prezencie mała Amelia, tylko się wstydził powiedzieć. Dlaczego Nelly nie przyszła — pewnie zachorowała?

— Coś ty dziś smutny jakiś — zapytał się ojciec. — Czy źle ci poszedł twój handel? Jak tam wasza kooperatywa?

Zdziwił się Dżek, bo ojciec pierwszy raz dopiero się pytał.

Rodzice Dżeka, rozumie się, wiedzieli; ale ojciec niechętnie słuchał, bo sam nie lubił kupować i nic nie sprzedawał. A mama była u mister Tafta, rozmówiła się i powiedziała:

— Nie rób nic, mój Dżeku, bez mister Tafta. To bardzo doświadczony człowiek i bardzo ci życzliwy.

Więc kiedy ojciec się zapytał, Dżek zaczął opowiadać:

— Mister Taft dał mi list do hurtowni. Dostałem całą skrzynkę. Tak i tak. Był kierownik i trzy panie z innych oddziałów. Tak było ładnie, kiedy ich oddział wychodził, a każdy trzyma torebkę. I na ulicy oglądają, co kto ma. I ludzie się patrzą, co się stało. A niektórzy na ulicy zaraz grają na organkach. Fil nawet ustawił pięć par chłopców, grał marsza wojennego, a oni tak szli przez korytarz i po schodach. A z innych oddziałów im zazdrościli. A przed bramą szkoły stała kupa dzieciaków. Bo już wiedzieli, co będzie, więc przyszli na spotkanie. A jeden mały braciszek Dżona zaraz zaczął dmuchać w balonik z gwizdalką, a Adams powiedział: „Ty nie umiesz”. I tak mocno nadmuchał, że balonik pękł i chłopiec zaczął płakać. Aż Adams obiecał Dżonowi, że odkupi. A teraz 31 grudnia znów wszyscy przyjdą do szkoły, Dżek wyda powinszowania na laurkach. Dżek kupi różową wstążeczkę, każdą laurkę zwinie w trąbkę i przewiąże różową wstążeczką, to będzie ładniej. Tak właśnie poradziła Edith. Właściwie nie poradziła, tylko powiedziała, że ich laurki nie będą przewiązane różową wstążeczką; ale ona się postara. Dżek postanowił zrobić niespodziankę i za darmo do każdej laurki doda wstążeczkę do przewiązania. Tylko czy dać i tym, którzy jeszcze za laurki nie zapłacili? Bo jedenaścioro (Dżek ma zapisane kto) nie zwrócili po cencie. Jeżeli mieli pieniądze na fantową loterię i torebki, powinni byli zwrócić, jeżeli są winni.

Rodzice uważnie wysłuchali opowiadania Dżeka. A potem ojciec powiedział:

— Widzę, mój Dżeku, że rzemieślnikiem nie będziesz. To nie szkodzi. Bo ja od najmłodszych lat sprzedawałem jedno tylko: pracę. Co moje ręce zrobiły, inni już sprzedawali. Kupować też mało kupuję, więc się na tym nie znam. A ty chcesz, zostań sobie kupcem. Ale musisz dobrze się uczyć. Nauka do wszystkiego potrzebna. Gdybym umiał dobrze rysować, tobym mógł więcej zarabiać. Rzemieślnikowi bardzo potrzebne rysunki.

Ojciec westchnął, a Dżek oparł się o kolana ojca i głaskał go po twarzy.

„Dzisiaj ojciec wcale nie ma kolącej twarzy” — pomyślał Dżek — i pocałował rękę ojca.

A potem powiedział:

— Tatus ma żyły na rękach, a ja nie.

Ale ojciec myślał o czymś i nie słyszał. Więc zgaszono świeczki na choince i poszli spać.

I teraz muszę opowiedzieć o jednym z dwunastu bąków drewnianych, zupełnie zwyczajnych i małych, które Dżek kupił na placu.

Więc Dżek nie wiedział, co z nimi robić, bo wśród tylu pięknych rzeczy co one znaczyły? Nawet Dżek z początku zupełnie zapomniał, bo leżały w szafie obok pudełka z ołówkami. No, więc wziął i już później włożył je na dodatek do dwunastu torebek po dwa centy. Może się na coś przydadzą?

I teraz o jednym z tych dwunastu bąków powiem.

Był jeden bąk w torebce za dwa centy; kupił ją Gray. Tak, kupił tylko jedną torebkę i nawet nie za własne, a za pożyczone od chłopca na podwórku dwa centy. Bo wszyscy w klasie wiedzieli, że Sanders jest bardzo biedny, bo u nich tyle dzieci i nie mają co jeść. Ale nikt nie wiedział, że Gray jest jeszcze biedniejszy. Ojciec Graya wyjechał daleko i co miesiąc przysyłał bardzo mało pieniędzy. A czasem nawet nic nie przysyłał. A Gray miał

tylko małego braciszka i bardzo go kochał. Więc pożyczył od chłopca z podwórka dwa centy i powiedział, że mu odda wszystko, co jest w torebce, tylko żeby jakąś jedną rzecz sam wybrał i żeby, co chce, dał dla braciszka. W torebce było pięć lichtarzyków, ale nie dał. Była piłka, ale nie dał. Były różne ozdoby, rewolwer, łańcuszek i jeszcze, ale nic nie dał Grayowi, wszystko sobie zabrał, dał tylko bąka.

— Masz: to będzie dla twego brata.

— Daj jeszcze coś — powiedział Gray.

— Ooo, będę ci dawał. Żeby nie moje dwa centy, tobyś i bąka nie miał.

Gray tak długo chodził po ulicy, aż znalazł kijek i sznurek — i zrobił bacik do poganiania bąka.

Bawili się razem przez cały wieczór wigilijny. A potem Gray opowiedział matce, skąd ma bąka.

— To Dżek...

A mały był bardzo śpiący i zmówił wieczorną modlitwę. A modlitwę tak skończył:

— ...i daj zdrowie ojczulkowi, który wyjechał daleko.

A potem już od siebie dodał:

— ...i daj także zdrowie Dżekowi, który jest daleko i przysłał mi bąka.

I stała się nagle dziwna rzecz.

Dżek jakby to usłyszał. Rozumie się, że nie mógł słyszeć, bo to było w zupełnie innym mieszkaniu i zupełnie na innej ulicy. Więc nie mógł słyszeć. Bo nawet telefonu nie miał ani Dżek, ani mały brat Graya. Więc nie słyszał zwyczajnie uchem, tylko jakoś inaczej. Dość, że w tej chwili zrozumiał, że przecież nie szkodzi, że Mary dostała tylko małą lalczkę i choinka nie ma ani jednej kuli złoczonej. I znów, nie wiadomo skąd, przypomniły mu się słowa ojca:

— To trudno: jak człowiek ma obowiązki, na wiele rzeczy nie może sobie pozwolić.

A przed samym zaśnięciem przywołała go Mary i powiedziała:

— Mój kochany Dżeku, już nie gniewaj się na mnie. Już nigdy twojej skrzynki nie otworzę.

— A ty otwierałaś skrzynkę?

— Tylko jeden raz, ale już nigdy nie otworzę.

— A nie ruszałaś nic?

— Jak mamę kocham, że nic nie ruszałam. Tylko troszkę otworzyłam, ale się przestraszyłam i zaraz zamknęłam. Nawet nic nie widziałam.

Przestraszył się Dżek, bo w skrzynce leżały pieniądze.

Są jeszcze na świecie kraje, gdzie dzieci do szkół nie chodzą. Dzieci są tam bardzo nieszczęśliwe, i tak samo bogate, jak biedne. Biedne muszą pracować, ale za słabe i nie umieją jeszcze. Więc co one mogą zarobić? A że nie umieją, więc robią nie tak, jak trzeba, to krzyczą na nie, złością się i biją. A znów bogate nudzą się, nie wiedzą, co cały dzień robić. Nawet na spacer nie co dzień wychodzą: a to deszcz, a to nie ma kto z nimi wyjść, a samych nie puszczają, że je samochód albo tramwaj przejedzie. Z nudów wszędzie włożą, to znów je wyganiają. Ciągłe słyszą: „Nie przeszkadzaj i nie nudź”. Nie ma z kim porozmawiać ani się o co zapytać, ani z kim bawić.

W szkole są koledzy, i na ulicy w drodze tyle się widzi różnych ciekawych rzeczy: to się koń przewróci, to tramwaj się wykołai, to pogrzeb z wojskową muzyką, to bójka albo pijany, to milicjant prowadzi złodzieja albo hycel psy łapie. Widzi się rowery, ogłoszenia na słupach, co grają w cyrku, piękne obrazy kinematografów<sup>101</sup>.

I wesola przerwa na podwórzu, zabawa albo nowiny różne; jeden powie to, drugi to.

No i lekcje czasami też są ciekawe. Bo ktoś dowodzi i pani go wyrzuca. Albo coś pani opowie, albo przeczyta. Nawet jak jest trudna lekcja, trudne zadanie, dyktando albo wypracowanie, przyjemnie się pomordować. I przyjemnie, jak coś wiedzieć i pani się pyta: „Kto wie?”, albo jak się umie i pani wywoła.

Są i w szkole przykrości, że czasem się ktoś przyczepi albo dokucza, albo o coś posądza, a to nieprawda. Albo pani się gniewa. A już najgorzej, jeżeli niesprawiedliwie.

<sup>101</sup>obrazy kinematografów — tu: plakaty kinowe. [przypis edytorski]

No, ale jak szkoły nie ma, zapomina się, co nieprzyjemne, i zaczyna się nudzić. Bo przyjemna niedziela, że się jeden dzień<sup>102</sup> nie idzie, ale w święta, jeżeli długo trwają, już się potem zaczyna przykrzyć.

Najważniejsze, żeby ułożyć plan, co się przez cały dzień będzie robiło. I Dżek taki plan ułożył. Jak wstanie, pomoże w gospodarstwie, żeby mama się tak nie męczyła. Dżek umie obierać kartofle, nie bardzo prędko, ale cienko obiera. Lubi zmiatać pod łóżkiem, pod szafą, bardzo lubi z szafy kurz wycierać. Najlepiej lubi roboty, kiedy trzeba zrobić coś wysoko albo odsuwać ciężkie rzeczy, na przykład koszyk, komodę, wyjmować z szafy naczynia.

Potem Dżek będzie wychodził z Mary. Biedna Mary nawet do ochronki<sup>103</sup> nie chodzi i bardzo się nudzi. Tak czeka na powrót Dżeka ze szkoły, a Dżek nie zawsze ma czas i ochotę z nią się bawić. Podczas świąt zupełnie co innego. Tak, co dzień będzie z nią wychodził. Tylko Mary koniecznie musi się przedtem załatwić, bo jak mama się pyta, czy potrzebuje, zawsze mówi — „nie”, a potem na ulicy Dżek nie wie, co robić. Raz nawet stróż skrzyczał go, że strach, kiedy wszedł z Mary do bramy.

Później będzie się uczył. Musi cały kajet bez błędów starannie przepisać i nauczyć się nie tylko jednego wiersza, ale jeszcze. I to będzie niespodzianka dla pani. Dżek myślał nawet laurkę dla pani napisać, ale się bał, że powiedzą, że lizuch.

Oprócz dwóch wizyt z rodzicami, Dżek był na dwóch wizytach sam, a na jednej z Mary.

Bo kiedy szedł z Mary, spotkała go matka Pennella. Zaczęła prosić, żeby odwiedził Williama i koniecznie z Mary. Dżek jakoś nie bardzo chciał, ale matka Pennella mówi:

— Widzisz, moje dwa dolary przyniosły ci szczęście. Musisz przecie<sup>104</sup> opowiedzieć, jak to się stało.

Matka Pennella ma słuszość i Dżek poszedł z Mary. Zabrał wszystkie rachunki i dwa dolary, bo może już nie chce, więc Dżek może zwrócić.

Missis<sup>105</sup> Pennell przejrzała rachunki i pokazała mężowi.

— No, patrz tylko, jaki to mądry chłopiec. I nikt mu nie pomagał. Mój Boże, o cztery miesiące młodszy od naszego Williamka! Co to za głowa — co za głowa... Ale ty pewnie jesteś najmądrzejszy z całej klasy? Przecież nie wszyscy są tacy jak ty. No, patrz, Willi<sup>106</sup>, czy ty byś coś podobnego potrafił?

Mister Pennell uważnie przejrzał rachunki i pokazał Dżekowi dwa błędy: jeden gramatyczny i jeden w dodawaniu.

— Omyliłeś się tu o trzy centy. No, a czy ci kasa się zgadza?

— Nie rozumiem, o co pan się mnie pyta — odpowiedział trochę zawstydzony Dżek.

— Bo widzisz: powinieneś mieć akurat tyle pieniędzy w kieszeni, to jest w kasie, no, w pudełku czy w skarbonce, ile tu w kajecie wyliczyłeś. Jeżeli masz, to znaczy, że ci się kasa zgadza, że się nie pomyliłeś.

— A dajże chłopczynie spokój — mówi missis Pennell. — Zgadza mu się wszystko; co się tam ma nie zgadzać. Pierwszy raz w życiu widzę takie genialne dziecko. Albo porozmawiaj z Mary. Jak ona wszystko wie. Wie, gdzie mieszka, wie, ile ma lat. Można z nią mówić jak z dorosłą osobą. Weź, Mary, jeszcze pierniczek. Może ci jajko ugotować, to i Williamek dla towarzystwa zje. Prawda? I jaki to mały grubas. Chodź, Mary, zobaczysz fotografię dzidziusia.

William pokazał Dżekowi zabawki i nawet chciał darować, ale Dżek nie wziął. Tylko Mary dostała lokomotywę i dwa wagoniki. I aż cztery razy Dżek prosił, że musi iść do domu, bo go missis Pennell nie chciała puścić. A jeszcze wyspała im do kieszeni — orzechy i herbatniki. I ani słyszeć nie chce o dwóch dolarach. Ciągłe tylko mówi, że Dżek ją obraża, i sama zapięła Mary wszystkie guziki przy palcie. I bardzo mokro pocałowała Dżeka i Mary.

<sup>102</sup>niedziela, że się jeden dzień nie idzie — dawniej był w tygodniu tylko jeden dzień odpoczynku od pracy i nauki: niedziela. Wolne soboty wprowadzono stopniowo, w Stanach Zjednoczonych dla niektórych grup pracowników już przed II wojną światową, w Polsce dopiero w latach 70. i 80. XX w. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>ochronka (daw.) — przedszkole. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>przecie — dziś: przecież. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>Missis (ang. Mrs, czyt. mysys) — pani. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>Willi (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia Willie a. Willy, będącego zdrobnieniem imienia William. [przypis edytorski]



Mary na schodach wyciera buzię rękawem, a Dżek myśli:

„Pan Pennell mądry, pani Pennell dobra, a szkoda, że William jest gamajda”.

Druga świąteczna wizyta była u mister Tafta. Tu Dżek czuł się swobodnie. Matka jak zwykle leżała, a mister Taft pił z Dżekiem kawę i rozmawiali o różnych finansowych sprawach.

— Wiesz, Dżek, twój imiennik był u mnie.

— Kto taki?

— No, Dżek<sup>107</sup> Dale, hurtownik, który ci tyle rzeczy podarował.

— Nie mnie, tylko kooperatywie, i nie podarował, tylko tanio sprzedał. Więc był u pana mister Dale? Dlatego pewnie zapisał wtedy w notesie, żeby nie zapomnieć. Nie wiedział wcale, że pana matka chora.

Mister Taft pokiwał głową.

— Tak, tak, mój Dżeku, są ludzie, którzy wiedzą tylko, co im potrzebne, i pamiętają tylko, co im przynosi korzyść. Lat temu dwadzieścia ten sam Dżek Dale, który przyjechał teraz do mnie własnym samochodem, i to najgorszym ze swoich trzech samochodów, tak, dwadzieścia lat temu był u mnie chłopakiem w sklepie i tak samo pił kawę, jak ty teraz pijesz. Tylko wtedy kawę gotowała moja biedna mama.

Mister Taft głośno wytarł nos, a w oczach miał łzy.

— A jak ty, mój Dżeku, za dwadzieścia lat będziesz miał samochód, to mnie już nie będzie na świecie.

I Taft opowiedział Dżekowi długą historię, jak z małego chłopca na posyłki może się zrobić bogacz.

— Ja go nauczyłem, jak być kupcem. Dobrą miał u mnie szkołę. Kiedy już sam zaczął pracować, przychodził zawsze się radzić. Czasem posłuchał, czasem nie. A potem mówił: „Ile razy posłucham pana, mister Taft, zawsze dobrze na tym wychodzę”.

Dżek bardzo chciał się zapytać, dlaczego mister Taft, który nauczył Dżeka Dale, jak zostać bogaczem, sam jest tak biedny. Bo dawniej Dżek myślał, że każdy, kto ma sklep i tyle różnych rzeczy, jest okropnie bogaty. Ale teraz wie, że nie. Kupiec musi też za wszystko płacić i troszkę tylko zarabia. A nawet nie wszystko, co ma w sklepie, jest jego własnością, bo często hurtownik daje na kredyt, a potem żąda pieniędzy. Właśnie dlatego sklep na rogu zbankrutował wtedy.

Dżek chciał się zapytać, dlaczego Dale bogaty, a mister Taft biedny, ale się wstydził.

No i trzecia wizyta Dżeka była u woźnego szkoły. Bo jak rozdał laurki, woźny go do siebie zaprosił.

A to tak było:

Trzydziestego pierwszego grudnia o dwunastej Dżek przyszedł do szkoły. Tak było cicho i pusto, i jakoś dziwnie. Właściwie Dżek przyszedł o wpół do dwunastej i dobrze zrobił, bo już Sill i Gaston czekali przed bramą. Sill zaraz wziął laurkę i różową wstążeczkę i poszedł, a Gaston został, bo i jemu podobala się szkoła, że pusta i cicha. Chciał nawet wyjść na korytarz i zawołać: „hop-hop”, czy będzie echo. Ale Dżek nie pozwolił, bo woźny może się gniewać.

Dziewczynki bardzo się cieszyły, że dostały wstążkę do przewiązania, i w ogóle wszyscy byli zadowoleni. Chłopcy umawiali się, jak laurkę dadzą rodzicom. Każdy myślał inaczej.

Jeden mówi:

— Ja zaczekam, aż zasną, i położę na stołeczku przy łóżku.

Drugi mówi:

— Ja dam dopiero, jak wrócimy z kościoła.

Fil mówi:

— A ja wezmę do łóżka patelnię i o dwunastej huknę kijem na wiwat, jak w bęben. I dopiero dam.

Wszyscy się śmieją. Jest wielu, którzy się nie położą wcale.

— Przez całą noc? — pyta ktoś nieufnie.

— Ano, co ważnego. Bo to jedną noc nie spałem, jak są goście!

<sup>107</sup>Dżek (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Jack*, zdrobnienia od imienia *John*. [przypis edytorski]

I dopiero opowiadania o świętach, o gościach. I tak trwa godzinę. Jedni odchodzą, drudzy spóźnieni przychodzą.

— Tak leciałem; myślałem, że nie dostanę.

No i coraz mniej, coraz mniej. Aż został Dżek i Parkins. Parkins pomógł Dżekowi wytrzeć schody, bo trochę się zabłocily, i poszedł także. A w szafie zostały się<sup>108</sup> tylko cztery laurki: Dżeka, brudasa Dżona, Warda i Nelly.

Dlaczego Nelly nie przyszła? Dżek bardzo chciał ją zobaczyć. Weszłaby w białym płaszczyku i białej czapeczce z pomponikiem. Płaszczyk Nelly wisi na trzecim kołku w środkowym rzędzie. Raz ktoś jej zrzucił czapkę, Dżek był akurat w szatni, więc wziął i powiesił. A pani woźna powiedziała:

— Zaraz poznać porządne dziecko. Inny sam zrzuci i nie podniesie.

I kiedy Dżek stoi przy oknie i myśli, woźny go do siebie zawołał.

— Długo będziesz czekał? Już więcej nie przyjdą: może wyjechali na święta. A ty zmarzłeś, bo się w święta nie pali w piecach.

I tu tak samo: zupełnie inny jest mister Taft, kiedy ktoś go nie zna i wejdzie tylko coś kupić, a zupełnie inny jest w pokoju ze swoją starą matką. Zupełnie inny jest woźny, kiedy dzwoni na schodach albo chodzi po korytarzu i gderze<sup>109</sup> na chłopców, a zupełnie inny w mieszkaniu. Zupełnie jak rozmaici ludzie, niepodobni do siebie.

Komisja rewizyjna napisała w kajecie z rachunkami Dżeka:

„Komisja rewizyjna przejrzała kwity kooperatywy, obliczyła kasę, sprawdziła rachunki. I znalazła wszystko w zupełnym porządku. Komisja w imieniu kooperatywy trzeciego oddziału Dżekowi Fultonowi składa podziękowanie”.

Podpisali: Harry Passon, Dżems, Fanny, Ella i pani.

Dżek był bardzo zadowolony. Ale w życiu nigdy razem wszystko się nie udaje. Stać się coś przyjemnego, a potem zaraz zmartwienie. Jedno dobre, drugie złe. Za jedno pochwałą, za drugie się gniewają. I szkoda, że się nie udało, i dobrze, że się można przynajmniej pocieszyć.

Więc tego samego dnia, kiedy komisja rewizyjna podziękowała, że dobrze prowadził rachunki, było akurat zadanie klasowe, którego Dżek nie umiał rozwiązać.

A nazajutrz miał jeszcze jedno, zupełnie inne zmartwienie. Nelly umarł ojciec.

Dżek nie wiedział, dlaczego Nelly nie przychodzi, i co dzień szukał w szatni na wieszaku białego płaszczyka. Kołek był pusty przez cztery dni, a piątego dnia zobaczył Dżek czarny paltocik i kapelusz z krepą. Nie domyślił się od razu, ale tak jakby się przestraszył. Prędko biegnie po schodach i zaraz widzi Nelly, ale w żałobie. Koło Nelly stały dziewczynki i rozmawiały. Dżek usiadł na swojej ławce, wyjmując książki z teczek, ale nie wie, co robić.

Doszła<sup>110</sup> do niego Doris.

— Wiesz, Dżek, Nelly umarł ojciec.

— No więc co, że umarł? — mówi Dżek i układa książki, a w gardle tak mu jest jakos, że trudno oddychać.

— Na suchoty<sup>111</sup> umarł. Nelly cały rok będzie chodziła w żałobie. Na wsi umarł. Nelly też była na wsi. Dopiero wczoraj przyjechała ze swoją mamą.

Teraz Dżek wie wszystko. I na szczęście jest dzwonek, i pani weszła, i zaczęła się lekcja.

Pani pocałowała Nelly. I było bardzo spokojnie. Dopiero przed samym dzwonkiem Sanders pokłócił się z Pittem i pani postawiła Pitta do kąta. I dopiero na trzeciej przerwie Nelly pierwsza doszła do Dżeka.

— Nie mogłam być przed świętami — mówi Nelly.

— Wiem. I laurki nie wzięłaś.

— Teraz już mi niepotrzebna — mówi Nelly.

— No, tak — mówi Dżek. — Dżon i Ward też nie wzięli.

<sup>108</sup>zostać się (daw. a. reg.) — dziś popr.: zostać. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>gderze — dziś raczej: gdera; gderać — narzekać. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>dojść — tu: podejść. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>suchoty (daw.) — gruźlica. [przypis edytorski]

— Dlaczego?  
— Dżon zapomniał, a Ward był chory. Czy chcesz zobaczyć szafę?  
— Dobrze.

Dżek pokazał Nelly, jak wszystko jest ułożone.

— No już, wyjdźcie — powiedział dyżurny.

I wyszli razem.

— Chcesz, żebym z tobą poszedł po szkole? — zapytał się Dżek.

— Dobrze — powiedziała Nelly.

I Dżek żałuje, że się zapytał. Bo właściwie chłopcy wracają do domu z chłopcami, a dziewczynki z dziewczynkami. Chyba że jaka siostra albo kuzynka. Jedna tylko Betty goni się z chłopcami na ulicy i nic sobie z niczego nie robi.

Więc po lekcjach wyszli razem i okazało się, że Dżek przechodzi obok domu, gdzie Nelly mieszka. Bo można skręcić w pierwszą albo w drugą ulicę — i wcale nie jest dalej.

Na drodze już zaczęli rozmawiać naprawdę.

Więc brat Nelly został u dziadków na wsi, a do nich sprowadzi się ciotka, która będzie szła razem z mamusią. Mama sprzedała orzechową szafę i tokarnię. Ojciec już dawno kaszał. Jak Nelly siedziała z mamą przy ojcu, kiedy ojciec był bardzo chory, Nelly opowiadała o Dżeku. I mama powiedziała:

— Chciałabym go poznać.

Jeżeli Dżek chce, może wstąpić na górę; zobaczy ich mieszkanie.

Dżek wszedł na górę.

Mama Nelly bardzo się ucieszyła, że przyszedł.

— Bardzo dobrze, mój Dżeku, że zamiast się bawić, poświęcasz wolny czas dla dobra kolegów. Mój mąż, tatuś Nelly, dopóki był zdrowy, też pracował w bibliotece związkowej. Raz urządził teatr, raz koncert, to znów wycieczkę. A cały dochód, cały zarobek, szedł na zakup książek. A chociaż od trzech lat wcale nie pracował, związek dowiedział się o jego śmierci i przysłał na pogrzeb delegata z wieńcem.

I mama Nelly pokazała Dżekowi wstęgę z napisem:

„Bibliotekarzowi Związku w hołdzie za trudy”.

Potem pokazała jeszcze inne pamiątki po zmarłym.

— O, widzisz, w tej teczce trzymał wszystkie rachunki, różne papiery...

— Dla komisji rewizyjnej — powiedział Dżek.

— Właśnie. A ty skąd wiesz o tym?

Dżek żałował, że nie ma akurat przy sobie zeszytu, ale obiecał, że przyniesie i pokaże.

Potem Dżek powiedział, że już musi iść, i wcale go nie zatrzymywali. Tylko matka Nelly powiedziała:

— Nie zapominaj o nas. Nelly będzie teraz smutno bez brata, chociaż się czasem czubili.

I uśmiechnęła się, ale zupełnie tak samo jak Nelly.

Dżek opowiedział w domu, gdzie był, i mama obiecała, że może odda do szycia matce Nelly, jeżeli coś będzie potrzebna.

A w sobotę odbyło się na ostatniej lekcji posiedzenie kooperatywy i biblioteki. Pani miała być także, ale się śpieszyła i nie przyszła.

Fil niemożliwie się zachowywał. Tak błaznował, że wreszcie Dżek znecierpliwiony powiedział:

— Jeżeli Fil nie wyjdzie z klasy, nie chcę prowadzić posiedzenia.

Bo kasa kooperatywy, już po zakupieniu nowych zeszytów i stałek, ma cztery dolary i sześćdziesiąt centów, więc Dżek nie wie, co chcą, żeby kupić.

— Sznapsa<sup>112</sup> — woła Fil. — Dla każdego funt kadryla<sup>113</sup> i pączki, bo teraz karnawał! Głupi taki, że nie wiem. Zaczynają się śmiać i klócić, ile kto może zjeść kielbasy.

— Załóż się — wrzeszczy Fil na cały głos — że sam jeden zjem dwadzieścia serdelków! Co to za posiedzenie.

— Zobaczycie, że przyjdzie kierownik, jak będziecie hałasowali.

A kierownik akurat ma lekcję w sąsiedniej klasie.

<sup>112</sup>sznaps (daw.) — wódka. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>kadryl (daw.) — tu: niskiej jakości wędlina, tani salceson. [przypis edytorski]

Dwoje stoi przy tablicy i maże.  
 — Idźcie na miejsce — prosi Dżek.  
 — A co będziemy szli? Niech się naprzód uspokoją, to pójdziemy.  
 Zaczynają się przesiadać z jednej ławki na drugą.  
 Jedne ławki puste, a na drugich pchają się po czworo, klócą się i robią sery (to znaczą spychają).  
 — Zobaczycie, atrament wylejecie.  
 No i rozumie się, wyleli<sup>114</sup>.  
 — No, już dosyć — woła Iim. — Niech każdy siądzie na swoje miejsce.  
 — Posiedzenie to nie lekcja. Każdy może siedzieć, gdzie chce — mówi Adams.  
 — Ale tylko po dwoje.  
 — A po troje nie pozwolisz? Tak cieplej.  
 Ledwo się troszkę uspokoiło, znów Adams usiadł koło Czarli<sup>115</sup>, a Sidney nie chce. Znów kłótnia, znów hałas.  
 — Dżems, opowiedz nam bajkę — nagle zawołał Fil, ale takim płaczącym tonem, że nie można się nie śmiać.  
 — Fil, wyjdź w tej chwili z klasy — mówi Dżek, już tak rozzłoszczony, że łzy ma w oczach.  
 Fil wychodzi. Cisza. Nagle staje przy drzwiach i zaczyna:  
 — Dżek, druhu mój miły! Mnie wypędzasz, mnie, który by życie za ciebie poświęcił? O niewdzięczniku, patrz: serce mi pękło z bólu.  
 I przewraca się koło drzwi, niby że umarł.  
 Ale już klasa ma naprawdę dosyć.  
 — Fil, przestań!  
 — Już dosyć!  
 — Wszystko pani powiem!  
 — Chodźmy do domu!  
 — Jak jakie szczeniaki!  
 Teraz już się naprawdę uspokoiło. Każdy usiadł na miejscu.  
 — Cztery dolary i sześćdziesiąt centów. Jeszcze są winni pięćdziesiąt cztery centy i nie oddają. Horton nic bez pieniędzy nie daje.  
 — Bo Hortona i tak wyrzucili.  
 Nieprawda: Hortona nie wyrzucili, ale siódmy oddział jest z niego niezadowolony. Bo jeżeli w trzecim oddziale<sup>116</sup> Dżek Fulton tyle zrobił w ciągu trzech miesięcy, to przecież siódmy oddział przez rok mógł więcej zrobić.  
 — Nasza kooperatywa śpi — powiedział jeden na posiedzeniu siódmego oddziału.  
 Wspomnienie o siódmym oddziale jeszcze bardziej uspokoiło wszystkich. Fil krzyknął:  
 — Niech żyje trzeci oddział!  
 Ale to nie przeszkodziło. Przeciwnie.  
 Zaczęli radzić, czy kooperatywa ma dawać bez pieniędzy, czy nie.  
 — A co robić, jak kto akurat nie ma?  
 — A w sklepie musi mieć.  
 Więc kooperatywa będzie wydawała, ale trzeba na drugi dzień przynieść. A kto się spóźni albo nie odda, ten już nic nigdy na kredyt nie dostanie.  
 No, dobrze. A teraz: co kupić?  
 Pani prosiła, żeby nie kupować bez jej wiedzy. Na podarunki gwiazdkowe pani się zgodziła, bo już było za późno, kiedy Dżek kupił; ale w kooperatywie szkolnej powinno być tylko, co potrzebne do szkoły.  
 — Co pani szkodzi? — odzywa się Harry.  
 — A jak my chcemy? To przecież nasze pieniądze.  
 — A jak pani nie pozwoli w szafie trzymać, co wtedy zrobimy? — pyta się Dżek.

<sup>114</sup>wyleli — dziś popr. forma 3 os. lm cz.przesz.: wylali. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma D. i B.: Charliego. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>oddziale — dziś popr. forma Msc. lp.: oddziale. [przypis edytorski]

Dżek sam nie jest zadowolony, że nie wolno, ale nic nie mówi. Niech wszyscy poproszą, to pani zobaczy, że wszyscy.

— Bo ja bym kupił futbol<sup>117</sup>.

— A ja łyżwy.

— Wszystko chcą tylko dla siebie — powiedziała jedna z dziewczynek.

— A wam może wstążki kupić?

— No więc, co by się stało takiego? Jak mamy długie włosy, to musimy mieć wstążki.

— Widziałem na wystawie książkę: *Jak zrobić domowy telefon* — mówi Dżems.

— A ja *O windzie*.

— W naszej czytelnicy mało jest powieści historycznych — mówi Harry.

— Tak, tak — dodał Dżems. — Podobno śliczna jest tłumaczona z polskiego powieść historyczna: *Ogniem i mieczem*.

— I *Galernik*<sup>118</sup>, tłumaczona z francuskiego.

Więc postanowiono prosić, żeby pani pozwoliła kupić dwie pary łyżew, futbol<sup>119</sup> dla chłopców, dużą piłkę ręczną dla dziewczynek i żeby każdy napisał, jakie chce najbardziej książki, żeby były w bibliotece.

Ponieważ do dzwonka zostało dwadzieścia minut, Dżems opowiedział śliczną bajkę, a właściwie nie bajkę, tylko książkę, którą czytał — o człowieku, którego wychowała w lasach małpa<sup>120</sup>. Dżems nie zdążył skończyć, więc na przyszły tydzień po posiedzeniu już zupełnie dokończy.

Zanim się zajmę szachrajską spółką, którą założył Czarli, muszę opowiedzieć, jak zakończyło się posiedzenie kooperatywy.

Bo pani spytała się nazajutrz:

— No, jakże się udało?

— Doskonale, proszę pani. Z początku Fil troszkę przeszkadzał, ale zaraz się uspokoił.

Dlaczego powiedziano o Filu? Przecie trzeba było powiedzieć tylko, że doskonale; wtedy pani chętniej pozwoli na łyżwy; a śnieg akurat spadł w nocy, ale akurat taki, jak potrzeba, żeby lód był doskonały — nie za twardy i nie za śliski. No, dobrze. A jak już raz na kogoś powiedzą, że łobuz, potem inny może dziesięć razy więcej dokazywać i przeszkadzać, a nikt inaczej nie powie, tylko:

— Fil.

Albo:

— Rozumie się, Fil.

To „rozumie się” — najbardziej złości. Nic się właśnie nie rozumie, a uczepli się jednego i już wszystko na niego zwalają. Niech się Fil chce raz dobrze sprawować, i tak nic z tego nie będzie. Więc mu nawet nie warto.

Dopiero później Dżek sobie przypomniał, że pierwszy najgłośniej zaczynał się śmiać z żartów Fila nikt inny, tylko Czarli, jakby mu specjalnie zależało, żeby posiedzenie się nie udało; a przecież Czarli wcale znów się tak często nie śmieje. Właśnie Adams najwięcej się kręcił i coraz to siadał na innym miejscu i dogadywał. A Betty znów między dziewczynkami buntowała na Dżeka.

Niechby w oczy powiedzieli, że kooperatywa im się nie podoba czy że im się Dżek nie podoba. Niechby głośno powiedzieli. Ale nie. Próbowali to tu, to tam, ale im się nic wyszpiegować nie udało. Potem dopiero dowiedział się Dżek, że poszli do hurtownika Dale, bo też chcieli kupić. Ale ich za drzwi wyrzucił. Byli u mister Tafta, myśleli, że tam coś usłyszą. Ale nic.

<sup>117</sup>*futbol* (daw., z ang. *football*) — piłka nożna, piłka do gry w futbol. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*Galernik* — może to być nawiązanie do opracowania napisanego dla młodzieży przez Stanisławę Buraczewską na podstawie *Nędzników* Victora Hugo (*Galernik. Z powieści Wiktora Hugo p. t. Nędzarze*, Warszawa 1908). Drugą możliwość stanowi powieść niemieckiego pisarza Gustava Nieritza (1795–1876), która ukazała się w Warszawie w 1879 r. w tłumaczeniu Emilii Lejowej. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>*futbol* (daw., z ang. *football*) — piłka nożna, piłka do gry w futbol. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>książkę, którą czytał, o człowieku, którego wychowała w lasach małpa — mowa najprawdopodobniej o powieści *Tarzan wśród małp* (*Tarzan of the Apes*) napisanej przez Edgara Rice’a Burroughsa w 1912 r. [przypis edytorski]

Betty trudno winić: kiedy się już wszystko wydało, sama nawet opowiedziała, płakała i naprawdę żal jej było. Dziewczynki już dawno ostrzegały, żeby się zanadto nie przyjaźniła z chłopcami. Co innego, jak który porządniejszy, spokojny, ale ona właśnie lubiła łobuzów.

Bo Adams nawet gorszy od wyraźnego łobuza, bo „cicha woda”. Pani na pewno myśli, że lepszy od Fila. Bo Adams tylko wtedy dowodzi, kiedy pani się odwróci albo jak nie ma lekcji. Chłopcy dobrze wiedzą, ale z dorosłych nikt go nie przyłapie. Umie tak jakoś się rozejrzeć, czy nikogo nie ma, a co najważniejsze, umie się od razu uspokoić. Nawet woźny nie zna Adamsa, bo się wtedy zdziwił, kiedy powiedziano, że może Adams wytłukł szybę. Mówili, że może Adams, ale to był nie *może*, tylko na pewno Adams. I cała klasa musiała płacić.

— Co, ja — jaką szybę? Kto panu powiedział, że ja? Sanders może zaświadczyć: akurat z nim stałem i rozmawiałem.

Jeszcze się wtedy przyjaźnili z Sandersem. Ale do spółki<sup>121</sup> go nie wzięli, bo biedny. Ale przez Sandersa wymanili<sup>122</sup> od Pennella osiemdziesiąt centów. Nigdy, ale to nigdy nawet na myśl nie przyszło Dżekowi, że Czarli jest taki. Już teraz Dżek woli nawet Doris niż jego.

Bo Doris właściwie co? Trochę płociuch i trochę luzus. Jak tamta pani pozwalała się jej rozporządzać, no to naprawdę trudno z nią było wytrzymać. Ale teraz... Żeby chociaż taką beksą nie była... Ale Czarli — zupełnie co innego...

Jednym słowem, pani pozwoliła. Więc Dżek chodził po sklepach i pytał się o łyżwy i futbol. Chodził po sklepach i o to samo pytał się uproszony Harry. Chodził Lindley, chodził Fisk i Tower, i Gaston, i Ward. Chodzili pojedynczo i po dwoje. Jeden się lepiej znał na skórze, drugi na pompce, trzeci na pęcherzu, czwarty na łyżwach.

Okoliczni kupcy pierwszego dnia chętnie rozmawiali z chłopcami, drugiego dnia zaczęli się dziwić, że tyłu ogląda, a żaden nie kupuje. A trzeciego dnia wszystkich przegonili.

— A macie pieniądze?

— Mamy, owszem. Tylko w domu.

— No to przynieście z domu pieniądze i wtedy przyjdźcie, to wam pokażę. I gromadami proszę nie przychodzić. I proszę nogi wycierać, bo mi cały sklep błócicie. I drzwi zamykać.

Co prawda, już za wiele się kręcili. Ale Dżek nie był winien. Łyżwy i futbol kupuje kooperatywa, więc każdy ma prawo zobaczyć, żeby kupić dobrze i tanio. I Dżek nie był winien, że nie wszyscy zachowywali się jak należy. Na przykład Ward, obrażony, umyślnie zostawił drzwi otwarte, jak wyszedł, a jeszcze wrzucił kulę śniegową. Właściciel sklepu powiedział, że przyjdzie do kierownika szkoły na skargę i że go pozna.

Dżek nie był winien, ale jemu się dlatego właśnie dostało. Bo kiedy nazajutrz przyszedł z zamiarem zawarcia ostatecznej umowy co do wysokości rabatu, ten od razu na Dżeka:

— Czy wy się odczepicie nareszcie, czy mam postawić przed sklepem stróża z kijem?

— Wybacz pan — zaczął Dżek.

— Nic nie wybaczę! Ruszaj mi w tej chwili! Drzwi zostawiają otwarte, nóg nie wycierają.

— Wytarłem drzwi i nogi zamknąłem — mówi Dżek przez pomyłkę, bo jest rozgniewany.

— No to twoi koledzy, łobuzy — z kooperatywy. Kooperatywy się zachciało tym...

I tu kupiec tak nieprzyzwoicie przezwiał członków kooperatywy, że wyrazu tego w drukowanej książce wcale powtórzyć nie można.

Akurat tego dnia było bardzo pochmurno, więc Dżek pomyślał, że temu panu pewnie reumatyzm bardzo chodzi po kościach. Więc nawet się nie rozgniewał. I naprawdę chciał już łyżwy kupić, bo będzie odwiłz i wtedy wszystko na nic.

— Tak i tak — powiada Dżek — mam pieniądze i mogę zapłacić zaraz za dwie pary łyżew: jedno większe, a drugie mniejsze. Jeżeli pan nie wierzy, mogę przyjść z nauczycielką.

— Dobrze, przyjdź z nauczycielką.

<sup>121</sup>współka — dziś: spółka. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>wymanić (daw.) — wyludzić. [przypis edytorski]

Przyszedł Dżek z panią, łyżwy kupili, pieniądze zapłacili. I nawet nie dwie, tylko trzy pary łyżew. Bo futbol będzie potrzebny na wiosnę, więc można poczekać.

Ale właściciel sklepu nie przebaczył. Opowiedział, co mu zrobił Ward — i pani na jutro bardzo się gniewała. Pani powiedziała, że przebacza dlatego, że się przyznał, ale musi właściciela sklepu przeprosić.

Wtedy wstał Iim i powiedział:

— To niesprawiedliwe. Jeżeli my mamy przeprosić, to on niech nas także przeprosi, bo obraził kooperatywę i dał nam takie przezwisko, że wcale nie można powtórzyć.

Iim wiedział o tym od Dżeka, ale ani Iim, ani Dżek nie chcieli powtórzyć.

— Nieprzyzwoicie nas przezwiał. Tak mówią, jak są źli na małe dzieci.

Pani się pewnie domyśliła, a mimo to kazała list z przeproszeniem napisać. Już tak jest, że dorosłym zawsze się udaje — nawet kiedy nie mają słuszności.

Bądź co bądź, sprawa łyżew skończyła się dobrze. Na podwórzu była sztuczna ślizgawka i chłopcy mogli się ślizgać — nawet tacy, którzy własnych łyżew nie mają.

Z początku Dżek nie mógł sobie poradzić, bo wszyscy chcieli być pierwsi. Nawet mówiono, żeby kupić zegarek, ale pokłócili się, bo każdy chciał nosić. Zegarek był potrzebny, żeby ślizgać się tylko dziesięć minut. Dla tych, którzy umieją, to dosyć, ale kto się dopiero uczył, ledwo założył łyżwy, już musiał zdejmować. A już dwa razy pani powiedziała, że będzie musiała zabronić, bo się spóźniają po dzwonku.

Dżek zaczął wydawać bilety z kolejnymi numerami. A kto nie zapłacił centa, nie miał prawa drugi raz pożyczać.

Trzy pary łyżew było za mało, ale tylko z początku. I tak jest zawsze na świecie, że jeżeli pokaże się coś nowego, naprzód tłoczą się wszyscy, a potem dopiero zostają ci, którzy chcą naprawdę. Z początku dobijali się o łyżwy prawie wszyscy chłopcy i więcej niż połowa dziewczynek. A potem już nie. A jeszcze potem zostało tylko nie więcej niż dziesięcioro.

Gdyby Dżek miał więcej doświadczenia, zauważyłby, że liczba obrażonych się zwiększa. Jedni mówili, że łyżwy niepotrzebne, że można było kupić coś lepszego, z czego mogła korzystać cała klasa.

A Dżek tylko myśli o swoich kolegach.

Każdy niby mówi o całej klasie, a właściwie chce dla siebie i jeśli nie całkiem darmo, to przynajmniej tanio. I nic dziwnego: w szkole powszechnej dzieci mają mało pieniędzy, a chcą mieć wiele różnych rzeczy, które widzą na targu i na wystawach sklepów. Ale czy Dżek temu winien? Że mu się raz udało dogodzić, nie znaczy, że tak będzie zawsze. A wśród tych, którzy otrzymali tyle zabawek i ozdób choinkowych, byli zazdrośni, którym się zdawało, że inny dostał więcej i lepiej.

Nie o sobie i nie o kilku przyjaciółach myśli Dżek, a dba istotnie o wszystkich. Więc Morris w zamian za otrzymane farby malował laurki imienninowe. Więc wprowadził Dżek sprzedaż pocztówek, arkuszy z żołnierzami do wycinania — więc kiedy na robótkach pani pokazała roboty z drutu, kupił drut i wielu chłopców zrobiło sobie klatki. Żeby nie wyrwali kartek z kajetów, zaczął Dżek sprzedawać arkusze czystego papieru, bo przecie potrzebny każdemu człowiekowi papier. Można było dostać w kooperatywie sznurek i jeśli komuś podarło się sznurowadło, nie chodził w rozsznurowanych trzewikach. Zresztą trudno żyć bez kawałka sznurka i kilku bodaj gwoździków. Więc w kooperatywie były i gwoździe. Spróbował Dżek zachęcić kolegów do warcab, bo w książce był przepis, jak zrobić samemu warcaby. I kupił tuzin arkuszy na warcabnice, które można nalepić na tekturę, a pionki wyciąć z korków. I o korki Dżek się postarał, ale wszystko to leży w szafie.

Były i próby nieudane.

Niezupełnie udały się temperówki. Ale trudno, nie były ostre, bo zanadto tanie, więc w lichym gatunku. Kałamarze do zamykania na zasuwkę też się nie udały, bo atrament się przesączał, zresztą nie bardzo były potrzebne. A już najgorzej się stało z wiecznymi piórami, na które się Dżek połakomił na targu: pióra nie tylko nie wiecznie, ale wcale nie pisały. Dżek strasznie się martwił, ale mister Taft go pocieszał:

— Przyjacielu Fulton, wszystko, co się robi, raz się lepiej udaje, raz gorzej. Na to nie ma rady. Kto nic nie robi, ten nie popełnia błędów, ale się też nie uczy. Oszukali cię i teraz już wiesz, że jest handel uczciwy, solidny i handel szachrajski, spekulacyjny, że jest

towar dobry i tandeta. Dobre wieczne pióro jest drogie, a amatorów na wieczne pióra wielu. Pióro — to nie zabawka. A czy nie ma w sklepach zegarków do zabawy, które idą tylko wtedy, kiedy się kręci? Ani śmiać się z ciebie, ani wymawiać nie mają prawa. Bądź ostrożniejszy i twoi koledzy niech się nauczą ostrożności.

Ba, łatwo mister Taftowi mówić. Nie udało się Dżeka ani klasy przekonać.

A w dodatku zrobiło się ciepło i skończyła się ślizgawka.

Właściwie Czarli — Adams zaczęli od samych świąt, ale po troszku. Naprzód od marek.

Marki<sup>123</sup> zbierali chłopcy zawsze, ale tylko niektórzy. I zbierali takie sobie, tanie, mniej ważne. Kupowali mało, przeważnie zamieniali: jedną na jedną, dwie zwyczajne na jedną rzadszą. Prosili tych, którzy nie zbierają, żeby im przynosić. I był spokój. Dopiero Czarli zaczął na dobre. Sam dostaje darmo, a innym sprzedaje. Zachęcał w ten sposób, że w notesach własnej roboty wkleja różne marki, na pierwszej stronie pisze: Stany Zjednoczone, na drugiej: Kanada. Potem dużymi literami: Europa i po kolei: Rosja, Francja, Niemcy, Anglia itd. Potem: Azja — i tu zwykle wkleja jedną markę japońską — niby że w albumie są marki z całego świata. Bo ten notes nazywa: album, a razem z markami dopiero: kolekcja. I kto kupił za dwa centy kolekcję, zaczyna już zbierać. Potem Czarli najlepsze marki z kolekcji wymani<sup>124</sup>, niby że zamienia na więcej, a potem drugi i trzeci raz sprzedaje te same. A chłopcy się nie spostrzegli.

Czarli parę razy próbował się zbliżyć do Dżeka, niby że przyjaciel.

— Powiedz, Dżek, co ty masz z tej kooperatywy? Pracujesz tylko dla nich za darmo.

Albo:

— Gdybyś mnie wziął do kooperatywy, to można by dużo różnych rzeczy zrobić.

Ale widzi, że nie, więc dał spokój. I razem z Adamsem swoim śmieciarskim sposobem zaczął gromadzić bez wyboru, co się da i gdzie się da. Tu wytrajlował<sup>125</sup> starą monetę, zbierał wypisane kajety na strzały i pukawki, to muszelki, to wypalone lampki elektryczne, klisze<sup>126</sup> kinematograficzne. Urządził jakąś panoramę. Miał słonia z porcelany, figurkę Napoleona, pęknięte lustro, widelczyki od czekoladek, pilnik tępy, piórniki złamane, jedną łyżwę, kapelusik dla lalki, diament do krojenia szkła, młotek, paski jakieś, stare karty do gry, sztukę taką, żeby zdjąć drut z drutu, ale nie siłą, no i rozumie się, pocztówki zapisane, które niby oprawił w ramki, że to są obrazy.

I dopiero rozpoczął handel.

Wszystko to robił i dawniej, ale nie tak bardzo, bo nie wiedział, czy wolno, więc musiał się ukrywać. Ale teraz, kiedy pani pozwala Dżekowi, nie ma potrzeby się bać. Rozłożył wszystko na ławce, powypisywał ceny i dopiero:

— Patrzcie! Zamiast płacić Dżekowi za pożyczanie łyżew, a jeszcze prosić jak o łaskę, możecie kupić na własność jedną łyżwę, co jest właściwie to samo.

Co tu wiele gadać: była to szacherka. Czarli dawał na kredyt, zamieniał z dopłatą albo sam dopłacał. Betty to samo robiła z dziewczynkami, a Adams obojgu pomagał. To samo robił Czarli u siebie na podwórku. I tak trwało trzy tygodnie.

Dla przykładu opowie tylko historię diamentu do krajania szkła. Czarli powiedział, że diament jest to samo co brylant i że kto ma diament, może być szklarzem. A kosztuje tylko pięć centów. I sprzedał go Smithowi za dwa. Smith porysował szybę w klasie, pewnie i w domu — i zamienił diament z Pittem na sześć marek. Pitt pobawił się diamentem i zamienił na wieczne pióro z Hansonem. Od Hansona odebrał ten sam diament Czarli za pasek i dwie muszle i sprzedał go na podwórku za dwa centy. Ale chłopak dał tylko centa, a drugiego obiecał zwrócić za tydzień. Ale nie miał i Czarli tak mu dokuczał, że oddał diament z powrotem i Czarli sprzedał go Pennellowi za trzy centy i kogucika

<sup>123</sup>marka (daw.) — tu: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>wymanić (daw.) — wyludzić. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>wytrajlować (daw. pot.) — wyludzić, wyprosić. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>klisza kinematograficzna — taśma filmowa. [przypis edytorski]



z prawdziwymi piórami. Kiedy się wreszcie wszystko wykryło po tej awanturze, diament znów był u Czarli<sup>127</sup>. Okazało się, że Czarli wyprosił go z powrotem od Pennella.

W ciągu trzech tygodni Dżek spokojnie prowadził dalej kooperatywę i bibliotekę. Dokupił bajki Andersena, podróże Guliwera i atlas do zbiorów botanicznych: jak zbierać i suszyć rośliny do zielnika.

Więcej niż połowa klasy brała wszystko albo prawie wszystko w kooperatywie. Przychodzili nawet z innych oddziałów i bardzo prosili. Nie kupowali tylko tacy, którzy lubią chodzić do sklepów, gdzie się zawsze widzi wiele ciekawych rzeczy i można się zapytać o cenę — no, może kilkoro obrażonych i dwoje, którym rodzice nie pozwolili. Bo są rodzice, którzy dzieciom wcale pieniędzy nie dają, tylko sami kupują, jak trzeba.

Rachunki na brudno prowadził Dżek, a potem zostawiali z Nelly, która przepisywała na czysto.

Czasem przychodził woźny albo jego żona i rozmawiali o kooperatywie. Wszystko razem trwało najwyżej pół godziny i szli do domu. Gawędzili o szkole, czasem Dżek opowiedział coś o małej Mary, czasem Nelly — o mamusi i bracie.

Mamusia Nelly była bardzo miła, więc Dżek często wstępował, ale nie siedział długo. Czasem nawet w niedzielę przychodził i raz Nelly była u niego, bo chciała zobaczyć Mary. I matka Nelly podarowała teczkę skórzaną, zamykaną na kluczyk, taką, jak mają urzędnicy. A właściwie nie Dżekowi dała, a kooperatywie. Bo Dżek z początku nie chciał.

— Niech wam służy. Macie różne rachunki, kwity kontrolne, może wam coś zginąć, będziecie mieli zmartwienie. Mój mąż, ojciec Nelly, kiedy pracował w związku, też chował w tej tece wszystkie dokumenty. Weź, Dżeku, jeżeli się okaże, że niepotrzebna, to mi zwróć.

— Ale się zniszczy — bronił się Dżek.

— Nie szkodzi. Przecież i tak już jest używana, a u mnie w szafie jeszcze ją myszy pogryzą.

Bo teka była ze skóry z bardzo ładnym zameczkiem.

I właśnie o tę tękę wynikła bójka między Adamsem i Iimem.

Bo Czarli powiedział, że Dżek małpuje urzędnika i za pieniądze kooperatywy kupił sobie tękę. A jak się okazało, że nieprawda, Adams zaczął się śmiać z Nelly, że jest narzeczoną Dżeka. Obaj rzucili się na Dżeka i dopiero:

— Rozporządza się za cudze pieniądze jak szara gęś. Głupcy dają pieniądze, a on kupuje, co mu się podoba. Kupił kałamarze do niczego i tępe temperówki, i wieczne pióra, które wcale nie piszą. Marek pocztowych nie chce kupować, bo się na niczym nie zna. Prezenty daje: takie drogie farby dał Morrisowi, organki sfundował Barnumowi i pewnie Nelly też robi fundy za pieniądze kooperatywy.

Dżek był błąd jak kreda. Z początku odpowiadał spokojnie, ale ci jeszcze gorzej. Dopiero Iim mówi:

— Daj spokój; co będziesz z tym szachrajem rozmawiał.

— Oo, patrzcie, jak go broni. To jedna paczka!

— Wy jedna paczka ze złodziejem Sandersem!

— A co ci Sanders ukradł?

— Mnie nic, ale matce Pennella ukradł pierścionek — wiesz?

— A twój Dżek ukradł teczkę.

Podobno Dżek pierwszy uderzył Czarli<sup>128</sup>, ale właściwie Iim pobił się z Adamsem, więc już tamci przestali.

— Przekupiony świadek! — krzyknął Adams i dostał.

Ale i Adams był silny. Więc parę razy jeden rznął drugiego, a potem chwycili się wpół i dopiero, kto kogo położy. A kto uwolni rękę, ten grzmoci. Nikt się do bójki nie wtrąca, bo obaj mają równą siłę i bardzo są rozszoszczeni. Więc porządnie sobie nakładli, ale Adamsowi pękły szelki, więc musieli przestać. I Iim uderzył się o róg ławki, ale w głowę, więc nie było znać; tylko pani widziała, że są czerwoni i spoceni.

<sup>127</sup> Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma D. i B.: *Charliego*. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma B. i D.: *Charliego*. [przypis edytorski]

I nawet lepiej się stało. Zaraz klasa rozdzieliła się na dwie partie i dopiero wiadomo, kto za kim trzyma. Wszyscy porządniejsi byli po stronie Dżeka.

Dżek chciał powiedzieć pani i zwołać na sobotę posiedzenie. Niech każdy powie, co myśli. Za wieczne pióra może zwrócić pieniądze, nawet kałamarze może odebrać. Właśnie zbiera na futbol. Bo kiedy nie ma ślizgawki, chłopcy chcieli już sprzedać łyżwy, ale Dżek starannie je oczyścił i posmarował tłuszczem, żeby nie zardzewiały. Jeżeli nawet w tym roku się nie przydadzą, na przyszły rok kooperatywa będzie już miała trzy pary, a jeśli dokupią dwie, więcej będzie mogło z nich korzystać. A futbol i bez tego będzie, a może i dwa.

Dużo gadania, ale lepiej, że się skończyło.

— Osiągnąłeś walne zwycięstwo — powiedział Fil.

I prawdę powiedział. Walka — to nie tylko wojna. Walczyć można o dobre imię, przekonania, dobrą sprawę — przeciwko kłamcom i zazdrośnikom.

Tylko że po takim zwycięstwie człowiek jest zawsze smutny, bo widzi dopiero, że nie wszyscy są na świecie porządni, że nie wszystkich można przekonać. Żeby nie wiem co dobrego robić, zawsze będą niezadowoleni, będą mieli pretensje.

Ale najważniejsze, żeby się nie zniechęcać, a przeciwnie — jeszcze bardziej pracować. I tak właśnie stało się z Dżekiem. Już dawno chciał zrobić klasie nową niespodziankę, a teraz jeszcze bardziej. Bo oto Dżek postanowił iść z całym oddziałem do cyrku.

Później powiem, jak Dżek obmyślił razem z Filem, bo naprzód muszę opowiedzieć o drugiej walce, którą musiał Dżek stoczyć z samym kierownikiem. Spadło to na Dżeka również niespodzianie w dziesięć dni po pierwszej awanturze. Bo przyszła na skargę na Dżeka matka Hamiltona. Rozumie się, nie na Dżeka, tylko na Czarli<sup>129</sup>, ale dobrze nie wiedziała i poplątała ich razem.

Podczas lekcji arytmetyki wezwano Dżeka do kancelarii. Dżek domyślił się, że się coś stało, bo kierownik niby spokojnie zaczął, ale od razu widać, że zły.

Często dorośli zamiast się zapytać, od razu zaczynają się gniewać. Wtedy w głowie się miesza i zamiast spokojnie wytłumaczyć, albo nic się nie odpowiada, albo się zaczyna wykręcać i jest jeszcze gorzej. Dżek był doświadczonym uczniem, więc postanowił lepiej nic nie mówić.

— Słuchaj, Fulton, pani pozwoliła wam prowadzić biblioteczkę, potem chcieliście mieć kooperatywę. Siódmy oddział ma też kooperatywę, ale tam żadnych szacherek nie robią. Bardzo chciałbym wiedzieć, co się u was dzieje. Co ty za łyżwy kupiłeś i co to wszystko znaczy?

— Tak, proszę pana kierownika — mówi pani Hamilton. — Zaczęło się bardzo pięknie. Laurki na Nowy Rok, różne choinkowe drobiazgi. Co prawda, dziwiłam się, że za pięć centów przyniósł mój chłopiec tyle różnych rzeczy. Ktoś im tam podarował podobno. Już wtedy nawet chciałam przyjść, żeby się dowiedzieć, bo mi się wydawało podejrzane. Ale mój chłopiec nigdy nie kłamał. A teraz, jak się zaczęły te handle w klasie, zmienił się, że go nie poznaję. Raz wziął pieniądze na ołówek, a kupił jakieś marki. To znów — niby mu pióro zginęło — wziął dwa centy, a pióro niby się znalazło. „Więc nie kupiłeś pióra?” „Przecież się znalazło”. „Więc gdzie masz pieniądze?” Mówi, że mu były potrzebne. Pytam się, na co dzieciakowi mogą być potrzebne pieniądze?

Pani Hamilton zaczęła płakać.

— Bo proszę pana kierownika, matka wszystkiego nie powie. Gdyby ojciec się dowiedział, toby go żywego z rąk nie puścił. A ja wiem, że nie winien, tylko koleżki, o tacy, jak ten kawaler...

I pokazuje na Dżeka.

— ...ja go posłałam po naftę, powiedział, że zdrożała. Zdziwiłam się, ale jeszcze nie podejrzewałam. Bo mi się w głowie pomieścić nie mogło...

Znów płacze; kierownik ją uspokaja. A Dżekowi jakby kto w głowie wywiercił dziurę; ledwo oddycha.

<sup>129</sup> Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma B. i D.: *Charliego*. [przypis edytorski]

— ...wreszcie wczoraj, proszę pana kierownika, wyjął mi po kryjomu pięć centów. I dopiero się przyznał. Ale teraz już nie wiem, czy mam wierzyć... Och, jakie to bolesne dla matki... Przecież nie po to posyła się dzieci do szkół, żeby się uczyły... kraść.

I pani Hamilton już na cały głos zaczęła płakać i wykrzykiwała:

— Dla takich dzieci jak Fulton powinny być inne szkoły! Jakies poprawcze szkoły, żeby się z porządnymi wcale nie stykały. Bo zaraza idzie na całą klasę. Takich uczniów powinno się wypędzać ze szkoły!

Już kierownik chce się o coś Dżeka zapytać, ale pani Hamilton nie daje:

— Co pan go się będzie pytał! On powie, że nie winien. Ja ich wykręty znam. Ja swojemu chłopcu za nic nie pozwolę wyjść na podwórko. Pan nie wie, jakie to wszystko zepsute. Oj, ci koledzy, ci koledzy...

— Proszę pani, znam i ja dzieci — mówi kierownik.

— Ja je lepiej znam, bo jestem matką.

— A ja jestem wychowawcą.

— To co? Pan siedzi sobie w kancelarii — i już. A jak mój chłopiec miał zapalenie płuc, pięć nocy nie rozbierałam się, nie spałam, nie jadłam, nie piłam... A teraz taka nagroda. Och, jakie to dla matki bolesne. A wszystko przez koleżków.

Więc kierownik znów do Dżeka:

— Czy sprzedawałeś marki?

— Nie — odpowiada Dżek.

— A co, nie mówiłam? Niewiniątko! Wiedziałam, że tak powie.

I znów:

— Wypędzić! Szkoła poprawcza!

Aż kierownik się zniecierpliwił i odesłał Dżeka do klasy. I co potem było, Dżek nie wie, tylko słyszał przez drzwi głos pani Hamilton na korytarzu. A potem głos woźnego.

Dopiero na pauzie zaczęli sobie wszyscy opowiadać. I już cała szkoła wie, ale każdy mówi inaczej.

— Hamilton — Dżek.

Później:

— Czarli i Dżek.

Jeszcze później:

— Dżek — Betty — Czarli — Sanders — Hamilton — łyżwy — marki — kooperatywa.

Dżek bał się najwięcej, żeby i Nelly nie wpłatali do awantury. A każdy dochodzi do Dżeka.

— Co to było? Po co cię kierownik wołał? Czego chciała matka Hamiltona?

Och, jakie to było nieprzyjemne.

Mówili nawet, że się matka Hamiltona chciała pobić czy też pobiła się z woźnym.

Tak trwało przez całą pauzę. Z dziewczynek najwięcej wiedziała podobno Doris, a z chłopców Iim. Czarli miał taką minę, jakby go wcale nie obchodziło. Betty płakała.

Dżek tak myślał:

„Łyżwy kupił z panią. Ale czy ma kierownikowi powiedzieć? Może pani będzie się gniewała? Markami handlował Czarli. Ale czy kierownik uwierzy, czy Czarli się przyzna?”

A najgłówniejsze:

„Czy wezwą matkę, czy nie?”

Fil raz tylko doszedł do Dżeka. Był zupełnie poważny i powiedział:

— Zobaczysz, że nic ci nie będzie. Bo za co?

A potem rozmawiał długo z Iimem. I właściwie pierwszy Iim zaczął mówić o Czarli<sup>130</sup>.

Adams udawał, że go głowa boli.

Po dzwonku uciszyło się nareszcie. A potem znów zawołano Dżeka do kancelarii. Weszła pani podczas lekcji rysunków i powiedziała:

— Dżek, weź swoje rachunki z kooperatywy i chodź.

Teraz Dżek przekonał się, jak wygodna jest teka. Tylko otworzył szafę, wyjął tekę z papierami i już miał wszystko bez szukania.

<sup>130</sup>Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma Msc.: o Charliem (czyt. o czarlim). [przypis edytorski]

A w kancelarii pierwszy zeznawał woźny:

— Proszę pana kierownika, Dżek jest bardzo porządny chłopiec. Tam jest jeden Czarli Rok<sup>131</sup>, ten trochę lubi kręcić.

Kierownik powiedział, żeby woźny zawołał Czarli<sup>132</sup>, a sam zaczął przeglądać rachunki Dżeka.

Okazało się, że Hamilton tylko dwa razy brał łyżwy: raz zapłacił, a drugi raz nie zapłacił, i więcej już nie brał. Hamilton przez cały czas kupił tylko jeden zeszyt, trzy stalówki, no i laurkę. Co kupił przed świętami, dokładnie nie było wiadomo, bo wtedy Klaryssa obraziła się i przestała pisać.

Wszedł Czarli.

Marki? Ano tak, zbiera marki, zamienia się, ale we wszystkich szkołach wszyscy robią to samo. Zresztą może nie przynosić więcej albumu, bo i tak przynosi tylko, jak go bardzo proszą. Czy Hamiltonowi coś sprzedawał, nie pamięta, ale zdaje się, że nie.

Jak można tak strasznie kłamać. I patrzy kierownikowi prosto w oczy, i nawet się nie zaczerwieni.

Ale jeszcze nie koniec. Kierownik zapytał się, czy Dżek może zostawić tekę z rachunkami do jutra, i odesłał ich do klasy, a potem zawołał Hamiltona, który prawie do dzwonka był w kancelarii i wrócił cały zapłakany.

Na drugi dzień już tylko Czarli, Adams i Betty byli w kancelarii. Potem Czarli poszedł do domu i wrócił z matką. A na trzeci dzień przyszła matka Sandersa.

Kierownik bardzo grzecznie powiedział Dżekowi: „dzień dobry”, jak mu się Dżek uklonił na korytarzu, a papiery i tekę zwrócił mu dopiero po trzech dniach.

— Jesteś w porządku, mój chłopcze. Miałeś przykrość, ale widziałeś, że i ja nie same mam przyjemności. Matka Hamiltona ma słuszny żal do szkoły, że jej syn wdał się w niepotrzebną aferę. Więc prowadź spokojnie kooperatywę, ale sam nic nie rób, tylko zawsze się naprzód poradź pani albo przyjdź do mnie.

Teraz przyjemnie było odpowiadać, kiedy go obścapił koleczy:

— No co?

— Co ci powiedział kierownik?

Klasa była bardzo zadowolona. Bo myśleli, że każą zamknąć kooperatywę, a już się przyzwyczaili; zresztą byłby wstyd przed innymi oddziałami.

Sandersiak<sup>133</sup>, jak wiadomo, mieszkał na tych samych schodach<sup>134</sup>, co Dżek, więc Dżek bał się, żeby matka się nie dowiedziała. Bo po co? Dostyc, że sam miał tyle nieprzyjemności. Ale Sanders nic nie mówił, bo się bał, że wyjdzie na jaw sprawa pierścienia Pennella.

I niby wszystko zostało po dawnemu, że Dżek i Nelly prowadzą bibliotekę i kooperatywę, ale teraz jeszcze się więcej pilnuje, żeby rachunki były w porządku. I klasa tak się przyzwyczaiła, że myślą, że już inaczej wcale być nie może. A nie. Dżek znów chce zrobić klasie niespodziankę, a nawet dwie niespodzianki:

Pierwsza, żeby się cały oddział razem fotografował. A druga, żeby cały oddział poszedł do cyrku.

Właściwie to matka Pennella kazała powiedzieć, żeby Dżek przyszedł, że ma ważną sprawę. No i powiedziała, że będzie bardzo przyjemnie, jeżeli każdy będzie miał fotografię, bo to jest miła pamiątka, a brat pani Pennell ma zakład fotograficzny.

Więc musiał znów biedny Dżek chodzić, dowiadywać się o cenę. Bo są różne fotografie: droższe i tańsze. Znów musiał przy pomocy mister Tafta robić kalkulację, żeby najładniejsza fotografia wypadła najtaniej. Więc jeżeli wszyscy się zgodzą, to każda fotografia kosztować będzie cztery centy, a jeżeli się weźmie mniejsze fotografie, to będzie można zrobić po trzy centy — i tym, co zapłacić nie mogą, można wydać pięć fotografii bezpłatnie.

<sup>131</sup>Rok — najprawdopodobniej spolszczona pisownia anglosaskiego nazwiska *Rock*. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma B. i D.: *Charliego*. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>Sandersiak — dziecko państwa Sanders; forma nazwiska uzupełniona polskim formantem słowotwórczym *-iak*, oznaczającym najczęściej istotę młodą. W czasie, kiedy powstawały powieści Janusza Korczaka, tworzenie takich form było w polszczyźnie znacznie częstsze niż na początku XXI w. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>mieszkał na tych samych schodach — tu: mieszkał w tej samej kamienicy, na tej samej klatce schodowej. [przypis edytorski]

No i ubrali się ładnie i cały oddział razem z panią poszedł do fotografa. Zgodzili się wszyscy, a pani Hamilton sama przyniosła do szkoły aż sześć centów, żeby jednemu jeszcze dać bezpłatnie, jeżeli nie może zapłacić.

— Chętnie dam — powiedziała pani Hamilton — ale żebym wiedziała, że to nie złego, i żeby było jawnie, a nie po kryjomu.

No i jedni usiedli na podłodze, drudzy na ławce, a reszta stanęła. Pani siedziała we<sup>135</sup> środku i chciała, żeby z jednej strony usiadł Dżek, a z drugiej Nelly; ale się zawstydzili i nie chcieli. Stanęli bardzo z daleka.

Fotograf dwa razy fotografował, żeby wybrać kliszę<sup>136</sup>, która się lepiej uda. A potem na robótkach miał każdy zrobić ramkę do swojej fotografii.

Rozumie się, kierownik wiedział i pozwolił. A Dżek nawet wspomniał o cyrku.

— Och, niespokojną masz głowę — powiedział kierownik. — A idźcie sobie do cyrku, tylko pamiętaj, żebyś przez te różne interesa nie został na drugi rok w tym samym oddziale<sup>137</sup>.

Cyrk znowu — to była myśl Fila.

Akurat w cyrku przedstawiano dzikie zwierzęta: lwy, tygrysy, pantery.

Na afiszach wymalowano ogromną żelazną klatkę i jedna pani, ale w spodniach, stoi między zwierzętami, a lew przeskakuje przez obręcz.

— Słuchaj, Dżek, mój złociutki, zakręć się koło tej sprawy, żeby jakoś można było po niższej cenie. Sam zobaczysz: kinematograf jest ciekawy, ale tam wszystko na płótnie, więc to są tylko obrazki. A tu — rozumiesz: prawdziwe dzikie zwierzęta, a między nimi kobieta — i ona się nie boi. Widzisz, tak ci doskonale udała się fotografia. Mój złociutki, zrób kalkulację, sfinansuj, ale prędko, bo za dwa tygodnie — zmiana programu.

Dżek nie chciał.

— Kierownik powiedział, że mam niespokojną głowę. Rodzice dopiero dali na fotografię, będą się krzywili. Nie mam czasu. Sami się zajmijcie.

Ale Harry był w cyrku. Jest zupełnie tak jak na afiszach: młoda pani w czarnym ubraniu wchodzi do klatki z dzikimi zwierzętami. Najwięcej ryczał jeden lew. Nie chciał przeskoczyć przez obręcz. Uderzyła go, ale on tak otworzył paszczę. Już zupełnie miał się na nią rzucić. Ale ona coś krzyknęła i już go nie uderzyła. Tylko lokaje cyrkowi w czerwonych frakach trzymali żelazne drągi. Ale lew przeskoczył, tylko potem stanął w samym rogu klatki i ryczał. Strasznie był zły. I tak łapą w powietrzu ruszał, jakby ją chciał rozdrzeć. A potem zaczął gryźć klatkę zębami.

Fil aż pocałował Dżeka.

— Zrób kalkulację, Dżek.

Obstąpili Dżeka ze wszystkich stron.

— Sfinansuj.

Bo Harry nie pierwszy lepszy i jeżeli mówi, że poszedłby drugi raz nawet, to na pewno warto widzieć.

Dobrze. W niedzielę pójdzie Dżek z Filem przed cyrk i dowie się, zobaczy, rozmówi, jeżeli będzie można. Jednym słowem, rozejrzy się.

Najgorsze, że nie miał mu kto pomóc. Mister Taft odmówił pomocy; nie zna się, nie wie. W fotografii pomogła matka Pennella. A tu musi sam. Żeby choć wiedział, jak zacząć.

Fil nie dawał mu spokoju.

— Musisz — powiada.

I tak się jakoś zaczęło Dżekowi zdawać, że naprawdę ma obowiązek zaprowadzić trzeci oddział do cyrku.

<sup>135</sup>we środku (reg. pot.) — dziś popr.: w środku. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>klisza — szklana płytka, na której utrwał się negatyw zdjęcia; później przez analogię nazywano kliszą również błonę fotograficzną; tu: ujęcie. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>oddziale — dziś popr. forma Msc. lp.: oddziale. [przypis edytorski]

Ale kiedy stanęli przed ogromnym domem, gdzie mieści się cyrk, jak zobaczyli milicjantów, którzy rozpędzają takich jak oni chłopców!... A tu samochody wałę jeden za drugim.

— Nic z tego nie będzie — mówił Dżek.

— Co ci szkodzi spróbować?

Dżek już nie jest nowicjuszem. Pamięta, z jakim strachem wchodził dawniej do mister Tafta, do introligatora, do hurtowni. Teraz było zupełnie co innego.

Do fabryki kajetów wchodzi jak do własnego domu albo do szkoły. Od razu mówi, że jest uczniem trzeciego oddziału i koledzy powierzyli mu prowadzenie kooperatywy. Dżek umie rozmawiać, a finansowo nazywa się to:

„Dżek umie nawiązywać stosunki”.

Więc Dżek nawiązał stosunek z woźnym cyrku.

— Tak i tak. Trzeci oddział. Czterdzieścioro dzieci. Nie mogą dużo zapłacić.

— Zaczekaj — mówi woźny. — A ten kto? — zwraca się do Fila.

— My razem.

— Stójcie tu sobie.

Więc już stoją i są spokojni. Ale przyszedł drugi woźny i mało ich nie wyrzucił. Mówi, że tu stać nie wolno, że przeszkadzają.

— Tamten pan nam pozwolił.

— Jaki „tamten pan”? Co pozwolił?

— Kazał nam czekać.

— Jeden mówi tak, drugi tak — wtrącił się niepotrzebnie Fil i mało nie oberwał za ucho.

Ale akurat weszli państwo, bardzo bogaci, w takich futrach. A potem chłopak chciał się wtrącić bez biletu. A potem doszedł jakiś pan i posłał woźnego.

A tu muzyka we<sup>138</sup> środku gra.

— Czujesz zapach? — pyta Fil.

— Bo co?

— To ze stajni, od koni. Wszystkie konie w cyrku arabskie: mają cienkie nogi, długie szyje i są bardzo mądre.

Woźny tymczasem zaprowadził ich do kasjera. Dżek otworzył tekę, chciał pokazać papiery kooperatywy, ale kasjer nie ma czasu.

— Szkoła musi napisać list. Najlepiej niech przyjdzie ktoś starszy. Bo są przedstawienia wieczorowe i popołudniowe.

— A ile kosztuje bilet?

— Najtańszy dziesięć centów.

Tyle akurat zapłacił Harry.

— No, ale rozmawialiśmy z kasjerem.

— I trzeba napisać list.

— Wiesz — mówi Fil — wysłamy sami. Morris wymaluje klatkę ze zwierzętami. Nelly napisze, a wszyscy podpiszą. Musimy zwierzęta zobaczyć. Czy wiesz, gdzie Morris mieszka?

Poszli do Morrisa, kupili arkusz czystego papieru, Morris raz jeszcze obejrzał na ogłoszeniowym słupie afisz cyrkowy i powiedział, że nie wie, czy potrafi. Ale na jutro obiecał przynieść. Potem poszli do Harry<sup>139</sup>, żeby napisał list. A Harry napisał:

Szanowny panie!

Byłem w cyrku i bardzo mi się podobały dzikie zwierzęta. I opowiedziałem w szkole. I wszyscy chcemy zobaczyć dzikie zwierzęta...

Długo myśleli, co dalej. Ale Dżek wymyślił:

Więc bardzo prosimy, bo mamy kooperatywę, żebyśmy mogli tanio być w cyrku, bo mamy mało pieniędzy, a najtańszy bilet kosztuje dziesięć centów. Mamy na futbol odłożone 1 dolar 35 centów i możemy dać jedną parę łyżew, to się może w cyrku przydadzą.

<sup>138</sup>we środku (reg. pot.) — dziś popr.: w środku. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>Harry (daw.) — dziś popr. forma D. i B.: Harrego. [przypis edytorski]

Trochę Harry ma zmienić i jutro przyniesie do szkoły.

Bardzo cicho było w poniedziałek na lekcjach. Harry wymalował śliczną laurkę. Na pauzie się podpisali. A o godzinie dwunastej tę petycję — bo taki list zbiorowy nazywa się u dorosłych petycja — więc ten list Dżek dał pani do przeczytania.

Pani poszła z listem do kierownika, który obiecał zatelefonować do dyrektora cyrku, jeżeli będzie miał czas.

Co zrobić, żeby kierownik miał czas? Dlaczego dorośli są zawsze zajęci i właśnie na najważniejsze sprawy nie mają czasu?

I mogli się spóźnić. Bo dopiero po tygodniu kierownik zwrócił list klasy. I Dżek z Harrym poszli do cyrku, ale im kazano przyjść nazajutrz, bo kogoś nie zastali. Potem im powiedzieli, żeby sam kierownik napisał. I znów przeszedł tydzień. Tymczasem afisze głosiły: „Ostatni tydzień”. „Jeszcze tylko dwa dni”. Wreszcie, kiedy już zupełnie stracili nadzieję, Fil wpadł jak bomba do klasy z wiadomością, że z powodu nadzwyczajnego zainteresowania, na żądanie publiczności, dzikie zwierzęta zostaną jeszcze przez tydzień. Więc kto nie zdążył, niech się spieszy, bo już naprawdę ostatni tydzień.

I zdążyli.

Rodzice się trochę krzywili, ale Fil obmyślił odezwę do rodziców pod tytułem:

Przecież to karnawał. Wszyscy się bawią.

A dzieci — to przyszłość narodu!

I w tę właśnie nieodwołalnie ostatnią niedzielę trzeci oddział poszedł do cyrku.

Program był taki:

1. Gimnastycy-akrobaci.
2. Oryginalna tresura czystej krwi ogiera arabskiego „Arik”.
3. Bim-Bom.
4. Sześć koni oryginalnie tresowanych.
5. Billy Jenkins, Cowboy, Indianin i miss Bohara — sztuki rzucania łąso, tańce indyjskie, celne strzały.

I jeszcze, i jeszcze.

Aż na końcu — dzikie zwierzęta.

Gdyby nic nawet nie było, to sam cyrk trzeba koniecznie zobaczyć. Arena wysypana piaskiem, a potem wokoło, coraz wyżej i niżej — krzesła dla publiczności. Na ścianach różne obrazy o dzikich ludach. I tyle światła. I mały kucyk z napisem: „15 minut przerwy”. I śmieszny tresowany osiołek. I Bim-Bom. Jedno śmieszne, drugie śliczne, trzecie straszne. Jak oni mogą to wszystko, że się nie pozabijają?

Nawet dziewczynki były zachwycone, nawet ci, którzy już byli raz i dwa razy w cyrku. Nawet Dżekowi cyrk się bardzo podobał, tylko nie mógł się zgodzić, że pogromczyni zwierząt jest najpiękniejszą i najsławniejszą kobietą na całym świecie i nawet od początku świata.

— Przecież to są tresowane zwierzęta — mówi Dżek.

— A ty może byś wszedł do klatki? — zaperzył się Fil.

Są tacy, którzy mówią, że by weszli. Klaryssa powiada, że żaden chłopak by nie wszedł. Nic dziwnego, że dziewczynki są trochę dumne.

Są tacy, którzy mówią, że tygrys jest niebezpieczniejszy od lwa, bo się rzuca od razu, a lew najprzód<sup>140</sup> ryczy.

No, ale że głowę kładła w paszczę lwa, tego już nikt nie może zrozumieć.

Dżek, który myślał akurat o czymś innym, tak sobie tylko, aby coś powiedzieć, zauważył:

— A może to tylko naumyślnie?

— Co naumyślnie?

— Może to był sztuczny lew?

— Ach, ty Kalkulacjo — krzyknął oburzony Fil. I zaległa nieprzyjemna cisza.

Dżek żałował, że się niepotrzebnie odezwał. A Fil strasznie żałował, że wymyślił na Dżeka nowe przezwisko. Już teraz niech ktoś zechce Dżekowi dokuczyć, na pewno przezwie go „Kalkulacja”.

<sup>140</sup>najprzód (daw.) — najpierw, z początku. [przypis edytorski]

Dżek zaraz się usunął i niewesołe myśli zaczął snuć po głowie:

Oto słońce świeci, niezadługo klasa upomni się o futbol, w kasie kooperatywy pustki. Szkoda, że nie odebrał dolara wtedy, kiedy były w kasie pieniądze. Weźmie dziś tekę z papierami do domu i obliczy, ile mu są winni. Jeżeli nic nie będzie kupował przez miesiąc, powinien zebrać chociaż na jeden futbol. Gdyby kto i kupił parę łyżew. Szkoda, że kupił trzy pary. Łyżwy potrzebne są jeden albo dwa miesiące. Łyżwami bawi się tylko jeden; a w futbol gra od razu dużo.

Myśli tak Dżek — myśli, a tu go nagle trąca w łokieć Hanson.

— Słuchaj: Fil się pyta, czy się na niego gniewasz?

— Ja na Fila? Za co?

— No, że cię przezwał.

— Jak?

— Powiedział na ciebie: „Kalkulacja”.

— Nie, nie gniewam się — szczerze powiedział Dżek.

Ale Fil doszedł do Dżeka dopiero nazajutrz po drugiej lekcji; bo wstydził się, że wyrządził przykrość dobremu koledze.

Ano, przyszła wiosna. I Dżek postawił na swoim. Oddział trzeci ma dwa własne futbale. Bo Dżek napisał memoriał.

Memoriał jest zupełnie czymś innym niż petycja. Petycja — to list, w którym się o coś prosi. Nazwa mądra, ale znaczy to samo, co prośba. A memoriał — to żądanie, ale tak napisane, że nie można odmówić, że trzeba się zgodzić.

Może jest inaczej, ale tak właśnie rozumiał Dżek i napisał. I oddał kierownikowi do odczytania na miesięcznym posiedzeniu rodziców.

Chociaż Dżek nie lubi pisać, ale widział, że inaczej nic nie poradzi. Dżek pisał cały tydzień, a potem Nelly bardzo ładnie przepisała.

Dżek długie tygodnie rozmyślał nad tą sprawą. A sprawa jest taka, że:

Dzieciom potrzebne są pieniądze.

Dzieciom pieniądze potrzebne są zupełnie tak samo jak dorosłym, tylko na inne rzeczy.

Dzieci nie mają niby własnych pieniędzy, ale rodzice dają: na zeszyty, pióra, ołówki, gumy. Czasem rodzice dają chętnie, czasem się gniewają. Ale na nieszkolne rzeczy — to zawsze czekać trzeba, aż się trafi dobra sposobność. (Dorośli mają wyraz. Nazywają to: dobra koniunktura).

Więc ojciec Todda daje chętnie, kiedy się upije, a ojciec Gilla odwrotnie: jak zacznie pić, biedny Gill zawsze odesłany jest przez panią do domu, bo nie ma kajetu albo stalki. W zeszłym roku cały miesiąc nie miał książek, bo akurat ojciec dużo pił, kiedy się zaczął rok szkolny.

Kto wie: gdyby kooperatywa mogła wtedy kupić piłkę, młotek, cęgi i deski, może by Adams nie wdał się z Czarli<sup>141</sup>, tylko robił sanki dla członków kooperatywy. Adams zrobił na podwórku sanki i woził dzieciaków<sup>142</sup> za darmo. Nawet zrobił żelazne okucie z blachy.

Adams tak wtedy mówił:

— Morrisowi dałiscie farby i patrzcie, ile wam namalował. Macie z niego pożytek. A mnie nie chcecie.

Dżek zrobił kalkulację, ale miał wydatek duży na łyżwy. Zresztą zajęty był bardzo, bo i Harry chciał urządzić akwarium w klasie z wodnymi roślinami, złotymi rybkami, ślimakami i trytonami. I z tego też się nic nie zrobiło, bo zabrakło funduszków na sfinansowanie projektu. Zwyciężyli ci, którzy chcieli łyżwy. Harry się nie gniewał, bo widział, że Dżek chce. Dwa razy byli u ptasznika na ulicy Żurawiej i raz na Owocowej. Dżek chciał nawet kupić kosa albo szczygła. Niech sobie wisi w klatce i niech śpiewa.

<sup>141</sup> Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma N.: z Charliem (czyt.: z czarlím). [przypis edytorski]

<sup>142</sup> dzieciaków — popr. forma B. lm: dzieciaki. [przypis edytorski]



Dżek pamięta. Teraz już nie warto, ale na przyszły rok będzie można urządzić przyrodnicze muzeum. Bo ptasznik ma nie tylko papugi, kanarki, najróżniejsze ptaki i ryby, ale i muszle, gwiazdy morskie, różne skamieniałości.

Harry wiedział, że Dżek nie ma pieniędzy, a Adams złościł się:

— Sanki są przyjemniejsze od łyżew, bo się nie trzeba uczyć: siadasz i jedziesz. Żałujesz na kilka desek?

Dżek nie żałował, ale wyraźnie nie miał. I wtedy dopiero Adams z Czarli<sup>143</sup> — przeciwko Dżekowi.

— Barnumowi dałeś organki, no i co z tego macie? Ale to twój przyjaciel.

Kłamstwo! Barnum tyle obchodzi Dżeka co zeszłoroczna zima. Tylko Barnum obiecał grać dziewczynkom do tańca. Były tylko jedne duże organki. Kto mógł wiedzieć, że Barnum się podejmie, a potem nie zechce. A kiedy już się obraził i chciał organki oddać, były zardzewiałe i do niczego.

Dziewczynki najwięcej były oburzone na Barnuma. Iim tak się zirytował, że mało Barnuma nie pobił. Z całej klasy jeden tylko Fil wziął go w obronę.

— Barnum — to artystyczna natura. Artysta prawdziwy musi mieć brudne uszy i wszystko mu rdzewieje. Mój wujek też ma artystyczną naturę.

Kto wie, czy zawód, który sprawił kooperatywie Barnum, nie wpłynął właśnie na Dżeka i dlatego bał się ryzykować. Bo akurat wtedy chciał Adams robić sanki.

No, dobrze.

Ale właściwie stało się tak dlatego, że dzieci nie mają pieniędzy. Jeden nie może grać, bo nie ma harmonijki. (Barnum umie nawet grać na mandolinie). Morris nie może malować, bo nie miał farb, biedny Fil tak się męczy, że połowy różnych rzeczy z *Bosko czarnoksiężnika* nie może zrobić, bo nie ma na sfinansowanie. Nawet Harry nie może sobie pozwolić na kupno siatki na motyle i skrzynki do zbierania roślin.

Jeśli dziecko ma już czasem parę centów, kupi jabłek albo cukierków, bo na nic innego nie starczy. No i robi kalkulację, robi, ale widzi, że nic, więc się boi, że zgubi i wyda na byle co.

Dżek dzięki kooperatywie wie wszystko i gryzie się, martwi, ale nie ma rady.

Gaston chce zrobić latawca według wzoru z książki. Dżems mówi, że potrafiłby zrobić elektryczny zegar. Kto go tam wie: może by i umiał? Hanson kupił w kooperatywie dwa arkusze piechoty i arkusz konnicy, a na artylerię musi czekać, bo i tak winien centa. A wojsko bez artylerii tyle warte, co nic. Ford marzy o sztucznych wąsach, bo u nich jest długi korytarz i bawią się w zbójców. Nawet na sztuczne wąsy go nie stać, a przecież są w sklepach różne maski zbójckie i indyjskie; ani marzyć o tym.

Stara się Dżek, jak może, ale najczęściej musi odmawiać.

Jeszcze tylko jedną rzecz udało mu się sfinansować. Oto Ella i Fanny wystąpiły w imieniu dziewczynek, żeby dziadkowi, który stoi niedaleko szkoły, kupować codziennie na śniadanie bułkę. Dziadek jest strasznie stary, ma siwiutenieczką brodę i bardzo mu zimno. Tak z nogi na nogę przestępuje. Pewnie nikogo nie ma i jest bardzo głodny. Dziadek nie prosi jak inni, tylko stoi. Musi być dumny i przykro mu żebrać na starość.

Fanny oddawała śniadanie, ale Ella jest jej przyjaciółką i mówi, że Fanny i tak często głowa boli, a jak odda śniadanie, to ją zupełnie już boli. Fanny się rozniewała i mówi:

— Czego się do mnie wtrącasz? Co to ciebie obchodzi?

— Obchodzi mnie. Niech mu Pennell daje, a nie ty.

— Nie pozwolisz?

— Nie pozwolę: pójdę do twojej mamusi albo powiem pani. Po co pani ma na ciebie krzyczeć, że cię głowa boli?

Bo Fanny oddała śniadanie, a pani na czwartej lekcji gniewała się, że Fanny nie uważa i że jest — śpiąca królewna. Nawet jej potem Allan dokuczał, łaził za nią chyba przez tydzień i ciągle tylko, gdzie się ruszyła:

— Śpiąca królewna!

Fanny pokłóciła się z Ellą.

Fanny mówi:

<sup>143</sup> Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma N.: z Charliem (czyt.: z czarlim). [przypis edytorski]

— Nieprawda!

Ella mówi:

— Sama mi przecież powiedziałaś!

Fanny mówi:

— Już nigdy w życiu nic nie powiem.

Ella mówi:

— Jak sobie chcesz. A śniadania nie będziesz oddawała, bo potem jesteś głodna.

Fanny mówi:

— Zabronisz mi? Nie lubię, jak się mną „ktoś” za bardzo opiekuje.

Ella mówi:

— Jeżeli jestem dla ciebie „ktoś”, możemy nie rozmawiać.

Wszyscy wiedzą, że już za godzinę będą rozmawiały. Bo jak się pokłóć tacy, którzy się nie lubią, mogą potem rok nie rozmawiać. Ale tu poszło przecie o głupstwo. Tylko je więcej rozzłościł Fil, bo stuknął głowami i powiedział:

— Pocałujcie się, dziewczynki.

No, ale dziadka zna cały oddział. Więc znów do Dżeka:

— Dziadkowi kupować chleb.

— Nie, bułkę, bo nie ma zębów.

Dżek się zgadza. Przecie nie można pozwolić, żeby Fanny co dzień bolała głowa. Bo ona dobra dziewczynka: nie skarży się, trochę się lubi rozporządzać, ale dobrze się uczy i wytłumaczy, jak ją poprosić, czasem nawet lepiej niż Harry.

I obciążył Dżek budżet kooperatywy o stały wydatek. Ale mister Taft powiedział, że nie szkodzi, bo kooperatywa powinna przeznaczyć pewne sumy na cele społeczne.

Wszystko to wiedział Dżek i wiele innych jeszcze rzeczy. Pisał Dżek cały tydzień. Ciężko szło. Przekreślał, mazał, znów przepisywał. To mu się początek nie podoba, to zakończenie. Nagle coś sobie przypomina i dodaje. Głównie, że wiosna się zbliża, a nie mają futbolu.

Tak i tak. Futbol kosztuje tyle i tyle. Raz na tydzień odbywać się będzie mecz za miastem, więc potrzebne pieniądze na tramwaje.

Kooperatywa oszczędziła rodzicom wiele pieniędzy nie tylko dlatego, że jest taniej, ale że każdy ma okładkę i bibułę — że nikt teraz nie wydiera kartek z zeszytów, bo kupują arkusze papieru.

Biblioteka szkolna wydała dwieście czterdzieści sześć razy książki. Gdyby dzieci nie czytały książek, pewnie dokazywałyby w mieszkaniu i mogły coś stłuc alboby biegały po podwórku i darłyby zelówki.

Dzięki kooperatywie choinki były ładnie i tanio przybrane. Dżek ma zamiar zakupić większą ilość wielkanocnych stoliczków. Adams obiecał wyciąć laubzega<sup>144</sup>, a Dżek był w cukierni, ale powiedzieli, że jeszcze za wcześnie.

Dzieci napisały laurki noworoczne. Zrobiły z drutu klatki. Same na robótkach oparły fotografie, którymi ozdobiły mieszkania.

Dorosłym potrzebne są pieniądze, ale dzieciom tak samo. Przecie nie można tylko pracować, jeść, spać i nic więcej.

W oknach mieszkań muszą być doniczki. Dżek się dowiadywał o nasiona. Pomoże mu w tym wujaszek Dika<sup>145</sup>. Gdyby można było zaraz kupić doniczki, wypadłoby taniej.

Kooperatywa ugina się pod ciężarem wydatków. Dżek chciał zamówić pieczętkę gumową z napisem: kooperatywa. Taką pieczętkę ma siódmy oddział. Ale Dżek postanowił zredukować wydatki administracyjne ze względu na zły stan finansów — i pieczętki nie kupił. Te dwa zadania są też bardzo trudne i finansowe.

Kooperatywa nie chce drogo sprzedawać, więc ma nieduże dochody. Przy tym kupili trzy pary łyżew, które na przyszłą zimę będą procentowały. Do końca roku szkolnego trzeba będzie dokupić tylko kajety rachunkowe. Stalek mają całe trzy pudełka.

Więc nie o to idzie, żeby nawet darowano, a tylko o pożyczkę.

W memoriale wspominał także, że nie mają roweru. Napisał o rowerze na żądanie Dika, ale bardzo ostrożnie.

<sup>144</sup>laubzega (z niem. *Laubsäge*) — wyrzynarka, gilotyna do papieru. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Dik (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Dick*, zdrobnienia imienia *Richard*. [przypis edytorski]

Napisane było tak:

Wiemy, że od razu w pierwszym roku nie możemy mieć zbyt wiele.  
Toteż nie kupimy ani roweru, ani aparatu fotograficznego, ani mandoliny;  
ale każdy przyzna, że cały oddział nie może spędzić lata bez dwóch futbolów.

Jeśli Dżek miał chwilę wolną, wyruszał już nie na plac, nie na sąsiednie, a dalej — do śródmieścia, na pryncypalne ulice, gdzie są wyższe i ładniejsze domy, bogatsze sklepy i ciekawe wystawy. I za każdym razem coś nowego zobaczył.

Raz zatrzymał się przed wielkim domem, napisane było: „Bank”. Innym razem odczytał napis: „Urząd podatkowy”. To znów: „Notariusz” taki a taki. Zapisywał to sobie na kartce, a potem wstępował do mister Tafta na pogawędkę i pytał się, co znaczy. Mister Taft chętnie objaśniał:

— Bank pożyczka pieniędzy. O, patrz!

Mister Taft otworzył książkę telefoniczną.

— Patrz! Jest bank handlowy. Jeżeli kupiec chce kupić towar, a brak mu pieniędzy, idzie tam i pożyczka. W banku przemysłowym pożyczają fabrykanci. Fabrykant musi wypłacić robotnikom. A co ma robić, jeżeli akurat nie sprzedał i nie ma? Pożyczka. Co by robił rolnik, jeżeli zabraknie mu na nasiona. Jeżeli nie zasieje w porę, już wszystko przepadło. Więc idzie do banku ziemian i pożyczka. Albo zaczął ktoś budować dom i nagle mu zabrakło. Jeżeli tylko dachu brakuje, nikt nie może już mieszkać. Ludzie nie mają gdzie mieszkać, a dom prawie wykończony się zmarnuje. Jeżeli rzemieślnik chce założyć warsztat, też może pożyczyc w banku.

No, dobrze.

— A co to notariusz?

— Widzisz: są na świecie ludzie uczciwi i nieuczciwi. Na przykład sprzedał dom albo sklep, albo pożyczyc pieniądze, a potem mówi, że nieprawda albo że zapomniał.

— Bardzo często tak mówią — potwierdził Dżek.

— No, widzisz. Więc są tak zwani rejenci, którzy każde kupno albo sprzedaż zapisują do książki. Podpisuje się ten, który sprzedał, i ten, który kupił. I przepadło. Już nie może powiedzieć, że nie chce albo że nieprawda.

— To jest bardzo mądre — powiedział Dżek. — Gdyby u nas w szkole była taka książka notarialna, nie byłoby całej awantury z Czarli<sup>146</sup>. I w ogóle strasznie dużo jest między uczniami szachrajstwa.

Od sprawy Czarli<sup>147</sup> nowa pani też nie pozwala sprzedawać ani zamieniać. Ale to niemożliwe. Więc robią po kryjomu i rozumie się, źle jest, bo kto się nie zna, traci.

Dżek postanowił urządzić na przyszły rok bank i książkę notarialną. Kooperatywa nie wydawać nie będzie na kredyt, tylko kto nie ma, może pożyczyc w banku.

Mister Taft radzi nie nazywać bankiem, bo się będą wyśmiewać, tylko: kasa pożyczkowa.

Dżek już chciał nawet zacząć, ale inna ważna sprawa zajęła jego uwagę na cały czas świąt wielkanocnych. A szło nie mniej, nie więcej, tylko o rower, a może i dwa rowery.

Tak. Kiedy dawniej mówił Dżek kolegom o czymś, że trzeba czy że można kupić, zawsze zaczynali się śmiać.

— Idź, wariacie! A wiesz, ile to kosztuje? A skąd weźmiesz pieniądze?

Teraz klasa takie ma do Dżeka zaufanie, że nie zdziwiliby się wcale, gdyby powiedział:

— Kupuję samochód.

Przeciwnie, już za wiele myśleli, że Dżek może zrobić, jak zechce.

Bo na posiedzeniu rodziców kierownik odczytał memoriał Dżeka i dopiero zaczął mówić, że Dżek ma słuszność.

Kierownik mówił tak:

<sup>146</sup> Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma N.: z Charliem (czyt.: z czarlim). [przypis edytorski]

<sup>147</sup> Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma B. i D.: Charliego. [przypis edytorski]

— Memoriał Dżeka Fultona i mnie nauczył wiele. W piątym oddziale<sup>148</sup> zadałem uczniom wypracowanie: „Co mi jest bardzo potrzebne, a nie mogę kupić, bo nie mam pieniędzy”. Na czterdzieści odpowiedzi tylko sześcioro pisze, że im nic nie potrzeba, bo kupują rodzice. A inni napisali, że im są różne rzeczy potrzebne. Może na wsi, gdzie nie ma sklepów, dzieci mniej widzą i mniej chcą mieć. Ale w mieście każdy coś zobaczy, co mu się bardzo podoba. Futbol potrzebny jest chłopcom, a jest wielu, którzy nawet piłek nie mają. Szczyrki potrzebne są w szkole. W klasie Dżeka prawie połowa ma szczyrki i prawie wszystkie dzieci mają kredki i karton. I nauczycielka robót i rysunków jest bardzo zadowolona. Szkoła powszechna jest bezpłatna, ale rodzice tym większy mają obowiązek dawać pieniądze na to, czego w szkole nie ma. Chcę na zimę kupić latarnię, żeby można było pokazywać przeźrocza<sup>149</sup>. W maju często urządzać będziemy wycieczki. A kooperatywa chce kupić futbol i rower.

Kierownik wspomniał o sprawie Czarli<sup>150</sup> i powiedział, że co innego jest oszukaństwo, a co innego kooperatywa.

Dżek dokładnie nie wiedział, co mówiono, bo tylko trochę powiedział mu ojciec, który był na posiedzeniu rodziców, pani też mówiła i trochę pan woźny powiedział. Zresztą najważniejsze, że futbale już są i zostało jeszcze pięć dolarów dwadzieścia centów na rower.

W gazecie były ogłoszenia, że ktoś chce sprzedać używany rower. Dik zaprowadził Dżeka do welodromu<sup>151</sup>, gdzie jeden pan wynajmuje do nauki rowery.

Tu Dżek się dowiedział, że inne są rowery do nauki, a inne z ostrym kołem<sup>152</sup> do jazdy. Fil, Iim i Harry poszli z Dżekiem na targ, gdzie też sprzedawano rowery. Tylko że Dżek pamiętał historię wiecznych piór i teraz się bał, żeby go nie oszukali. Bo czasem wezmą stary, wylakierują go i sprzedają za nowy, a potem łańcuch pęka, szprychy się łamią, pedały się psuje i reperacje więcej kosztują, niż wart jest cały rower.

Szczególniej do nauki rower musi być mocny.

Dżek się boi, straszenie się boi. Już był w dwóch sklepach, raz ze starszym bratem Dika, raz z wujem Stanleya. Tak, koniecznie potrzebny ktoś starszy. I może nie tyle starszy, ile ktoś, co się zna.

Na przykład jeżeli kupuje dom, bierze architekta, żeby obejrzał i powiedział, czy warto kupić i czy nie za drogi. Takiego doradcę dorośli nazywają: rzeczoznawcą, to znaczy, że on się zna.

Mister Taft mówi, że i dorośli sami nie kupują, jeżeli coś jest ważne, a nie bardzo się znają.

Bo nie ma dorosłego, żeby się znał na wszystkim i żeby wszystko wiedział.

No i poszedł Dżek do sklepu, gdzie można kupić rower na raty. Dżek zapłaci, ile ma, potem będzie spłacał.

Chłopcy grają sobie w futbol, a Dżek musi głowę łamać. Jeszcze go tylko drażnią, bo każdy co innego radzi, a już by chcieli jeździć. Dżek chciał nawet odłożyć do przyszłego roku, bo z futbalem ma i tak dość kłopotu. Oni niszczą, a on nosi do reperacji.

Dopiero Iim powiedział, że co za dużo, to niezdrowo, że jeśli chcą mieć rower, niech Dżekowi głowy nie zwracają futbalem. I teraz Iim, który jest najlepszym bramkarzem, wydaje futbol, odbiera i zapisuje pieniądze, daje do reperacji albo brat jego zeszywa. Dżek tylko finansuje i niech robią, co chcą. Iima wybrali, bo jest sprawiedliwy, sam dobrze gra, a co najważniejsze, ma zegarek.

Ma Iim swoje zalety, ma i wadę; zanadto dużo gada i lubi się kłócić. Ma i zegarek Iima wadę: zegarek idzie, kiedy Iim stoi, i zaraz staje, jak Iim zacznie chodzić. Iim mówi, że to kłamstwo, że Czarli naplotkował, bo zły, że ktoś jeszcze prócz niego ma zegar. W każdym

<sup>148</sup>oddziale — dziś popr. forma Msc. lp.: oddziale. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>latarnia, żeby można było pokazywać przeźrocza — latarnia czarnoksiężska a. latarnia magiczna, prosty projektor, rzucający na ścianę przeźrocza, czyli obrazy namalowane na szkle. Uważany za wynalazek siedemnastowiecznego jezuity Athanasiusa Kirchera. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>Czarli (daw.) — spolszczona (dziś niepoprawna) pisownia anglosaskiego imienia *Charlie*; dziś popr. forma B. i D.: *Charliego*. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>welodrom — tor rowerowy, tu: serwis rowerowy. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>ostre koło — rodzaj mechanizmu napędzającego rower: prosty układ, w którym pedały kręcą się w tym samym tempie, co tylne koło (nie ma wolnobiegu, który pozwala zatrzymać pedały podczas jazdy). Najstarszy i najprostszy rodzaj napędu, dziś używany w kolarstwie torowym i przez ceniących prostotę kurierów rowerowych. [przypis edytorski]

razie dobrze, że wiedzą, kiedy zaczyna się partia i kiedy kończy. Bo teraz jeden drugiego pilnuje, żeby za wszystko płacili, bo inaczej nie będzie roweru.

Więc kiedy już rowery były przez rzeczoznawców dokładnie obejrzone i ocenione, Dżek wziął tekę z papierami kooperatywy i poszedł do sklepu, gdzie sprzedają na raty.

— Rower kupuję nie ja, a kooperatywa. Mogę zapłacić sześć dolarów osiemdziesiąt centów, a resztę oddam, jak wpłyną pieniądze za naukę i za futbol. Nasza kooperatywa jest solidna, a nie spekulacyjna. Proszę, niech pan łaskawie przejrzy rachunki: to są kwity firm, z którymi jesteśmy w stosunkach, to są protokoły komisji rewizyjnej.

Bo zapomniałem napisać, że komisja rewizyjna znów sprawdziła rachunki i znalazła wszystko w porządku.

Właściciel sklepu, bardzo gruby mister Fay, uważnie przejrzał papiery, ani jednego papierka nie przepuścił.

— Kto ci prowadzi książki? — zapytał się — Czy ty sam pisałeś?

— Nie, książki handlowe prowadzi Nelly.

— A dlaczego ten kwit nie ma daty? Kwit bez daty jest nieważny. A dlaczego tu przekreślone cztery centy? W książkach handlowych nic nie wolno mazać. A dlaczego tu nie wpisane trzy stalki? Dlaczego nie wpisana jedna laurka? Dlaczego nie skończony rachunek sprzedaży świątecznej? Czy masz te dwa scyzoryki, które tu figurują? Dlaczego trzy wiersze napisane innym charakterem pisma?

Dżek tak jakby odpowiadał w szkole albo zdawał egzamin:

— Tu ja zapomniałem. Tu Nelly się pewnie omyliła. Tu Klaryssa. Nie wiedziałem, że tak trzeba. Jedna laurka się podarła.

Ale najciekawsze, że mister Fay tak jakby cały czas był z Dżekiem w szkole. Niby nic, przegląda same rachunki, a wszystko wie.

Wie, że na wiecznych piórach i kałamarzach stracił, że mu się nie powiodło, wie, że łyżwy się dwa razy zepsuły, wie, że nie chcieli kupować czarnego glansowanego papieru, wie, że bąki drewniane dołączył do torebek świątecznych już w ostatniej chwili, wie nawet, że w końcu stycznia ktoś zbuntował klasę przeciwko Dżekowi, ale to trwało niedługo.

Strasznie mądre są książki handlowe: niby nic, a od razu widać.

— Słuchaj, mister Fulton — mówi pan Fay — dasz mi sześć dolarów i osiemdziesiąt centów, zostaniesz winien trzy dolary dwadzieścia centów. Co sobotę masz wpłacać dolara. Kiedy czwartego tygodnia oddasz ostatnie dwadzieścia centów, dam ci drugi rower dla tych, którzy już będą umieli. Pozwalam ci jedną ratę wpłacić z dwudniowym opóźnieniem: zamiast w sobotę — w poniedziałek. Obowiązuję się trzy razy bezpłatnie reperować drobne uszkodzenia. I radzę wziąć nie ten rower, który oglądałeś, tylko ot, ten. To nic, że się mniej świeci. Zresztą, jak chcesz. A tu masz umowę naszą, którą kierownik szkoły powinien podpisać. Niech tylko napisze: „czytałem”.

Dżek powiedział:

— Serdecznie dziękuję.

Włożył umowę do teki z papierami i wyszedł zamyślony: co robić, który wziąć rower? Czy ten, który radził wuj Stanleya, czy ten? I czy wypada jeszcze raz przyjść z bratem Dika obejrzeć?

Idzie tak Dżek i myśli, aż spotyka chłopców. Wracają z meczu. Tacy rozbawieni. „Iskra” wlepiła „Pochodni” trzy gole.

— Szkoda, Dżek, że ciebie nie było — mówi Jim.

— Jak człowiek ma obowiązki, na wiele rzeczy nie może sobie pozwolić — odpowiedział Dżek.

No i wszystko szło świetnie. Wziął rower, który poradził mister Fay. Tylko raz jeden był w reparacji<sup>153</sup>. Pięciu chłopców nauczyło się jeździć z wsiadaniem, z nich jeden jeździ bez rąk. Czterech nie umie jeszcze wsiadać.

Ach, żeby już wyjechać na miasto!

Dżek nie spóźnił ani jednej raty. W pierwszym tygodniu dolar, w drugim dolar i dwadzieścia centów (dla równego rachunku). W trzecim tygodniu dolar.

<sup>153</sup>reparacja — dziś: naprawa. [przypis edytorski]

I kooperatywa otrzymuje drugi rower, prawie nowy — z gwarancją. Z gwarancją, to znaczy z zapewnieniem, że się nie zepsuje.

Pierwszego dnia mały głuptas z drugiego oddziału, kiedy Jim jechał, wsadził między szprychy patyk, jedna trochę wygięła się; ale koło się nie scentrowało i mister Fay na poczekaniu poprawił.

Tak, 20 kwietnia — pierwsza rata, 27 kwietnia — druga, 4 maja — trzecia i drugi rower.

Już na drugą ratę pożyczył Dżek pięćdziesiąt centów od ojca Sibleya i dwadzieścia pięć centów od pani Parkins, a na trzecią ratę pięćdziesiąt centów od matki Nelly. Ale co to znaczy. Z futbolów i dwóch rowerów przez maj i czerwiec powinno wpłynąć sześć dolarów, ze sprzedaży trzy dolary — razem dziewięć; a pozostają jeszcze: lipiec, sierpień. Bo pan Fay ma teraz zaufanie do kooperatywy i zapłatę rozłożył na cztery miesiące.

Dżek nie pomylił się w rachunku. Kalkulacja była zupełnie dokładna.

No i w niedzielę dnia 6 czerwca oba rowery skradziono.

Ford i Taylor wzięli rowery na cały dzień na wycieczkę za miasto. Dzień był bardzo upalny, więc się zmęczyli. Postanowili wrócić kolejką. Rowery oddali do wagonu towarowego. Dostali kwit. Kwit zgubili, czy też im skradziono, nie wiedzą. A kiedy chcieli odebrać bez kwitu, powiedziano, żeby przyszli jutro, bo był straszny tłok. Ale już w niedzielę magazynier powiedział, że mu się zdaje, że jacyś dwaj panowie je odebrali.

Nazajutrz w komisariacie powiedzieli, że trzeba było od razu na stacji zawiadomić policję. Obiecali szukać, ale uprzedzili, że nie ma nadziei, bo przez noc z niedzieli na poniedziałek i przez pół poniedziałku złodzieje mogli rowery sprzedać, ukryć, przemalować. Nie — przepadło.

— Proszę na to nie liczyć.

Gdyby chociaż widzieli złodzieja. Ale nie. Chłopcy nie wiedzą nawet, czy zgubili kwit kolejowy, czy im skradziono. A magazynier w tłoku i pośpiechu ani co widział, ani pamięta.

Był to straszny cios dla całego oddziału. Dziewczynki niektóre płakały, chociaż nie jeździły, bo to były męskie rowery. Wszyscy się pytają:

— Co teraz będzie?

Sill żąda zwrotu dwóch centów, które dał w sobotę za dzisiejszą jazdę. Ale nawymyślali mu zaraz, że dokucza głupimi dwoma centami teraz, kiedy trzeba myśleć, co w ogóle robić.

W poniedziałek byli na dworcu kolei i w komisariacie, we wtorek znów na kolei i dwa razy w komisariacie. A w środę im powiedziano, żeby więcej nie przychodzili, że zawiadomia, jak będzie potrzeba. I rzeczywiście w piątek przyszedł do szkoły milicjant; pytał się Forda, Taylora i Dżeka, coś zapisał na arkuszu. Jeszcze w niedzielę wezwano Dżeka do komisariatu, pokazano mu stary, połamany rower: czy to nie ten?

I koniec.

— Co robić?

Mister Taft zmartwił się tak, jakby jemu rowery skradziono.

— Przyjacielu Fulton, pokaż rachunki. Nie będę ukrywał, że grozi ci bankructwo. Tak, długi twoje wynoszą jedenaście dolarów sześćdziesiąt dwa centy. Tobie winni są koledzy dziewięćdziesiąt cztery centy. Więc pasywa wynoszą: cztery od dwunastu — osiem, dziewięć od piętnastu — sześć. No tak: dziesięć dolarów sześćdziesiąt osiem centów. Pienędzy nie masz?

— Ani centa.

— To źle. Łatwiej porozumieć się z wierzycielami, jeżeli choć część długu można zwrócić. No tak. A teraz majątek kooperatywy: dwa futbale, trzy pary łyżew, szczyroryki, kajety, ołówki — razem mniej więcej cztery — pięć dolarów. Zbankrutowałeś na sumę pięciu dolarów. Tak musisz powiedzieć.

Teraz dopiero mister Taft spojrzął na Dżeka i aż się przestraszył, taki był Dżek blady. Więc zaczął go uspokajać:

— Są przypadki, że policja schwytala złodzieja w dwa tygodnie i w miesiąc po dokonanej kradzieży. Znajdowano skradzione rzeczy, kiedy już wszyscy uważali za przepadłe. Przed piętnastu laty okradziono pewnego jubilera w Bostonie i też zbankrutował. A potem znaleziono część skradzionych kosztowności w Londynie, część w Wiedniu, a resztę aż w Moskwie. Dziesięć lat temu okradziono największy skład futer; futra w pół roku

później znaleziono. Trudno: pożar, kradzież — to są katastrofy: nikt Dżeka obwiniać nie może. Dlatego też dorośli wymyślili asekurację<sup>154</sup>.

— Co to znaczy? — zapytał się Dżek, który mimo nieszczęścia chciał poznać nowy finansowy wyraz.

— Widzisz, co miesiąc płaci się niedużą sumę, a jak jest pożar albo kradzież, muszą ci zwrócić.

I zadowolony, że Dżek się trochę rozerwie, długo opowiadał mister Taft o różnych kradzieżach i o tym, jak wywiadowcy mądrze poszukiwali złodzieja.

Siedzi Dżek, słucha — słucha, ale nagle się pyta:

— Mister Taft, czy to prawda, że można przez noc osiwieć? Podobno jeden kapitan okrętu osiwił podczas burzy.

A Dżek od tygodnia codziennie przegląda się w lustrze i szuka siwych włosów. Dżek chce koniecznie osiwieć. Gdyby przyszedł rano do szkoły jak gołąbek albo staruszek, dla którego kupują bułki, wszyscy wiedzieliby, że się martwi.

Dżek nie osiwił, choć jedną noc miał naprawdę straszną. Leży, ale nagle słyszy głos Nelly:

„Mamo, jestem głodna”.

A matka Nelly odpowiada:

„Nie mogę ci nic kupić, bo Dżek zbankrutował i nie odda mi pięćdziesięciu centów”.

To znów matka mister Tafta usiadła na łóżku i pokazuje na migi, że prosi o kawę. A mister Taft odpowiada:

„Dżek winien mi jednego dolara i trzydzieści pięć centów. Zbankrutował. Nie mam kawy”.

Pani Parkins wchodzi do pokoju i skarży się rodzicom Dżeka:

„Ładnie mnie wasz syn urządził: pożyczyłam na rower dwadzieścia pięć centów, a on wziął i zbankrutował”.

A matka płacze i mówi:

„Wiem. Cóż ja na to poradzę. Prosiłam, żeby nie pożyczał, bo może nie oddać”.

A ojciec daje pani Parkins dwadzieścia pięć centów i Dżek wie, że znów nie będzie palił cygar i pewnie się rozchoruje, bo kto się już przyzwyczaił, musi palić. Ojciec chory — mała Mary płacze.

Mister Fay wchodzi i pyta się:

„Gdzie jest skrzynka Dżeka? Jeżeli nie oddaje siedmiu dolarów, zabiorę przynajmniej skrzynkę. Ooo, jest tu sporo różnych rzeczy. Nawet centa znalazłem. A Dżek mówił, że nic nie ma”.

I odwija z bibułki centa otrzymanego od Nelly.

Wszystko tu nie było naprawdę, tylko mu się zdawało czy śniło. Bo zaczął jęczeć i płakać przez sen, aż go matka musiała obudzić.

— Co ci jest, Dżek, boli cię co, chory jesteś?

I dopiero Dżek matce opowiedział. Zmartwili się rodzice.

Miał jeszcze Dżek dwie konferencje: z kierownikiem szkoły i z mister Fayem.

Mister Fay przyjął wiadomość zupełnie spokojnie.

— Trudno — powiada — stało się. Rachunki dowodzą, że prowadziłeś kooperatywę solidnie. Zbankrutowałeś nie przez lekkomyślność, a z winy nieszczęśliwego wypadku. Trudno. Jeżeli nawet stracę, będzie to — wiedz, chłopcze — nie pierwsza moja strata. Każdy kupiec musi być na to przygotowany, że czasem traci. Jeżeli ktoś bankrutuje nie z własnej winy, obowiązkiem każdego dopomóc<sup>155</sup>. Ponieważ widzę, że boli cię najbardziej dług matki Nelly, pożyczę pięćdziesiąt centów, żebyś mógł jej oddać.

— Proszę pana — mówi Dżek ze łzami w oczach. — Ona jest wdową: powierzyła mi wdowi grosz.

— Wiem, wiem. Masz słusność. Ją przede wszystkim powinienesz spłacić. Dalej musisz zebrać posiedzenie, które cię upoważni do sprzedaży części majątku kooperatywy, żeby spłacić mister Tafta, mister Sibleya, panią Pennell i Parkins.

I taki pocziwy: dał mu jeszcze pięćdziesiąt centów i kazał przyjść za tydzień.

<sup>154</sup>asekuracja (tu daw.) — ubezpieczenie. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>obowiązkiem każdego dopomóc — tu: każdy ma obowiązek mu pomóc. [przypis edytorski]

— Kiedy kończy się szkoła?  
— Za dziesięć dni.  
— Więc przyjdź za tydzień. I nie targaj sobie nerwów, bo zobaczysz, że skończy się dobrze.

Mister Fay potwierdził, że przedmioty skradzione mogą się po miesiącu i później znaleźć. I radził co pewien czas dowiadywać się w komisariacie.

— Nie szkodzi policji przypomnieć.

Wyszedł Dżek niby uspokojony.

Wiele trudu go kosztowało, żeby matka Nelly przyjęła pięćdziesiąt centów. W końcu zgodził się wziąć dwa centy dla Silla i osiem na bułki dla dziadka.

Ale niby spokojny, a uczyć się nie może. Bo kto ma stargane nerwy, nigdy się uczyć nie może.

A konferencja z kierownikiem szkoły skończyła się tak, że Dżek wywiesił ogłoszenie w szkole, że kooperatywa pragnie sprzedać dwa futbale, trzy pary łyżew, może również odstąpić kajety, ołówki, no i wszystko.

Nelly napisała ogłoszenie.

Pierwszy zgłosił się Horton. Siódmy oddział ma dwa dolary i chętnie kupi. Małego futbala nie chce, bo to dla dzieci. Tylko jedna para łyżew może im się przydać. Horton niby nic, ale Dżek widział, że zadowolony.

— Przypomnij sobie, że cię ostrzegałem. Kooperatywa nie jest zabawą dla malców.

A sam przegląda wszystko jak swoje; co mu się nie podoba, odkłada na bok, na kupę. Co prawda, Dżek od kradzieży ani razu nie układał szafy — nawet kurzu nie wytarł.

Ostatni tydzień szkoły przeszedł bardzo poważnie. Nawet Fil nie błaznował. Dla Dżeka wszyscy byli bardzo dobrzy. Doris chciała go poczęstować wiśniami. Przez pierwsze trzy dni mówili do Dżeka szeptem.

O bankructwie kooperatywy wiedziały już wszystkie oddziały, a tylko jeden Allan raz tylko pozwolił sobie żartować. Miał się z pyszna. Nawymyślali mu, tak go zawstydzili, że inny pod ziemię by się schował. Przypomnieli mu zaraz skradzioną przed dwoma laty książkę, sprawę z Rosą przed rokiem, jak go ojciec w zimie na korytarzu w szkole tak trzasnął w twarz, że aż huknęło, i dopiero kierownik powiedział, że ojciec może w domu robić, co chce, ale w szkole bić nie pozwala. Każdy inny pod ziemię by się schował ze wstydu, a on nic: ręce wsadził w kieszenie i śmieje się. Fil aż splunął, a Jim tak go pchnął, że się mało nie przewrócił.

Tak, szkoła cała okazała wiele współczucia Dżekowi. Siódmy oddział chciał nawet zmusić Hortona, żeby oddał wszystko malcom.

Nikt Hortona nie upoważniał do kupienia futbala, łyżew i szczyryków. Horton cały rok nic dla kooperatywy siódmego oddziału nie robił, a teraz z bogacił się na krzywdzie młodszych kolegów. Niech zatrzymają te dwa dolary: jak będą mieli, to zwrócą na przyszły rok. A oddać, co wziął od nich Horton.

Ale Dżek urządził posiedzenie — i nie.

— Wpisałem do książki handlowej, a w książkach mazać nie wolno — mówi Dżek.  
— Jeżeli koniecznie chcecie, no to mogę odebrać. Ale kooperatywy prowadzić nie będę i wybierzcie innego.

Więc siódmy oddział tylko bierze do gry w futbol tych, którzy lepiej grają. I dali kilka książek do biblioteki.

Biblioteki Dżek nie przerwał. Teraz nawet biorą więcej książek, żeby pokazać Dżekowi, że się nie gniewają i że jest im potrzebny.

Pani powiedziała, że dzięki bibliotece — dzieci lepiej czytają. Ale znów w szafie jedna półka jest zupełnie pusta.

Do Forda i Taylora oddział ma żal, chociaż im tego nie pokazuje wyraźnie. Trudno: przecież nie stracili rowerów naumyślnie. Ale dlaczego zaraz nie powiedzieli, tylko kręcili? No, trudno: bali się.

Bo naprzód powiedzieli, że rowery są na kolei, bo był tłok i nie mogli odebrać. Potem, że magazynier nie wydał, bo kwit się zarzucił. (Taki kwit kolejowy nazywa się: *fracht*).



Ale dlaczego nie mówili, że fracht był przez nich zgubiony? Niby wychodzi, że to wina kolei. No i powinni byli w niedzielę zawiadomić Dżeka. A już najpóźniej w poniedziałek, jak tylko przyszedli do szkoły. Może pani pozwoliłaby opuścić szkołę i od razu zająć się tą sprawą?

Strata kilku godzin, gdy idzie o pościg za złodziejem, ma duże znaczenie. I gdyby Dżeka nie tknęło złe przecucie, byłoby może zwlekali do wtorku, a może i środy.

Taylor przynajmniej widać, że zmartwiony, bo prosił, żeby rodzicom nie mówić, że będzie spłacał po dwa centy tygodniowo. I to dobre, bo można przynajmniej bułki dla staruszka kupować.

— To i przez wakacje mamy dawać mu bułki?

— A ty coś myślał<sup>156</sup>? Finansowo to się nazywa — zobowiązanie. Dziadek, układając budżet, liczy na bułkę, więc nie możemy robić mu zawodu.

Taylor nie wyjeżdża na lato, więc mimo bankructwa wypełnia zobowiązanie. No, tak: Taylor. Ale Ford jeszcze zaczął uragać.

— Każdemu — powiada — mogą ukrasć. Tak jakby to pierwsza na świecie kradzież.

— No, a dlaczego Dżekowi nic nie ukradli?

— Bo na rowerze nie jeździł.

Wychodzi, że Dżekowi dlatego nie ukradli, że nie jeździł.

Co z głupcem gadać?

A Dżek naprawdę ani w futbol nie grał, ani się nie ślizgał, ani na rowerze nie jeździł.

A co najgorsze, bardzo się zaniedbał w nauce. Pani tylko na prośbę oddziału nie dała mu poprawki ani robót wakacyjnych.

Tak, Dżek był naprawdę „osobliwym chłopcem”.

Bo są ludzie, których nic nie obchodzi. Aby jemu było dobrze. Wszędzie pcha się pierwszy, nie pomyśli, że innym też się należy. Mówią o nich:

„Samolub, sobek, nieużyty, sknera”.

Dorośli mówią:

„Egoista”.

Wszystko tylko dla siebie.

A są, którzy<sup>157</sup> nie myślą o sobie, a chcą każdemu usłużyć i pomóc.

Dżek był właśnie taki. I dlatego bankructwo kooperatywy — chociaż z winy Forda i Taylora, a właściwie skutek nieszczęścia — dotknęło go tak bardzo.

Co teraz będzie?

Na pauzie, prócz paru, którym z łaski pozwalają się bawić w futbol, inni nie mają co robić. W niedzielę nawet tych pięciu, którzy z wsiadaniem jeżdżą na rowerze, nie mogą wyjechać za miasto. A na przyszły rok czy uda się odbudować kooperatywę, żeby znów mogli kupować, co im potrzeba?

Dżek miał piękne plany na początek roku: nawet książki szkolne chciał sprzedawać w kooperatywie. Bo w czwartym oddziale<sup>158</sup> potrzeba wiele książek, a są chłopcy biedni. Już miał Dżek dwie konferencje z mister Taftem. Nikt z chłopców nie myślał, co będzie po wakacjach, najwyżej umawiali się, kto z kim chce siedzieć razem. Ale Dżek z góry chciał już przygotować.

I tak jest właśnie w handlu, że w lecie przygotowuje się wszystko na zimę, a w zimie na lato.

Już w lecie szyją krawcy zimowe palta i ubrania, a w zimie zamawiają kupcy na lato w fabrykach i u rzemieślników.

Dzieci wtedy dopiero myślą, kiedy im zaraz potrzeba. A dorośli już wcześniej wiedzą, że za miesiąc trzeba coś mieć albo zrobić.

Bo dorośli są przezorni.

I pani też była przezorna.

Toteż na długo przed wakacjami zamówiła pani statek, żeby na pożegnanie roku szkolnego urządzić wycieczkę. Pójdą pieszo do rzeki, wsiądą na statek, popłyną w dół rzeki, gdzie jest piękna góra w lesie ze starym zamkiem. Ten zamek warowny był oblegany przez

<sup>156</sup>a ty coś myślał — dziś: a ty co myślałeś. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>są, którzy — dziś: są tacy, którzy. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>oddziale — dziś popr. forma Msc. lp.: oddziały. [przypis edytorski]

Indian, a potem się spalił podczas rewolucji. A teraz widać tylko jedną ścianę i kupę gruzów, porośłych mchem i trawą. Przyjemnie być w takim miejscu, gdzie chociaż dawno — odbywały się boje.

Tu kiedyś stała wojska. Tu strzelali. Może akurat w miejscu, gdzie teraz stoją, padł człowiek przeszyty zatrutą strzałą?

Naprzód miały iść na wycieczkę tylko cztery wyższe oddziały, a potem cała szkoła.

Dżek zrazu nie chciał. Zdawało mu się, że nie wypada bawić się człowiekowi, który zbankrutował.

— Nie mam czasu — mówi — muszę powtórzyć wiersze. Pani ma mnie wyrwać na poprawkę.

Ale poskarżyli się:

— Proszę pani... Dżek mówi, że nie pojedzie.

Dopiero pani na niego:

— Dżek, nie bądź dziwakiem. Jak wszyscy — to wszyscy.

I zaczęli prosić, żeby Dżek nie miał poprawki.

— Proszę pani — mówi lim. — Dżek nie mógł się dobrze uczyć, bo miał z nami tyle kłopotów i zmartwień. Byłoby niesprawiedliwie, gdyby mu się krzywda stała.

— Tak — mówi Fil. — Wytoczymy, proszę pani, za Dżeka ostatnią kroplę krwi! Bez namysłu oddam głowę pod miecz katowski!

I tak śmiesznie palcem przesunął po szyi, i tak wytrzeszczył oczy, że klasa nie mogła się nie śmiać. I pani powiedziała, że jeśli Dżek pójdzie na wycieczkę, to może nie mieć poprawki.

Było naprawdę przyjemnie.

Szli czwórkami przez miasto. I nawet samochody się zatrzymują, żeby im zrobić miejsce. Zupełnie jak wojsko. Potem dziewczynki niby się boją, żeby się nie utopić.

Czy statek może utonąć?

Nie boją się wcale, tylko — udawalskie<sup>159</sup>.

Harry i Dżems urządzili bitwę pod zamkiem.

Kiedy było śniadanie, Dżek, Fil i Nelly usiedli na murku.

Nelly z matką wyjeżdża do brata na lato.

— A ty, Fil, co będziesz robił w wakacje?

— Boję się, że się rozdokazuję, potem znów będzie mi trudno. A dałem sobie słowo, że w czwartym oddziale nie będę robił mały ze<sup>160</sup> siebie. Znudziło mi się. Jak jestem wesół<sup>161</sup>, to nic. Ale jak mi smutno, strasznie nie lubię, kiedy się ze mnie śmieją.

Jedzą, nic nie mówią. Ale nagle Nelly przechyliła w bok głowę, że jej się włosy tak w jedną stronę zebrały, i mówi:

— Mamusia kazała się spytać, czy nie chcesz z nami pojechać, Dżek? Tam jest bardzo ładnie. Las taki, ale gęsty. Można zbierać poziomki.

Nie, Dżek musi zostać: będzie pracował u mister Tafta.

Mister Taft powiedział, że w lecie jest mały ruch w sklepie, bo nie ma szkoły, więc chce wziąć chłopca. Mister Taft będzie miał czas zając się chorą matką i porobi zakupy na nowy rok szkolny. A Dżek sam zostawać będzie w sklepie.

I mister Fay chciał go wziąć na lato, bo jego chłopiec wyjeżdża na wakacje; to się nazywa: urlop. Nawet mister Fay miał więcej płacić — Dżekowi nieprzyjemnie było odmówić, ale powiedział, że otrzymanymi od Tafta pieniędzmi zapłaci panu Fay za skradziony rower.

— A może by mister Fay mnie przyjął? — mówi Fil. — Co tam trzeba robić?

— U mister Faya najwięcej zajęcia na mieście. Potrzebny mu goniec: na pocztę, z listem.

— Pewnie rowerem?

— Nie wiem.

<sup>159</sup>udawalski (daw. pot.) — taki, który udaje (znaczenie zawiera odcień lekceważenia i nagany). [przypis edytorski]

<sup>160</sup>ze siebie (reg. pot.) — dziś popr.: z siebie. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>wesół (daw.) — wesoły. [przypis edytorski]

— Dziękućciu<sup>162</sup> kochany, poleć mu mnie. Tylko nie mów, jaki ja jestem. Zobaczysz, że się będę starał.

I tak rozmawiali przyjemnie.

A kiedy wracali razem do domu, Fil zapytał się Dżeka:

— Jak ci się zdaje, Dżek, czy Nelly i mnie troszkę lubi? Bo ona jest bardzo przyjemna.

Zamiast do szkoły, chodzi teraz Dżek do mister Tafta. Otwiera sklep, zmiata, kurze ściera, a potem sprzedaje. Ale kupujących mało, bo lato. Więc albo zdejmie z półki książkę i czyta, albo siedzi i myśli.

Myśli o różnych rzeczach: raz o szkole i kolegach, którzy wyjechali na wieś, raz o ojcu i małej Mary, raz o tym, co będzie robił, gdy urośnie.

Nudzi się czasem.

Więc wziął książkę telefoniczną i naprzód szuka nazwiska: „Fulton”, a potem różne nazwiska czyta i adresy. Aż wreszcie zobaczył rozmaite banki. I przypomniał sobie, że banki pożyczają pieniądze, jeżeli ktoś nie ma pieniędzy. Aż znalazł i bank kooperatyw. Bardzo go to zaciekało. A mister Taft objaśnił, że dorośli mają kooperatywy, ale Dżekowi nic by nie dali, bo mały.

Często słyszy się coś, zaraz się zapomina. A potem znów się pamięta. Tak było właśnie teraz. Dżek leży w łóżku i już ma zasnąć, ale nagle przychodzi mu na myśl, że powinien być także bank dla dzieci, taki bank szkolny.

Bo dlaczego dzieci nie mogą pożyczać?

I już nie zasnął tak prędko, tylko myślał.

Łatwo pisać, co ludzie robią albo co mówią, ale bardzo trudno opisać, co człowiek myśli, a szczególnie kiedy jest śpiący. Bo w myślach nigdy nie ma porządku i raz to, raz tamto przychodzi do głowy, aż się w końcu wszystko pomiesza.

Tak samo Dżek. Ledwo pomyślał o skradzionych rowerach, zaraz przypomina sobie, co mówił mister Taft o urzędzie podatkowym, zaraz potem zaczyna myśleć o banku dla dzieci.

Na przykład nie może ktoś książek kupić albo farb, albo harmonijki, albo łyżew, albo mu rower ukradli — idzie do banku i pożycza; a jak urośnie i zacznie zarabiać, będzie po trochu oddawał.

I tu już Dżek sam nie wie, czy śpi, czy nie śpi. Ale widzi sklep, gdzie nie ma pólek, tylko stoją szafy z pieniędzmi. Finansowa szafa z pieniędzmi nazywa się: kasa. (Kasy są bardzo mocne, żelazne, ogniotrwałe). Więc siedzi Dżek w okienku jak na pocztce, każdy przychodzi i mówi: ile mu potrzeba i na co. Dżek zapisuje do książki handlowej, że ten i ten pożyczył. Jedni biorą pieniądze, a drudzy zwracają.

Już nie pamięta Dżek, kiedy zasnął. A na drugi dzień dopiero — już myśli o tym samym naprawdę. I teraz widzi, że trudno taki bank szkolny założyć. A wczoraj zdawało się, że łatwo.

— No, dobrze. Przecież nie znam wszystkich. A może on kłamie? Albo będzie ciągle tylko brał, a potem nie zechce oddać? Zresztą gdzie go szukać?

Ale i dorośli mogą robić tak samo. Widocznie banki mają sposoby, żeby nie oszukiwać?

W niedzielę idzie Dżek z Filem, ale się zatrzymuje przed bankiem i patrzy. A Fil się pyta:

— Czego tak patrzysz?

Dżek nie chce powiedzieć, żeby Fil się nie śmiał. Aż się okazuje, że Fil był w banku we środku<sup>163</sup>.

Bo Fil od trzech tygodni jest gońcem w składzie rowerów mister Faya.

<sup>162</sup>*Dziękućcio* (daw.) — polskie spieszczanie anglosaskiego imienia *Jack* (zdrobnienia od imienia *Jonh*), ze spolszczoną (dziś niepoprawną) pisownią i formantem słowotwórczym *-uńcio*, wyrażającym czułość i poufalość. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>*we środku* (reg. pot.) — dziś popr.: w środku. [przypis edytorski]

Fil nie wie dokładnie, jak w banku jest urządzone, ale zanim wydadzą pieniądze, trzeba chodzić do różnych okienek. Przy każdym okienku siedzi urzędnik i zapisuje. I jest kontrola. Nie można banku oszukać, bo mają książki handlowe.

Dżek przypominał sobie, jak przejrawszy książkę Hortona z siódmego oddziału, wiedział, ile mają w szafie kajetów, chociaż szafa była zamknięta. I jak mister Fay wszystko wiedział z książki handlowej, chociaż w szkole nie był. Tak samo jest pewnie w banku.

I teraz Dżek ciągle myśli, że potrzebny jest bank dla dzieci — i trzeba bank szkolny założyć.

— Dlaczego dzieci uczą się oszukiwać? Bo pożyczą od kolegi albo się założy i mówi, że odda. Ale kiedy odda? Jedni od razu mówią: „Jak będę miał”, bo dzieci nigdy nie wiedzą, kiedy będą miały, kiedy im dadzą. Żadnej kalkulacji dzieci nie mogą robić, nic sfinansować nie mogą. Jeden mówi „oddam”, a nie może, bo nie ma. I już się tak przyzwyczai.

Dopiero teraz rozumie Dżek, dlaczego zbankrutował. Gdyby był bank dla dzieci, kradzież rowerów byłaby tylko stratą, którą mógłby jeszcze odrobić, a tak — wszystko na nic.

— Cała kooperatywa do luftu — powiedział Fil.

„Do luftu” to też finansowe wyrażenie; Fil słyszał, jak raz tak powiedział pijany mularz<sup>164</sup>.

Ale Dżek postanowił rozmówić się z mister Taftem. Trudno: będzie się śmiał, to trudno. Ale właściwie co w tym śmiesznego, że dzieci chcą także bank szkolny założyć? Nie wszystkie dzieci są głupie, że nie wiedzą, co robić z pieniędzmi.

Ale mister Taft się nie śmiał.

— Bank dla dzieci, powiadasz? Owszem, mógłby być, ale kto go założy? Za długo trzeba czekać, aż zwrócą. Taki bank może tylko założyć rząd.

— Wszystko jedno kto.

— No tak: tobie wszystko jedno. Pamiętaj, co ci mówiłem o urzędzie podatkowym. Dorosli płacą podatki, więc rząd o nich dba. A z dziećmi rząd tylko ma kłopot i niepotrzebne wydatki. Dzieci — to dla rządu taki kupujący, który dużo ogląda w sklepie, nazawraca głowę, a potem mówi, że przyjdzie kiedy indziej i kupi.

Dżek przypominał sobie historię z łyżwami. Właśnie tak było. Chodzili, oglądali, aż ich przegonili.

— No, dobrze — pyta się Dżek. — A od kogo zależy, żeby rząd założył bank szkolny?

— Chyba od Ministra Finansów.

Tymczasem wszedł ktoś po papier listowy i kopertę, potem pani Taft zaczęła kaszleć w pokoju — i rozmowa przerwała się.

Często dorośli nie chcą odpowiadać, bo się zdaje, że tylko tak sobie zadają pytania. A nie wiedzą, że czasem chłopiec bardzo długo myśli, zanim się o coś zapyta, a potem długo się zastanawia nad odpowiedzią dorosłych.

Z rozmowy z mister Taftem zrozumiał Dżek cztery rzeczy:

1. Bank dla dzieci można założyć.
2. Bogaci nie zechcą takiego banku otworzyć, bo nie chcą długo czekać, aż dzieci urosną i oddadzą.
3. Rząd banku dla dzieci nie założy, bo nie płacą podatków.
4. Bank dla dzieci może założyć Minister Finansów, jeżeli zechce.

Więc:

Trzeba zrobić, żeby chciał.

A więc:

Dżek musiał napisać memoriał do Ministra Finansów.

I zaczął Dżek pisać memoriał. Pisał, poprawiał, przekreślał, przepisywał. Już mu się zdawało, że dobrze, a tu nagle jeszcze mu coś lepszego przychodzi do głowy. Więc znów przepisyuje, ale zmienia inaczej.

Aż skończył.

A memoriał był taki:

Panie Ministrze Finansów

<sup>164</sup>mularz (daw.) — murarz, robotnik budowlany. [przypis edytorski]

Jestem uczniem czwartego oddziału szkoły powszechnej. Nazywam się Dżek Fulton. Koledzy mnie wybrali, żebym prowadził kooperatywę. Załączam protokoły komisji rewizyjnej, że dobrze gospodarowałem. Załączam także rachunki, z których widać, że nasza kooperatywa nie spała tak, jak w siódmym oddziale<sup>165</sup>. Sfinansowałem bardzo wiele, a to był pierwszy rok dopiero. W przyszłym roku chciałem założyć koło mandolinistów. Chciałem kupić latarnię czarnoksiężską<sup>166</sup> i aparat fotograficzny. Chciałem założyć teatr amatorski i zbiory przyrodnicze. Chciałem założyć warsztat stolarski dla wyrobu sanek na zimę. Chciałem finansować wycieczki i różne zabawy: cyrk i kinematograf.

W tym roku pomagała mi tylko Nelly, ale w przyszłym roku Barnum miał się zająć orkiestrą, Fil — teatrem, Harry — muzeum, Adams — warsztatem i tak dalej.

Wszystko to można zrobić, gdybyśmy mieli kredyt w banku. Ale dzieciom kredytu nie dają.

Dlatego przez kradzież rowerów od razu zostaliśmy zrujnowani, kooperatywa zbankrutowała, a ja stargałem nerwy i mało nie osiwałem.

Więc piszę memoriał, żeby Pan Minister Finansów otworzył bank dla dzieci. Dzieci nie płacą podatków i Rząd musi dawać dużo pieniędzy na szkoły. Ale my przecież urośniemy i zwrócimy, co nam bank pożyczy — i będziemy płacić podatki.

Bez kredytu nam jest bardzo ciężko, bo nigdy nie wiemy, kiedy nam dadzą rodzice i ile.

Nawet Filowi nic Dżek o liście nie powiedział. Wrzucił do skrzynki, i koniec.

Dżek miał taką naturę, że bardzo był niespokojny, jeżeli chciał coś zrobić. Ale jak już jest, przestawał myśleć i brał się do czego innego.

Tak było i teraz. Jeśli minister odpowie — to dobrze, a nie — to nie.

I muszę dodać, że Dżek znalazł na półce u mister Tafta napisaną przez Verne'a piękną książkę: *Piętnastoletni kapitan*. Dawniej nie lubił czytać, a teraz lubi. Aż mister Taft zaczął się na niego gniewać:

— Mój Dżeku, przecież nie po to przyjąłem ciebie, żebyś całe dnie czytał. Nawet nieładnie wygląda, kiedy wchodzi do sklepu kupujący, a ty siedzisz i czytasz. Bo wygląda, że ci na nim wcale nie zależy albo że nikt u nas nie kupuje.

Więc czyta sobie Dżek *Piętnastoletniego kapitana* i myśli o podróżach. Aż prawie zapomni o liście.

Aż tu raz wraca do domu wieczorem: jest list!

Mama zdziwiona: co to być może? A Dżek zaczerwienił się z radości, a serce mu zaczyna mocno stukać.

Patrzy: na kopercie napis.

MINISTERSTWO

Patrzy dalej:

MINISTERSTWO OŚWIECENIA<sup>167</sup>

Zdziwiło go, że nie Ministerstwo Finansów. Ale otwiera. Widzi swój list, rachunki, ale jeszcze jakieś papiery. Na jednym stempel: MINISTER FINANSÓW.

Czyta:

Ministerstwo Finansów po przeczytaniu memoriału ucznia czwartego oddziału, Dżeka Fultona, postanowiło przesłać memoriał do Ministerstwa Oświecenia. Chociaż myśl o założeniu banku dla dzieci bardzo nam się podoba, memoriał ze względów formalnych musi być odrzucony, bo są w nim trzy gramatyczne błędy, a listy i papiery finansowe, zgodnie z artykułem 485 ustawy handlowej, muszą być pisane bez błędów gramatycznych.

<sup>165</sup>oddziele — dziś popr. forma Msc. lp.: oddziale. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>latarnia czarnoksiężska a. latarnia magiczna — prosty projektor, rzucający na ścianę obraz namalowany na szkłe. Uważany za wynalazek siedemnastowiecznego jezuita Athanasia Kirchera. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>oświecenie — tu: oświata. [przypis edytorski]

List

Na drugim papierze Ministerstwa Oświecenia było napisane:

Wydział Nauczania Powszechnego Ministerstwa Oświecenia zwraca przy niniejszym nadesłany przez Ministerstwo Finansów memoriał Dżeka Fultona w sprawie założenia banku kredytowego dla dzieci zgodnie z artykułem 485 ustawy handlowej i § 75 instrukcji o szkołach powszechnych.

Dużo jeszcze na obu listach było pieczętek i napisów czerwonym atramentem i niebieskim ołówkiem.

Ale co z tego?

Trzy błędy gramatyczne! Co za szkoda...

List z ministerstwa przyszedł dnia 10 sierpnia. A w trzy dni później, to jest 13 sierpnia o godzinie 7 minut 46 wieczorem, milicjant wręczył Dżekowi wezwanie z komisariatu:

Dżek Fulton ma się zgłosić jutro, 14 sierpnia o godzinie 9 rano, w celu rozpoznania i odebrania dwóch rowerów skradzionych mu w dniu 6 czerwca br.

Nazajutrz Dżek bez trudu rozpoznał i odebrał rowery kooperatywy.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/korczak-bankructwo-malego-dzeka>

Tekst opracowany na podstawie: Janusz Korczak, *Bankructwo małego Dżeka*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1966.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska, Biuro Rzecznika Praw Dziecka

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) we współpracy z Biurem Rzecznika Praw Dziecka. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Gąsior, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Wojciech Kottwica.

Publikację wsparli i wsparły: Anonim, Grzegorz Muszyński, Maciej Szwedowski, srocza, Ja, Mikołaj, Wodarek.

ISBN 978-83-288-0375-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.